DGP
Dziennik Gazeta Prawna

Magazyn na Weekend

FOT. RICHARD BAKER/IN PICTURES LTD./CORBIS VIA GETTY IMAGES

Hipokryzja imigracyjna

/ M3

Analiza / M**8**

Więcej pieniędzy, mniej niezależności

Reforma finansowania samorządów podniosła ich dochody i zwiększyła samodzielność budżetową, ale w innych obszarach autonomia wspólnot lokalnych się kurczy

analizuje Piotr Wójcik

Wschód / M**9**

Wojna już się rozlewa

Ukraińcy uważają, że rosyjskie problemy na froncie mogą popchnąć Putina do próby ucieczki do przodu i zaatakowania państw bałtyckich

pisze Michał Potocki

Technologie / M**20**

Wspaniałe człowieczeństwo

Papież wskazuje, że rozwijanie AI wyłącznie dlatego, że można więcej i szybciej, nie jest działaniem godnym człowieka. Mógłby tylko mówić bardziej dobitnie

zauważa Izabela Lipińska

DGP.pl DZIENNIK GAZETA PRAWNA NR 106/107 (6775/6776), 3–7 CZERWCA 2026, CENA 11,90 ZŁ (W TYM 8% VAT), ISSN 2080-6744

eprasa.pl c554e197b0

Opinia / M13

Gruziński pat

Nie warto słuchać podszeptów Tbilisi i opozycji. Warto natomiast rozważyć, do czego – i czy w ogóle – Gruzja jest nam potrzebna
zauważa Karol Wasilewski

Kultura / M22

Sztuczne nie musi być złe

AI przebojem wdarła się do przemysłu muzycznego. Skoro nie można się jej pozbyć, może czas ją dobrze wykorzystać
relacjonuje Konrad Wojciechowski

FOT. WOJTEK GÓRSKI

Widać tak już naród polski ma

Jan Wróbel

Wielu publicystów uznało uhonorowanie „bohaterów UPA" przez prezydenta Ukrainy za moment do otrąbienia końca polskich złudzeń wobec polityki Kijowa. Wydaje mi się jednak, że złudzenia takie są już dawno porzucone.

Już wiemy, że Zełenskiemu uśmiecha się twarz do głębokiej współpracy z Niemcami. A Polska to dla Ukrainy gracz mało istotny, słabszy od głównej europejskiej potęgi gospodarczej i rządzony przez premiera, który nie zadziera z Berlinem. Na dodatek uznaje się w Kijowie, że Polska i tak musi Ukrainę wspierać. Po pierwsze dlatego, że w razie sukcesu Kremla Rosja byłaby naszym sąsiadem. I to podwójnie, bo po wcieleniu Ukrainy niewiele będziemy czekać, by do pełnej łączności z Moskwą wróciła Białoruś. Po drugie, Polska i tak pomaga, mimo że „my" (Kijów) nic jej właściwie nie dajemy. Widać tak już naród polski ma, że nie potrafiąc wymusić wzajemności, godzi się na jej brak.

Spostrzeżenie, że strona ukraińska po prostu nie ceni sobie tych, którzy nie są brutalni w polityce, niejednokrotnie już padało z ust polskich polityków czy ludzi biznesu, którzy negocjowali z Ukraińcami. Jak ktoś nie chciał słuchać, to trudno. Mógł to wyczytać, zwłaszcza w książce Zbigniewa Parafianowicza „Polska na wojnie". Tam anonimowo, za to konkretnie wypowiadali się politycy zaangażowani w ratowanie Ukrainy po napaści w lutym 2022 r. Ten sam autor wydał teraz „Kłopoty z Zełenskim". Czyta się wartko, narracja wciąga jak dobry kryminał, a na dodatek z rozmów Parafianowicza wyłania się prawda.

Byłoby dobrze podobne dzieło wydrukować na temat relacji polsko-niemieckich. Niemcy zmieniają się na naszych oczach. Z powoli sunącej zawsze po swoje maszynerii stają się mniej politycznie stabilnym, za to wzmacniającym się kandydatem na militarne regionalne mocarstwo. Ani wobec Kijowa, ani wobec Berlina nie powinniśmy budować polityki wielkich słów i emocji skrojonych na dwa dni żywotności tweetów. Tylko politykę rywala Niemiec i Ukrainy, rywala, który wiele interesów ma z tymi państwami wspólnych. ©℗

FOT. HAJARAH NALWADDA/GETTY IMAGES

Wywiad / M26

Nie jesteśmy gotowi na kolejne pandemie

Przyroda pełna jest wirusów, które mogą zagrozić człowiekowi. Naukowcy biją na alarm, ale społeczeństwo zachowuje się, jakby nie było problemu
mówi Aleksandra Milewska

DGP | Magazyn na Weekend

Redakcja:
ul. Burakowska 14
01-066 Warszawa
tel. 22 530 40 40
e-mail: dgp@infor.pl

Redaktor naczelny:
Tomasz Pietryga

Zastępcy redaktora naczelnego:
Łukasz Guza, Łukasz Wilkowicz

Dział Dodatków Poradniczych:
Monika Bugaj-Wojciechowska

Magazyn: Anna Masłoń (kierownik), Piotr Czarnowski, Emilia Świętochowska, Maciej Weryński

Kraj, Świat i Gospodarka:
Michał Potocki

Opinie:
Marcin Kube

Podatki i Księgowość:
Katarzyna Jędrzejewska, Marcin Mroziuk (tygodnik PiK), Magdalena Sobczak (tygodnik RiA)

Samorząd i Administracja oraz Kadry i Płace:
Urszula Mirowska-Łoskot, Joanna Pieńczykowska-Rybaczyk (tygodnik SiA), Leszek Jaworski (tygodniki KiP i UiŚ)

Firma i Prawo oraz Prawnik:
Małgorzata Kryszkiewicz, Izabela Rakowska-Boroń (tygodnik FiP)

projekt graficzny:
Marek Knap, Adam Głowacki

Centrum Reklamy
tel. 22 530 44 44
e-mail: reklama@infor.pl

Dyrektor Centrum Reklamy:
Marcin Ośmiałowski

Dyrektor Marketingu:
Krystyna Wieczorkiewicz

Wiceprezes Zarządu:
Marcin Krawczak

Biuro Opiekunów Klienta:
ul. Burakowska 14
01-066 Warszawa
tel. 22 761 30 30,
801 626 666
e-mail: bok@infor.pl

Partnerskie biura ogłoszeń:
Mariusz Zarzycki
tel. 519 061 309

Druk:
Seregni Printing Group S.A.

INFOR

Wydawca Dziennika Gazety Prawnej:
INFOR PL S.A.
ul. Burakowska 14,
01-066 Warszawa
tel. 22 530 40 40

Grupa INFOR PL
Prezes zarządu: Ryszard Pieńkowski

Zamówienia na prenumeratę przyjmują:
Kolporter, Garmond Press, GLM, AS Press oraz urzędy pocztowe

Informacje o prenumeracie:
tel. 22 761 30 30
dgp.pl/prenumerata

Redakcja zastrzega sobie prawo do redagowania i skracania tekstów. Rozpowszechnianie materiałów redakcyjnych zarówno w formie elektronicznej, jak i papierowej bez zgody wydawcy jest zabronione.

© – znak zastrzeżenia praw autorskich;
℗ – znak odpłatności;
©℗ – dwa znaki przy artykule oznaczają możliwość jego dalszego wykorzystania wyłącznie po uiszczeniu opłaty zgodnie z cennikiem (www.gazetaprawna.pl/licencje) i w zgodzie z Regulaminem korzystania z artykułów prasowych

Materiały oznaczane jako: artykuły sponsorowane, prezentacje, cykle, teksty promocyjne, reklama, materiały partnera, materiały na zlecenie, materiały powstałe przy współpracy z (...), subiektywnie, debata, partner, organizator, nazwą wydarzenia (np. Perły Samorządu), partner wydania oraz inne o tożsamym charakterze stanowią materiały reklamowe w rozumieniu art. 36 ustawy z dnia 26 stycznia 1984 r. – Prawo prasowe.

DGP Więcej niż gazeta: wideo, podcasty, analizy na DGP.pl

eprasa.pl c554e197b0

Hipokryzja imigracyjna

FOT. DOMINIC LIPINSKI/PA IMAGES VIA GETTY IMAGES

Jeśli rządy chcą się zachować poważnie, to muszą zdecydować: albo stworzyć więcej legalnych ścieżek dla imigracji, albo karać pracodawców za nielegalne zatrudnianie cudzoziemców

Z Heinem

de Haasem

rozmawiają Fatima Zahra Znioi i Sebastian Stodolak

Hiszpania niedawno zalegalizowała pobyt ok. 500 tys. nieudokumentowanych imigrantów. Krytycy mówią, że taka decyzja zachęci kolejne rzesze ludzi do nielegalnego wjazdu na teren Unii Europejskiej. Czy te obawy są słuszne?

Na Zachodzie istnieje długa tradycja legalizowania pobytu. Stany Zjednoczone przeprowadziły ogromną legalizację już w 1986 r.

I to za czasów republikańskiego prezydenta.

Dokładnie. A dzisiaj zdarza się to w krajach takich jak Portugalia czy Francja. To powszechna praktyka. Sam fakt, że legalizację uznaje się co jakiś czas za konieczność, ujawnia lukę. Oficjalny przekaz polityczny brzmi: chcemy wysoko wykwalifikowanych imigrantów, nie chcemy niżej wykwalifikowanych pracowników spoza Europy. I choć zgodnie z tym przekazem projektowane są polityki migracyjne, to ci niżej wykwalifikowani i tak przyjeżdżają, tyle że często omijają system. Ten rozdźwięk pojawia się we wszystkich krajach Europy. Rzecz w tym, że systemy demokratyczne nie są w stanie długo tolerować dużej liczby ludzi bez statusu prawnego. W pewnym momencie zawsze pojawia się bodziec do legalizacji. Akurat Hiszpania ma najbardziej otwarte, pragmatyczne podejście. Przecież kiedy migranci dostają dokumenty, państwo czerpie większe wpływy z podatków.

Z jednej strony to rozsądne i pragmatyczne. Z drugiej – niektórzy powiedzą, że legalizacja premiuje łamanie prawa, czyli nielegalne przekraczanie granicy. A czy chcemy u siebie imigrantów skłonnych do naruszeń?

Ale to nieprawda. Większość nieudokumentowanych imigrantów przyjeżdża legalnie, a potem zostaje po wygaśnięciu wizy. Wiemy to z badań. Żaden mur tego nie rozwiąże. Poza tym jeśli rządy chcą walczyć z nieudokumentowaną pracą, to dlaczego nie karzą pracodawców? Przecież to oni zatrudniają tych ludzi przy zbiorach owoców, sałaty, truskawek. Kto pracuje w zakładach przetwórstwa mięsa, w restauracjach, w domach? Wszyscy wiedzą kto. W obecne polityki imigracyjne wpisana jest hipokryzja. Ci sami politycy, którzy mówią: „będę twardy wobec imigracji", w praktyce są bardzo wrażliwi na naciski biznesowych lobby.

Ale nie Donald Trump i ICE...

Na pewno? Kiedy Trump nakazał naloty na farmy i fabryki, od razu pojawił się opór pracodawców, którzy powiedzieli: ludzie już do nas nie przychodzą, boją się. W rezultacie już po kilku miesiącach prezydent polecił ICE wstrzymanie akcji w miejscach pracy. Meloni we Włoszech to kolejny przykład. Doszła do władzy dzięki antyimigracyjnej retoryce, a jednocześnie wpuściła do kraju rekordową liczbę pracowników imigrantów. Jeśli rządy chcą się zachować poważnie, to muszą zdecydować: albo uznać rzeczywistość i stworzyć więcej legalnych ścieżek dla cudzoziemców, albo karać pracodawców. Dzisiaj szansa, że firma zostanie ukarana grzywną, która odstraszy ją od nielegalnego zatrudniania, jest w całej Europie skrajnie niska. Traktuje się ją jak zwykłe ryzyko biznesowe.

Wiele ruchów antyimigranckich to skutek przekonania, że mamy do czynienia z czymś w rodzaju inwazji. Skąd się ono bierze? ▷

eprasa.pl c554e197b0

Mit inwazji jest silny z prostego powodu: wskazywanie zewnętrznego wroga jest politycznie skuteczne. Już Machiavelli to opisywał. Kiedy prowadzi się wojnę, pojawia się efekt zjednoczenia wokół flagi. Kiedy nie ma prawdziwego wroga, trzeba go skonstruować. Dziś w Europie jest nim nielegalny migrant albo osoba ubiegająca się o azyl. Zawyża się ich liczbę i demonizuje zagrożenie, a politycy przedstawiają siebie jako wybawców. Istnieje jeszcze inny mechanizm wyjaśniający popularność tego mitu: szukanie kozła ofiarnego. Strach jest najpotężniejszym narzędziem, jakie mają politycy. Kiedy ludzie się boją, pojawia się naturalna skłonność do zwierania szeregów i domagania się silnego lidera. Jeśli w społeczeństwie są realne problemy – stagnacja płac, niedostępne cenowo mieszkania, przeciążona ochrona zdrowia – dużo łatwiej kogoś obwinić, niż reformować polityki, które za tym stoją. Gdyby ktoś chciał zmniejszyć ubóstwo albo ułatwić dostęp do mieszkań dla ludzi o niższych dochodach, musiałby podjąć konkretne i trudne reformy. A trudne reformy nie są programem partii, które głoszą antyimigracyjną narrację. Dzisiaj sprzedawana jest nam iluzja, że kiedy wszyscy migranci znikną, to znikną wszystkie problemy. Ale przecież każdy w głębi duszy wie, że to nieprawda.

Ale może zniknie przestępczość? To jeden z najczęściej używanych argumentów przeciwko imigracji. I zdaje się, że niepozbawiony podstaw. Dane ze Szwecji i z Danii nawet po uwzględnieniu zmiennych społeczno-ekonomicznych pokazują, że w statystykach przestępczości osoby o pochodzeniu migranckim są nadreprezentowane 1,7–1,8 razy.

Tak jest w niektórych krajach, ale sam fakt pochodzenia migranckiego nie jest tego główną przyczyną. Wskaźniki przestępczości wśród większości cudzoziemców są niższe od średniej – to raczej problem dotyczący zmarginalizowanych członków drugiego pokolenia. Głównym czynnikiem powiązanym z przestępczością jest przynależność do grup o niższych dochodach i wysokim bezrobociu, a nie samo bycie imigrantem. Poza tym w Europie mamy coraz więcej dowodów na istnienie zjawiska profilowania rasowego, które zawyża odczyty przestępczości cudzoziemców. W Holandii, jeśli wyglądasz „marokańsko", to prawdopodobieństwo, że zostaniesz aresztowany i skazany, jest wyższe niż w przypadku białej osoby z dzielnicy klasy średniej, która popełni ten sam czyn.

W Polsce nie mamy problemu przestępczości wśród imigrantów. Mówi się, że jesteśmy bezpiecznym krajem. I znajduje to potwierdzenie w statystykach.

Polska jest krajem imigracyjnym od niedawna. Ogólnie rzecz biorąc, badania potwierdzają, że średni wskaźnik przestępczości imigrantów, czyli pierwszego pokolenia, jest niższy niż w całej populacji, ponieważ skupiają się oni na ciężkiej pracy i wspieraniu swoich rodzin. Kłopoty z prawem dotyczą raczej drugiego pokolenia i odzwierciedlają trudności z integracją. Pracownicy, którzy w latach 60. i 70. przyjechali do kopalń i fabryk na Zachodzie, też nie byli przestępcami. Byli pracowitymi, rodzinnymi ludźmi, którzy chcieli utrzymać swoje rodziny. Rzecz w tym, że kiedy przemysł upadł, nikt nie zadbał o ich przyszłość. Dzieci dorastały w domach z bezrobotnymi rodzicami, w poślednich dzielnicach, bez wsparcia społecznego. To marginalizacja socjoekonomiczna, a nie imigranckie pochodzenie wyjaśnia problemy, które dziś widać w niektórych miastach Europy Zachodniej. To kwestia nie samej imigracji, lecz traktowania imigrantów jako wygodnej, jednorazowej siły roboczej, bez myślenia o długofalowych konsekwencjach społecznych, a potem udawania zaskoczenia.

W książce „Migracja bez mitów" pisze pan, że kontrola państwa nad poziomem imigracji jest ograniczona niezależnie od tego, czy polityka jest surowa, czy liberalna. W jakim stopniu rządy mogą wpływać na przepływy migracyjne?

Państwa mają potężne możliwości ograniczania mobilności – widzieliśmy to podczas pandemii COVID-19 przy lockdownach. Jednak w przypadku imigracji ta wszechwładza jest ograniczona preferencjami wyborców. Ludzie mogą mówić w sondażach, że chcą deportacji nielegalnych imigrantów, ale kiedy się okazuje, że ci imigranci to ich sąsiedzi, koledzy z klasy czy współpracownicy, mają inne zdanie.

Jak powinna wyglądać skuteczna polityka integracyjna?

Podstawa to nie kupować iluzji tymczasowości. Błąd, jaki popełniła Europa Zachodnia z gastarbeiterami z Turcji, Maroka, Tunezji i Algierii, polegał na wierze, że oni w końcu wrócą do domu. Warto dodać, że nie byli to ludzie, którzy po prostu się tam pojawili. Oni byli aktywnie rekrutowani na podstawie dwustronnych umów o pracę. To samo dzieje się dziś w Polsce. Słowem: to nie jest inwazja niechcianych pracowników. Ludzie ci często przyjeżdżają do was na zaproszenie. Mają wypełnić luki na rynku pracy. Tylko my tego z jakichś przyczyn nie przyznajemy.

Do Polski ściąga się ludzi z Filipin, Kolumbii, Indii. Oni u nas zostaną?

Z badań wiemy, że po czterech, pięciu albo sześciu latach pobytu decydują się zostać, szczególnie jeśli stworzą związki i urodzą im się dzieci. Im dłużej rządy zaprzeczają tej rzeczywistości, tym gorsze będą problemy z integracją.

Populiści powiedzą: deportować.

To się nie uda. Weźmy Stany Zjednoczone. Obietnice masowej deportacji, które złożył Trump, okazały się puste. Nigdy nie wierzyłem, że to się może udać, i teraz widać, że miałem rację. Imigranci w USA to często ludzie, którzy żyją tam od dekad. Nie da się ich tak po prostu wyrzucić. Jak już zrozumiemy, że imigranci zostaną, to kluczowe jest pozwolić im pracować i w pełni uczestniczyć w życiu społecznym. To podstawa. Wykluczanie uchodźców i migrantów z prawa do pracy to jedna z najgorszych rzeczy, jaką można zrobić. Praca daje ludziom dochód, poczucie wartości, język i kontakty społeczne. Wiele krajów, w tym Niemcy i państwa skandynawskie, bardzo źle to rozegrało.

A Holandia?

Również Holandia długo nie chciała dostrzec problemu związanego z pracownikami przyjezdnymi i uchodźcami, choć sytuacja ulega zmianie. Widać większą otwartość na to, by umożliwić osobom ubiegającym się o azyl podjęcie pracy. W przypadku uchodźców z Ukrainy doświadczenia są całkiem pozytywne. Jednym z najważniejszych czynników było to, że od razu pozwoliliśmy im pracować, bez zbędnych formalności. To zwiększyło poparcie wśród Holendrów, bo ludzie sympatyzują z uchodźcami i migrantami, którzy pracują i wnoszą wkład do społeczeństwa. Nawet osobom ubiegającym się o azyl, które mogą być zmuszone do powrotu, lepiej pozwolić pracować. Proszę sobie wyobrazić grupę młodych mężczyzn, którzy kompletnie nie mają co robić – to proszenie się o problemy. Dajmy im pracę i dostęp do kursów językowych, najlepiej darmowych. Kwestia języka jest ogromnie niedoceniana. To obok pracy najważniejszy czynnik integracji. Dajcie też ludziom, którzy pracują i się integrują, realistyczną perspektywę pozostania.

A co z obawą, że duża część imigrantów przyjeżdża do nas głównie po świadczenia socjalne, a nie po to, by pracować?

Pojedyncze przypadki tego typu się zdarzają. Jednak ekonomiści przeprowadzali analizy, uwzględniając wszystkie czynniki determinujące migrację i hojność państwa opiekuńczego. Ogólny wniosek jest taki, że efekt tzw. magnesu socjalnego jest tak marginalny, że ledwo dostrzegalny. Spójrzmy zresztą na Wielką Brytanię i Stany Zjednoczone, czyli niezbyt hojne państwa opiekuńcze z ogromną liczbą cudzoziemców. Prawdziwym motorem imigracji jest popyt na pracę, a nie świadczenia socjalne, wojna czy przemoc w kraju pochodzenia. Tylko ok. 10 proc. osób migrujących to uchodźcy, reszta to pracownicy i ich rodziny. A gdzie jest praca? Tam, gdzie rośnie gospodarka. Polska przez dekadę była jedną z najlepiej radzących sobie gospodarek w UE, więc jeśli trend się utrzyma, stanie się ważnym krajem imigracyjnym. Jeśli ludzie nie lubią imigracji, to częściowo jest to cena za życie w dobrze prosperującej gospodarce kapitalistycznej. Najlepszym sposobem na pozbycie się imigrantów jest zatem... zrujnowanie gospodarki.

Może postawy antyimigracyjne wynikają z mechanizmów psychologii społecznej? Duża liczba przybyszów sprawia, że nie czujemy się u siebie w domu. Starsza kobieta mieszkająca od urodzenia w Warszawie, którą nagle otaczają ludzie mówiący w innym języku, czuje się obco.

Całkowicie się z tym zgadzam. Ekonomiczne i społeczne korzyści z imigracji są nierówno rozłożone. Firmy i ludzie zamożni korzystają na niej, bo zwiększa produktywność i dostępność usług. Ludzie o niższych dochodach korzystają na imigracji mniej, a czasem mogą nawet trochę stracić, szczególnie przy bezpośredniej konkurencji na rynku pracy. Negatywne społeczne konsekwencje migracji – takie jak alienacja – najbardziej dotykają właśnie ich. Sam znam w moim rodzinnym mieście w Holandii starszą osobę, która czuje się kompletnie wyobcowana – przez całe życie mówiła po fryzyjsku, a teraz jej sąsiedzi używają innego języka. Kiedy przez 10 lat zmienia się cała okolica, 70-latek może się poczuć jak obcy we własnym domu. Albo weźmy przykład Oksfordu i domów wynajmowanych pracownikom z Europy Wschodniej. Zmiany widoczne na ulicach silnie napędzały antyunijne nastroje wśród Brytyjczyków. Co ciekawe, kiedy mieszkałem w Wielkiej Brytanii do 2016 r., wrogość była skierowana przede wszystkim przeciwko Polakom. Jeśli rządy chcą budować poparcie dla dobrych polityk imigracyjnych, to nie mogą tolerować wyzysku cudzoziemców i pozwalać, żeby koszty imigracji spadały na społeczności o niższych dochodach.

Częstym argumentem za przyciąganiem imigrantów jest kryzys demograficzny. Słusznie?

Iluzją jest myślenie, że sama imigracja może rozwiązać problem starzenia się społeczeństwa. Migranci też się starzeją, a ich wzory dzietności szybko zbliżają się do norm państwa przyjmującego. Co więcej, duże kraje emigracyjne, np. Afryki Północnej czy Azji Zachodniej, już teraz notują dzietność poniżej wymienialności pokoleń. Demograficzny potencjał imigracji jest ograniczony. Ale jeśli ma się starzejące społeczeństwo, silny wzrost gospodarczy oraz coraz lepiej wykształconą i coraz mniej chętną do wykonywania pewnych prac populację, to niedobory pracowników będą trwałe, szczególnie w branżach, które nie wymagają wysokich kwalifikacji. Dlatego jeśli gospodarka pozostanie w miarę otwarta, popyt na pracowników migrujących się utrzyma. Politycy boją się to przyznać.

A jak wygląda wpływ imigracji na wzrost gospodarczy?

Stany Zjednoczone ogromnie skorzystały na otwarciu się na talenty – na napływie inżynierów, intelektualistów, akademików. Europa nadrabia dzięki różnym programom wizowym dla wysoko wykwalifikowanych pracowników, ale przewaga startowa USA była ogromna. Imigranci przybywają licznie tylko wtedy, gdy gospodarka już się dobrze rozwija. Ich obecność może wzmocnić ten wzrost.

Czyli jest jego elementem, a nie zewnętrzną przyczyną?

Tak. Migracja jest częścią procesów rozwojowych. Nie da się jej zapro-

eprasa.pl c554e197b0

jektować tak, żeby pobudziła wzrost gospodarczy, jeśli tego wzrostu nie ma. Te dwa zjawiska wzajemnie się wzmacniają. Dlaczego emigracja do USA dzisiaj spada? Polityka ochrony granicy odgrywa pewną rolę, ale kluczowe jest to, że obecnie wielu Europejczyków i Azjatów nie chce tam jechać z powodów politycznych i gospodarczych. Migracja to ogromna inwestycja zarówno pod względem ekonomicznym, jak i osobistym. Dynamiczne, otwarte środowisko, w którym cudzoziemcy czują się mile widziani i wiedzą, że ich wkład zostanie wynagrodzony, jest tym, co ich przyciąga.

Polska ma problem z przyciąganiem imigrantów, zwłaszcza tych wysoko wykwalifikowanych. Bywa, że latami tkwią w biurokratycznej próżni, nie mogą zmienić pracy ani podróżować. Najpierw mówimy, że ich chcemy, a potem tak ich traktujemy. Dlaczego?

Nie znam szczegółów polskiej polityki imigracyjnej, ale z badań wiemy, że bariery dla wykwalifikowanych imigrantów częściowo biorą się z biurokratycznej bezwładności. Ważnym czynnikiem jest też protekcjonizm grup zawodowych. Jeśli Polska zacznie wpuszczać na rynek więcej zagranicznych lekarzy, rodzimi lekarze dostaną bodziec, żeby protestować i użyć swojej siły lobbystycznej. Przedstawia się często jako nastawienie antyimigracyjne, ale to w istocie działanie protekcjonistyczne.

Często ubrane w troskę o pacjentów.

Tak. Ale z perspektywy ekonomicznej lekarzy jest to całkowicie zrozumiałe. Grupy zawodowe chcą chronić swoją pozycję. Wielka Brytania jest tu użytecznym kontrastem: niedobór wykształconych w kraju pielęgniarek i lekarzy jest tak duży, że po prostu nie ma innej opcji niż otwarcie granicy dla pracowników ochrony zdrowia z całego świata. Ze względu na zmiany demograficzne również w Polsce coraz częściej będzie padało pytanie: kto zajmie się osobami starszymi, chorymi i dziećmi?

Mamy wiele twardych danych na temat migracji. Dlaczego dowody naukowe mają tak małe polityczne znaczenie w tej sprawie?

Częściowo wynika to z niskiego poziomu wiedzy o migracji wśród dziennikarzy i w społeczeństwie. Wielu polityków ma trochę wiedzy, ale woli ją ukrywać, bo to się im opłaca. Dlatego większość tego, co od nich słyszymy, to slogany i propaganda, a nie poważna polityka publiczna. Głębszy problem polega na sposobie ujęcia tematu. Mamy spolaryzowaną debatę: za migracją albo przeciwko. To trochę jak bycie przeciw gospodarce albo za pogodą. Obóz antyimigracyjny wybiera z badań tylko te dane, które pasują do jego opowieści. Obóz proimigracyjny robi dokładnie to samo w drugą stronę. A badania pokazują, że trzeba się uspokoić. Zarówno plusy, jak i minusy migracji są zwykle mocno wyolbrzymiane.

Czy jakieś wydarzenia z ostatnich lat wpłynęły na pana poglądy?

Ważne było to, co zrobił Trump: nakazał naloty na miejsca pracy, a potem wstrzymał je pod presją pracodawców i sprzeciwu mieszkańców Minneapolis. To pokazuje, że jeśli się ostro uderza w imigrację, natychmiast pojawia się opór ze strony biznesu i społeczeństwa obywatelskiego. W Europie od 30 lat politycy obiecują, że rozwiążą problem migracji i raz na zawsze zamkną granicę. Ale nie da się uszczelnić całej unijnej granicy. Jest za długa, nie jesteśmy Koreą Północną. Iluzja pełnej kontroli trwa. Dopóki politycy będą traktować migrację jako problem do rozwiązania, a nie jako rzeczywistość, którą trzeba zarządzać, będą projektować nieskuteczne polityki. Nie twierdzę, że nie powinniśmy regulować migracji – przeciwnie. Poprosiłbym tylko polityków, by nie mieszali uchodźców z nielegalnymi imigrantami. Prawo do ubiegania się o azyl jest podstawowym prawem człowieka. Nie powinno się przedstawiać ludzi, którzy składają wniosek o status uchodźcy, za nielegalnych migrantów, a prasa i politycy ciągle to robią. I jeszcze jedno: hipokryzja imigracyjna istnieje wszędzie. Nawet za Orbána liczba imigrantów na Węgrzech wzrosła, bo kraj ten także mierzy się ze starzeniem społeczeństwa. Coraz więcej cudzoziemców pracuje tam w sektorze nieformalnym. Wielu ludzi po prostu o tym nie wie. Sposób, w jaki politycy mówią o imigrantach, jest problematyczny. Widzieliśmy już w przeszłości, jakie szkody mogą wyrządzić takie narracje. ©℗

FOT. WILMA HOOGENDOORN \MATERIAŁY PRASOWE

Hein de Haas

socjolog specjalizujący się w badaniu migracji, profesor Uniwersytetu Amsterdamskiego, autor książki „Migracja bez mitów. Wszystko, co trzeba wiedzieć o najbardziej spornej kwestii w polityce”

TEKST PROMOCYJNY

PANORAMA GOSPODARCZA

Facility Management przyszłości. Ludzie, technologie i partnerstwo według Atalian Poland

Branża facility management w ostatnich latach przeszła ogromną transformację. Jeszcze niedawno kojarzona głównie z administracją budynków, utrzymaniem technicznym czy sprzątaniem, dziś stała się ważnym partnerem biznesu. Zarządzanie energią, technologie smart building, ESG oraz rozwój sztucznej inteligencji sprawiły, że FM odpowiada już nie tylko za sprawność obiektów, ale również za efektywność organizacji i komfort pracy ludzi.

– *Facility management to dziś kluczowa, a czasem wręcz krytyczna funkcja wspierająca biznes i dbająca o ludzi* – podkreśla Rafał Baranowski, Prezes Zarządu Grupy Atalian w Polsce. – *Dbanie o budynki czy infrastrukturę stanowi już tylko część całości.*

Jak zauważa Baranowski, ostatnie lata były dla rynku FM okresem intensywnych zmian. Coraz większą rolę odgrywają technologie, automatyzacja oraz analityka danych pozwalająca lepiej planować działania i przewidywać awarie. Równolegle rosną wymagania związane z efektywnością energetyczną i realizacją strategii ESG.

– *Największy wpływ na branżę mają dziś rozwiązania związane z digitalizacją i analizą danych. To one przekładają się na niższe koszty, większą efektywność i lepsze doświadczenia użytkowników budynków* – mówi.

Atalian Poland chce rozwijać się przede wszystkim w obszarach usług technicznych, utrzymania czystości oraz usług zintegrowanych. Firma stawia na długofalowe relacje z klientami i elastyczne podejście do współpracy.

– *Naszą największą przewagą jest zespół i silne kompetencje techniczne. Mimo że jesteśmy częścią międzynarodowej grupy, zachowujemy dużą elastyczność lokalną i możemy dopasowywać rozwiązania do potrzeb klientów* – podkreśla Baranowski.

Branża FM nadal mierzy się z niedoborem pracowników, szczególnie w zawodach technicznych. Firmy muszą dziś konkurować nie tylko ofertą dla klientów, ale również jakością środowiska pracy.

– *Rynek w wielu segmentach dochodzi dziś do granic opłacalności, co może wpływać na stabilność i jakość usług* – ocenia Rafał Baranowski.

Choć automatyzacja i AI będą coraz mocniej obecne w facility management, ekspert nie postrzega ich jako zagrożenia dla ludzi.

– *FM to biznes oparty na relacjach. AI traktuję jako narzędzie wspierające efektywność pracy, a nie zastępujące człowieka* – podsumowuje.

To właśnie połączenie technologii, kompetencji i jakości relacji ma dziś definiować przyszłość nowoczesnego facility management.

Sebastian Wach

https://panorama-gospodarcza.gazetaprawna.pl/

eprasa.pl c554e197b0

Kraj

Nie na tym polega polityka

Rafał Komarewicz – poseł, członek klubu parlamentarnego Centrum, przedsiębiorca

FOT. JOANNA URBANIEC/POLSKA PRESS/EAST NEWS

Obiecaliśmy ludziom, że będzie inaczej, a nie jest. Przykro to mówić, ale jeśli chodzi o sprawy gospodarcze, to lepiej szło za czasów PiS

Z Rafałem

Komarewiczem

rozmawia
Marcin Fijołek, Polsat

Rozmawiam z posłem koalicji rządzącej czy opozycji?

Jako poseł odpowiadam przed ludźmi, którzy mnie wybrali, a nie przed partią polityczną. Formalnie jestem oczywiście posłem koalicji, ale trzeba by zadać pytanie, co pan rozumie przez to, że jestem w koalicji, a nie w opozycji. Od dwóch i pół roku robię, co mogę, by dać rządowi szansę na zrealizowanie swoich obietnic. Bak z paliwem cierpliwości powoli się wyczerpuje.

Czytam pana ostatnie wpisy i brzmi pan jak poseł opozycji: punktowa krytyka, szpileczki, trochę złośliwości.

Wie pan, mamy rząd wystarczająco długo, żeby czas organizacji i przegrupowania szeregów się skończył, a zaczął czas działań, które obiecano Polkom i Polakom w kampanii wyborczej. Tymczasem sytuacja wygląda tak, że przez komisję gospodarki i rozwoju, której pracami kieruję, od roku nie przeszła żadna poważna ustawa dotycząca gospodarki. Gdybyśmy rozmawiali nie o Sejmie i rządzie, lecz o radzie miasta albo gminy, to wszyscy wiedzieliby, że tracimy zaufanie i w kolejnych wyborach mogą nas zwyczajnie wymienić.

A co to za różnica?

Na poziomie centralnym najważniejsza jest polityka, pokazanie, że przeciwnik jest zły, niedobry i nie myśli o państwie. To zresztą wychodzi całkiem nieźle koalicji rządzącej. Widzi pan sondaże, Prawo i Sprawiedliwość jest zepchnięte do głębokiej defensywy. Ale na litość boską, nie możemy poprzestać tylko na tym, a mam wrażenie, że tak się dzieje – że najważniejsze sprawy dotyczące gospodarki oraz portfeli Polek i Polaków schodzą na plan dalszy. A przecież powinny to być kwestie priorytetowe. Wszystko utknęło w jakimś stuporze, nikt nie próbuje tego koordynować. Odbije się nam to czkawką także przy urnach wyborczych.

Stawia pan ostrą diagnozę, ale zejdźmy na poziom konkretów. Z czym jest problem?

Proszę bardzo. Na komisji gospodarki rozmawialiśmy nie raz, nie dwa o przemyśle hutniczym, o rozwiązaniach w tym sektorze – od półtora roku podbijamy ten temat. I nic. Ostatnio mieliśmy na posiedzeniu czterech wiceministrów z czterech różnych resortów – rozmawiamy, podrzucamy propozycje, a na końcu wszyscy patrzą na siebie ze znakiem zapytania w oczach, bo, prawdę mówiąc, nie wiadomo, u kogo na biurku leży odpowiedzialność za to, o czym dyskutujemy. Jeden z wiceministrów rzucił nawet, że trzeba zaproponować premierowi powołanie specjalnego pełnomocnika ds. hutnictwa, może wtedy coś drgnie. Niestety, ministrowie sami do końca nie wiedzą, kto i co ma robić. A przy tym mam poczucie, że to nikomu nie przeszkadza. Stawiam tezę, że dzieje się tak dlatego, że lwia część polityków po prostu od zawsze jest w tej grze i nie wie, jak wygląda świat na zewnątrz. Pracowałem kiedyś w firmie farmaceutycznej, miałem pod sobą kilka osób, nad sobą szefa. Wiadomo było, że jak jest problem, to szef przychodzi do mnie, a ja mam to lepiej czy gorzej rozwiązać. A u nas w rządzie nie ma do kogo pójść, zarządzanie gospodarką jest rozproszone po różnych ministerstwach, a do tego rozdzielone na polityków różnych partii, które mają różne priorytety. Nie muszę chyba mówić, jakie przynosi to efekty. A w zasadzie – jakich nie przynosi.

Maciej Berek pełni funkcję koordynatora ds. nadzoru nad wdrażaniem polityki rządu. Mogę podać numer.

Nie da się wszystkiego załatwić jedną osobą. Kiedyś szukałem do pracy kogoś, kto mógłby w mojej firmie zająć się menedżerowaniem, a przy tym marketingiem i zakupami. Nie znalazłem nikogo.

Jak to?

Nikt nie weźmie na siebie tak wielu obowiązków. Nawet jeśli w rządzie trafiają się osoby, które mają to wszystko poukładane – jest taki jeden wiceminister z Koalicji Obywatelskiej – to brakuje im swobody działania, bo nie są z odpowiedniej grupy w partii.

O kogo chodzi?

Nie chcę mu zrobić pod górkę. Zresztą chodzi mi nie o nazwiska, ale o mechanizm. Na początku naszych

eprasa.pl c554e197b0

rządów zwróciłem się do Ministerstwa Sportu i Turystyki o plany dotyczące opłaty turystycznej. Usłyszałem, że to ważny problem i pracują nad nim. Po półtora roku zapytałem o efekty tych prac i daję słowo, dostałem odpowiedź: nie pracujemy nad tym. Kabaret. Można byłoby się pośmiać, gdyby nie to, że chodzi o państwo. Złożyłem zatem swój projekt ustawy. Daria Gosek-Popiołek złożyła swój.

I co?

I nic, jak zwykle. Ustawy utknęły w komisji. Ustawa metropolitalna dla Krakowa? Podobnie. Za rządów PiS koledzy z krakowskiej Platformy Obywatelskiej jeździli do Senatu (bo tam mieli wówczas większość) i składali kolejne projekty ustawy, by miasto na jej bazie mogło się szybciej rozwijać. Rządzimy dwa i pół roku, ostatnio przyjęto podobną ustawę dla Trójmiasta, premier się cieszył, bo sam jest z Sopotu, super. A Kraków? Nie ma, nie da się. Mógłbym wzruszyć ramionami, siedzieć cicho i nic nie mówić, ale nie na tym polega polityka. Jeśli mam robić za maszynkę do głosowania, która wciska odpowiedni przycisk, to sorry, ale szkoda czasu. Rząd dowiózł parę rzeczy: od renty wdowiej przez zasiłek pogrzebowy po babciowe, ale to wycinek rzeczywistości, najczęściej oparty na prostych transferach. A co z klasą średnią? Mój pakiet zakłada podniesienie kwoty wolnej do 45 tys. zł, a drugi próg podatkowy do 200 tys. zł. Od dłuższego czasu piszę w tej sprawie do ministra finansów jako przewodniczący komisji gospodarki – żeby się spotkać, porozmawiać, szarpnąć do przodu. Nic. Cisza.

Bo co miałby panu powiedzieć? Że pieniędzy nie ma?

Nie chodzi mi o proste zwiększenie deficytu budżetowego. Szukajmy źródeł finansowania szerzej, weźmy pod lupę tych, którzy się rozliczają na ryczałcie, na którym od 2023 r. limit wynosi 8 mln zł przychodów rocznie. Uszczelnijmy to. Pomyślmy o podatku przychodowym dla firm, o podatku katastralnym dla spółek, które mają po kilkaset mieszkań i czerpią z nich dochód. Jeśli prezes InPostu mówi, że płaci niewspółmiernie większe podatki niż zagraniczne korporacjwe kurierskie, które wykazują większe przychody, to coś jest tu nie tak. Pewnie nie ma prostych rozwiązań na pstryknięcie palcami, ale od tego są rząd i Sejm, żeby je wypracować. Pamięta pan pomysł na odpartyjnienie rad nadzorczych spółek Skarbu Państwa?

Trzy razy pan do tego podchodził, jeszcze w czasach Polski 2050.

Mieliśmy bardzo proste główne założenie – 30 proc. osób w radach nadzorczych powinno przyjść z zewnątrz, z nowym know-how, innym spojrzeniem. A my idziemy w drugą stronę – zamykamy się. Jak nie jest nasz, to go nie weźmiemy, nawet jak jest lepszy.

Nowy minister aktywów państwowych miał się do tego wziąć.

Byłem na spotkaniu z ministrem Balczunem, którego skądinąd cenię, pracował poza polityką i rozumie te mechanizmy. Mówił, że ma pomysł, jak do ustawy o spółkach Skarbu Państwa wpisać odpowiednie przepisy dotyczące kompetencji. Czekam na efekty naszych rozmów. Wracam do pytania, które zadał mi pan na początku: czy jestem z koalicji, czy opozycji? Jestem w miejscu, w którym trzeba powiedzieć wprost: obiecaliśmy ludziom, że będzie inaczej, a nie jest. Przykro to mówić, ale jeśli chodzi o sprawy gospodarcze, to lepiej szło za czasów PiS. A jeśli nie lepiej, to przynajmniej była decyzyjność. Wiadomo, czasem podejmuje się decyzje trafne, czasem błędne, ale najgorszy jest marazm. A my przez cały czas rozmawiamy, analizujemy. Od dwóch lat omawiamy problemy przemysłu energochłonnego: cegielni, cementowni, zakładów produkujących nawozy, hutnictwa. I nic. Nie ma oferty. Skończy się tym, że będziemy rozmawiać jeszcze pewnie przez rok, a potem przyjdzie kampania i zaczniemy obiecywać. A tu i teraz takie firmy jak Rheinmetall będą musiały produkować stal pod nasze projekty z SAFE, bo nasz przemysł nie da rady.

Dlaczego to nie wybrzmiało wcześniej, nie było presji na premiera?

Polska 2050 jest w rozsypce, podzielona na dwa kluby. Nie jestem pewien, czy spotkania rady koalicji w ogóle się jeszcze odbywają. Sprytnie to rozgrywa KO: jeden koalicjant na aucie, zostają PSL i Lewica, a przy tym PiS z wielkimi problemami. Ale nie możemy przy tylu wyzwaniach iść zupełnie w drugą stronę.

Co ma pan na myśli?

Poszczególne branże mają wielkie problemy, w ochronie zdrowia ludzie mają przesuwane terminy na kolonoskopię czy gastroskopię, co czasem bywa wyrokiem, a my w rządzie rzucamy pomysł na dopłaty do emerytur artystów... Nie zagłosuję za tym. Mówię to od razu, publicznie, żeby ktoś później nie miał pretensji.

Ale to też jest problem, tylko na innym boisku.

Rozumiem, ale trzeba to wszystko postawić z głowy na nogi. Nie można wysyłać sygnału, który de facto jest symbolicznym potwierdzeniem, że koalicja oderwała się od podstawowych priorytetów zwykłych ludzi. Nie ma pieniędzy na gastroskopię, nie ma na drugi próg podatkowy, a są na emerytury artystów... Czuje pan, jak bardzo coś tu nie gra? ©℗

EUROPEJSKI KONGRES FINANSOWY

ORGANIZATOR EUROPEAN FINANCIAL CONGRESS

PARTNER ZWIĄZEK BANKÓW POLSKICH

Prezes ZBP: sytuacja bez precedensu

Nie ma drugiego państwa, w którym ryzyko prawne ważyłoby w ocenie instytucji finansowych więcej niż kredytowe – mówi dr Tadeusz Białek, prezes Związku Banków Polskich.

Prezes UOKiK ostro ocenił działania sektora, sugerując, że banki lobbują i chcą ograniczyć odpowiedzialność wobec konsumentów - „wybić zęby" sankcji kredytu darmowego. Jak pan odpowie?

Nie chcę prowadzić sporu z Prezesem UOKiK. ZBP od 35 lat uczestniczy w procesach legislacyjnych jako profesjonalna izba gospodarcza. Naszą rolą jest pokazywanie skutków regulacji dla klientów, sądów, sektora i gospodarki. Nasze analizy i postulaty odnośnie sankcji zgłaszaliśmy publicznie już od 2024 r. Kierujemy się prostą logiką: skoro przepisy o SKD, w ciągu 3-4 ostatnich lat są podstawą 25 tys. spraw w sądach, 15 pytań prejudycjalnych (w tym 7 zakończonych), a także 2 wniosków do SN o rozstrzygniecie zagadnienia prawnego, to problem nie leży po stronie kredytodawców, ale niejasnej, nieproporcjonalnej konstrukcji SKD. To problem systemowy, potwierdzony stanowiskiem KSF i innych organów i systemowo powinien zostać rozwiązany. Nie zgadzam się też z przeciwstawianiem banków konsumentom. Klient jest fundamentem działalności banków, a zaufanie klientów jest najważniejszym aktywem sektora. Przejrzyste przepisy i reguły funkcjonowania kredytodawców właśnie takie zaufanie budują. I o to wciąż postulujemy.

Dlaczego prace nad wdrożeniem CCD2 budzą tak duże emocje? Czy to spór o interesy banków?

Nie. To spór o jakość prawa. Dyrektywa CCD2 obowiązuje w całej UE, ale tylko w Polsce SKD tworzy tak poważne ryzyko systemowe. To pokazuje, że problem leży w krajowym sposobie projektowania przepisów. Jeśli prawo jest niejednoznaczne i nieproporcjonalne, powstaje masowy rynek sporów, na którym często bardziej niż konsument korzystają podmioty wyspecjalizowane w procesach. W wyroku C-472/23 TSUE potwierdził, że SKD nie może być automatyczną sankcją za każde uchybienie. Musi być proporcjonalna do wagi naruszenia i możliwości oceny przez konsumenta zakresu jego zobowiązania. W Polsce mamy bardzo silne i aktywne organy ochrony konsumenta i to na nich, a nie na kancelariach odszkodowawczych powinien być budowany system ochrony konsumenta. Dlatego ustawa musi być jasna, wykonalna i oparta na rzetelnej ocenie skutków regulacji. Ochrona konsumenta jest konieczna, ale nie może prowadzić do chaosu prawnego.

Czy pana zdaniem dochodzi do instrumentalnego wykorzystywania pytań prejudycjalnych do TSUE przeciwko sektorowi bankowemu?

Niestety, fakty mówią same za siebie. Jeśli spojrzymy na statystyki pytań prejudycjalnych kierowanych do TSUE, Polska jest niechlubnym liderem. Nasze analizy i obserwacje z pozycji banków, które są stronami tych postępowań, pokazują wprost: w absolutnej większości przypadków, a w niektórych kategoriach spraw wręcz w 100 proc., pytania te są inspirowane przez kancelarie prawne i odszkodowawcze. To one wysyłają do sądów gotowe wnioski o zadanie pytania do TSUE. Wyłącznym celem jest uzyskanie jakichkolwiek pozytywnych wskazówek ze strony Trybunału, które pozwolą tym kancelariom rozkręcić akcję procesową i maksymalizować własne zyski. Mamy do czynienia z jaskrawą instrumentalizacją haseł o ochronie praw konsumenta, która z realną ochroną nie ma nic wspólnego. Podam przykład, inicjatorami pytań do TSUE w zakresie sankcji kredytu darmowego (SKD) bywały podmioty, których model biznesowy opiera się na masowym skupowaniu wierzytelności za 10-15 proc. wartości. Potem dochodzą one przed sądem 100 proc. roszczeń, zasłaniając się przepisami o ochronie konsumenta. Tylko że prawdziwego konsumenta tam już dawno nie ma.

Polska jest dziś krajem o najwyższym poziomie ryzyka prawnego w sektorze bankowym w UE. Doprowadziliśmy do sytuacji bez precedensu nie tylko w Europie, ale i w całym cywilizowanym świecie. Nie ma drugiego takiego państwa, w którym ryzyko prawne ważyłoby w ocenie instytucji finansowych więcej niż ryzyko kredytowe. Całe to zjawisko ma swoje bezpośrednie źródło właśnie w instrumentalizacji prawa i oferowaniu masowych możliwości podważania niemal każdej umowy i każdej relacji, jaka funkcjonuje na linii klient – bank.

Czytaj więcej na forsal.pl □

eprasa.pl c554e197b0

FOT. WOJTEK GÓRSKI

Więcej pieniędzy, mniej niezależności

Piotr **Wójcik**

Reforma finansowania samorządów z 2024 r. podniosła ich dochody i zwiększyła samodzielność budżetową, ale w innych obszarach autonomia wspólnot lokalnych się kurczy.

Pod koniec rządów Prawa i Sprawiedliwości samorządy przechodziły trudne chwile. Wprowadzana na raty reforma podatkowa będąca elementem Polskiego Ładu wyraźnie obniżyła podatek dochodowy od osób fizycznych, głównego źródła wpływów do budżetów gmin i powiatów. Prawica nie tylko obcięła podstawową stawkę PIT do 12 proc., lecz także podwyższyła kwotę wolną od opodatkowania z 8 tys. do 30 tys. zł. Podatnikom dało to finansowy oddech, a administracji lokalnej zafundowało zadyszkę. Dla państwa wpływy z PIT są drugorzędne – w budżecie centralnym prym wiodą podatki pośrednie, z VAT na czele. Przed 2025 r. samorządy uzyskiwały z niego około połowy dochodów, więc mogły się poczuć potraktowane niesprawiedliwie. Rządząca większość bez konsultacji podjęła decyzję o obniżce, której skutki mieli ponieść włodarze gmin i powiatów.

Odwracanie centralizacji

Rząd Mateusza Morawieckiego zapewniał, że zasypie dziurę powstałą w kasach jednostek samorządu terytorialnego (JST). W tym celu ustanowił Rządowy Fundusz Inwestycji Lokalnych (RFIL). Żeby otrzymać pieniądze, trzeba było złożyć wniosek z opisem projektów inwestycyjnych. Władze lokalne nie mogły ich wykorzystać na inne cele, np. na podwyżki dla pracowników. Co więcej, fundusze z RFIL rozdzielano „po uważaniu" – większość trafiła do wspólnot, w których władzę sprawowali politycy bliscy Zjednoczonej Prawicy. Wykazała to dwójka profesorów: Paweł Swianiewicz i Jarosław Flis w raporcie Fundacji Batorego „Janosikowe kumotry – podwójne standardy rządowych dotacji". Weźmy przykład gmin liczących 25–100 tys. mieszkańców: te, w których rządzili ludzie powiązani z PiS, otrzymały 600 zł na mieszkańca; te rządzone przez polityków tzw. bloku senackiego dostały 304 zł. Zasada ta działała we wszystkich JST, niezależnie od wielkości.

Pieniądze z RFIL nie pozwoliły samorządom utrzymać dochodów na poziomie sprzed reformy. Według Eurostatu w 2021 r. budżety lokalne stanowiły 14,6 proc. PKB. W 2022 r. było to już tylko 13,2 proc. PKB. Ten gwałtowny spadek w ciągu roku był o tyle bolesny, że przypadł na okres kryzysu energetycznego związanego z wojną w Ukrainie.

Nowa koalicja rządząca obiecała to zmienić. I jest to jedna z nielicznych obietnic, które dała radę spełnić. Uchwalona jesienią 2024 r. zmiana finansowania samorządów to jedyna duża reforma obecnej władzy. W debacie publicznej jest właściwie przemilczana – nawet przez samych polityków koalicji. Osierocona ustawa zmieniła zasady podziału podatku PIT i CIT. Od stycznia 2025 r. kluczowe są już nie realne wpływy z tych danin, lecz dochody podatników mieszkających na terenie danej JST. Gminom przysługuje 7 proc. dochodów podatników PIT i 1,6 proc. zysków osób prawnych (CIT), mających siedzibę na ich terenie. W przypadku miast na prawach powiatu, które formalnie są gminami, ale wykonują też zadania wyższego szczebla, udział w podatkach był dużo wyższy – 8,6 proc. dochodów z PIT i 2,2 proc. zysków CIT. Na powiaty przypadło 2 proc. z PIT i 1,7 proc. zysków z CIT. Według Ministerstwa Finansów po uwzględnieniu kwoty wolnej i różnych ulg efektywna stawka PIT wynosi 4,5 proc.

Zmiany w podziale wpływów podatkowych wymusiły korektę mechanizmu przyznawania subwencji. Potrzeby finansowe podzielono na pięć podkategorii: wyrównawcze, oświatowe, rozwojowe, ekologiczne i uzupełniające. W każdej obowiązuje inny sposób kalkulacji. Potrzeby wyrównawcze wylicza się wyłącznie dla samorządów, w których dochody na głowę są niższe lub równe średniej krajowej. Chodziło o ograniczenie roli subwencji, by JST mogły się oprzeć głównie na dochodach własnych.

Stawanie na własnych nogach

Zasadniczo cele reformy zostały osiągnięte. Jak wynika z analizy PKO BP, w 2025 r. łączne dochody samorządów wyniosły 468,2 mld zł, co oznacza wzrost o 8,5 proc. w porównaniu z 2024 r. Kluczowa zmiana zaszła w strukturze wpływów do kas komunalnych. Udział dochodów własnych wzrósł z 50 proc. do 70 proc., a subwencji rządowej spadł z 28 do 11 proc. Ponieważ wydatki JST rosły wolniej (o 7,9 proc.), po raz pierwszy od 2021 r. udało im się wypracować niewielką nadwyżkę budżetową (1,8 mld zł). Chociaż zadłużenie samorządów nominalnie wzrosło do 115 mld zł, to w relacji do dochodów dług skurczył się do 24,7 proc. Dobre wyniki pozwoliły JST zwiększyć inwestycje aż o 9,4 proc., co zapewne było też zasługą napływu pieniędzy z Krajowego Planu Odbudowy. Analitycy PKO BP zwracają jednak uwagę, że osłabło tempo wzrostu wydatków m.in. na wynagrodzenia. A przecież wiadomo, że zarobki w urzędach gmin i powiatów nie należą do atrakcyjnych.

Już w 2024 r. samorządy otrzymały solidne wsparcie od rządu. Mowa m.in. o 10 mld zł na zasypanie dziury po utraconych wpływach z PIT. Dlatego według Eurostatu wpływy budżetowe JST osiągnęły w tamtym roku rekordowe 14,9 proc. PKB (rok wcześniej było to 13,1 proc.). Świetny wynik to również efekt dużego udziału subwencji w budżetach komunalnych (28 proc.). W 2025 r. dochody JST spadły do 14,8 proc. PKB, ale ich podstawą były już w głównej mierze dochody własne.

Profesor Paweł Swianiewicz i dr Julita Łakomska w raporcie Narodowego Instytutu Samorządu Terytorialnego przeanalizowali budżety komunalne w ujęciu realnym, czyli z uwzględnieniem inflacji. Okazało się, że dochody JST wzrosły o ponad 4 proc., a po wyłączeniu dotacji celowych o ponad 5 proc. Tylko 70 z ponad 2,8 tys. jednostek odnotowało realny spadek wpływów.

Niespodzianką jest lista największych beneficjentów reformy. Gdy ją wprowadzano, pojawiały się obawy, że większość korzyści popłynie do największych i najzamożniejszych JST. Tymczasem w jednej piątej najbiedniejszych gmin dochody realnie wzrosły o ponad 14 proc., a wśród jednej dziesiątej najzamożniejszych o 8 proc. „Podobną prawidłowość zaobserwowano w odniesieniu do wielkości jednostek – najmniejsze gminy poniżej 3 tys. mieszkańców zyskały blisko 16 proc., a duże miasta powyżej 50 tys. mieszkańców niespełna 10 proc. Wśród miast na prawach powiatu najbardziej zyskały ośrodki subregionalne o populacji od 50 do 100 tys. mieszkańców, notując wzrost o ponad 9 proc., podczas gdy w największych metropoliach wyniósł on około 5 proc." – czytamy w analizie.

Zaskoczeniem jest też sytuacja miast wojewódzkich. Osiem największych aglomeracji regionalnych straciło w ujęciu realnym, choć łącznie stolice województw zwiększyły swoje budżety o prawie 6 proc. Dochody powiatów wzrosły jedynie o 5 proc., a województw w ogóle się nie zmieniły. Udział tych ostatnich w podatkach PIT i CIT (odpowiednio 0,35 proc. i 2,3 proc.) jest zbyt niski. W przeliczeniu na mieszkańca przeciętny powiat dostał niespełna 100 zł, a gmina wiejska średnio ponad 650 zł. Obok wsi największym wygranym są miasta na prawach powiatu, które nie są stolicami województw – ich zysk wyniósł ponad 600 zł na mieszkańca.

„Dane o wykonaniu budżetów JST w 2025 r. jednoznacznie przeczą tezie o pogłębianiu się różnic między uboższymi i zamożniejszymi samorządami będącej rzekomo skutkiem nowej ustawy. Zarówno w grupie miast na prawach powiatu, jak i w grupie pozostałych gmin, procentowy wzrost dochodów w 2025 roku był wyższy w grupie jednostek mniej zamożnych" – piszą autorzy raportu.

Wygodne buty poprzedników

Rząd Zjednoczonej Prawicy dążył do podporządkowania sobie administracji lokalnej nie tylko finansowo. W procesie legislacyjnym wykorzystywano ścieżkę poselską, która nie wymaga konsultacji z Komisją Wspólną Rządu i Samorządu Terytorialnego, chociaż było wiadomo, że projekty powstawały w ministerstwach. Firmowana przez Przemysława Czarnka reforma edukacji zwiększyła rolę kuratoriów oświaty, dając im prawo blokowania zajęć dodatkowych w szkołach. Utworzone w 2018 r. Wody Polskie przejęły od samorządów zarządzanie zasobami wodnymi i zatwierdzanie taryf za gospodarowanie wodociągami i kanalizacją. Pod tym względem niewiele się zmieniło.

Według „Indeksu samorządności 2025" Fundacji Batorego po zmianie władzy nastąpiła co najwyżej drobna korekta. W niektórych obszarach pozycja finansowa i autonomiczna JST nawet się pogorszyła. Wprowadzenie systemu kaucyjnego bez rozszerzonej odpowiedzialności producenta osłabiło finanse gminnych systemów odpadowych. Nowa ustawa o ochronie ludności i obronie cywilnej rozszerzyła zakres zadań JST, ale utrzymała centralne finansowanie celowe i odgórny proces decyzyjny, więc gminy stały się jedynie wykonawcami wytycznych. Rządzący dalej korzystają ze ścieżki poselskiej, pomijając samorządy w procesie stanowienia prawa. Programy dotacyjne wciąż opierają się na niejasnych kryteriach. Poprawiła się za to kontrola państwa nad JST: odsetek decyzji wojewodów o nieważności uchwał samorządów, które zostały uchylone przez sądy, spadł poniżej 30 proc. Nie cofnięto jednak reformy z 2017 r., która przekazała kompeten-

Według danych GUS w 2024 r. liczba wynajętych mieszkań komunalnych znowu spadła – tym razem o 1,2 proc., do 596 tys. Wyprzedając nieruchomości, gminy oddają pole deweloperom

eprasa.pl c554e197b0

cje zarządzania zasobami wodnymi Wodom Polskim, ani nie ograniczono roli kuratoriów oświaty. Nowelizacja Karty nauczyciela rozszerzyła prawa nauczycieli do nagród jubileuszowych, odpraw i wynagrodzeń za niezrealizowane godziny ponadwymiarowe, co zwiększyło presję na lokalne budżety oświatowe.

Reforma finansowania JST zwiększyła autonomię samorządu, ale nie podniosła znacząco indeksu Fundacji Batorego. W skali 0–100 w 2025 r. wyniósł on 54,30. Rok wcześniej było to 52,55. To dużo lepszy wynik niż w rekordowo słabym 2023 r. (47,79), ale wciąż gorszy niż w pierwszej połowie rządów PiS – w 2021 r. indeks samorządności sięgnął 55,74. Nie ma też powodów, aby sądzić, że w najbliższym czasie autonomia JST się poprawi. W tym roku rozszerzono rolę kuratoriów oświaty w likwidacji i łączeniu szkół dotkniętych niżem demograficznym. Na dodatek chaos z wprowadzeniem systemu kaucyjnego spadł na barki samorządów, utrudniając im gospodarowanie odpadami.

Autonomia JST kurczy się również na ich własne życzenie. Gminy wymiksowały się z polityki mieszkaniowej, stopniowo redukując swoje zasoby mieszkań komunalnych poprzez prywatyzację. Według danych GUS w 2024 r. liczba wynajętych mieszkań komunalnych znowu spadła – tym razem o 1,2 proc., do 596 tys., z czego 64 tys. to lokale socjalne. Wyprzedając nieruchomości, gminy pozbawiają siebie narzędzi wpływu na lokalny rynek mieszkaniowy i oddają pole deweloperom, którzy jako coraz ważniejszy gracz polityczny mogą naciskać np. na zmiany w lokalnych planach zagospodarowania przestrzennego.

Kraj średnich miast

Mimo licznych problemów samorząd nad Wisłą wciąż jest jednym z najsilniejszych w Unii Europejskiej. JST w dużej mierze odpowiadają u nas za usługi publiczne, co nie jest normą na Starym Kontynencie. W wielu państwach dominuje model centralistyczny (Francja, Węgry), w innych silną władzę sprawują regiony (Hiszpania, Włochy). W Polsce kluczowymi JST są gmina i powiat, a więc stosunkowo niewielkie jednostki. Odpowiada to naszej specyficznej strukturze osadniczej. Nie mamy wielkich metropolii, za to miast powyżej 100 tys. mieszkańców jest aż 37. I to właśnie one – oprócz gmin – są beneficjentami reformy.

Niespełna 15 proc. PKB, które trafia do kas samorządów, to czwarty najwyższy wynik w UE. Polskę wyprzedzają pod tym względem jedynie mocno zdecentralizowane państwa nordyckie: Dania (31 proc. PKB) oraz Szwecja i Finlandia (po 24 proc.). Średnia unijna to 11 proc. PKB. W wielu państwach Europy Środkowo-Wschodniej wskaźnik ten plasuje się poniżej 10 proc. (na Węgrzech to 5,5 proc. PKB).

Oddanie dużej władzy wspólnotom lokalnym miało wzmocnić w Polsce demokrację i zapewnić, że więcej decyzji będzie podejmowanych bliżej mieszkańców. Niestety, w ostatnich latach politycy zrobili wiele, by ten model odwrócić. ©℗

Świat

Umocnienia przeciwczołgowe na granicy łotewsko-rosyjskiej

FOT. GINTS IVUSKANS/AFP/EAST NEWS

Wojna już się rozlewa

Ukraińcy uważają, że rosyjskie problemy na froncie mogą popchnąć Putina do próby ucieczki do przodu i zaatakowania państw bałtyckich

Michał Potocki

Uczniowie dziewiątych klas 26 maja zdawali egzaminy z języka łotewskiego. 1350 z nich będzie musiało podejść do nich ponownie. Nie ze względu na złe wyniki – egzaminy przerwał alarm ostrzegający przed ukraińskimi dronami, które mogły zboczyć z kursu wskutek działania rosyjskiej broni radioelektronicznej. Zaawansowana technologicznie wojna rosyjsko-ukraińska już zaczyna się rozlewać na państwa ościenne.

I widać tego pierwsze efekty polityczne. Na początku maja przez incydent z bezzałogowcami upadł łotewski rząd. Poszło o przeoczenie przez siły powietrzne ukraińskich dronów, które zboczyły z kursu i spadły na terenie zbiorników ropy naftowej pod Rzeżycą. Głównodowodzący łotewskiej armii gen. Kaspars Pudāns przyznał, że ▷

eprasa.pl c554e197b0

19 maja rumuński myśliwiec zestrzelił ukraińskiego drona nad estońskim jeziorem Võrtsjärv. Dzień później litewskie wojsko ogłosiło czerwony alarm w rejonie wileńskim i Wilnie, gdy wykryło drona w pobliżu granicy

systemy nie wykryły jednego z bezzałogowców. W konsekwencji do dymisji podał się minister obrony Andris Sprūds, a w ślad za nim upadła koalicja premier Eviki Siliņi.

Rozmawiałem wtedy ze Sprūdsem. – To Rosja ponosi odpowiedzialność za ten incydent. Kontynuuje ataki na Ukrainę, a kontrataki zakłóca za pomocą narzędzi walki elektronicznej, które wpływają na trajektorię ukraińskich dronów – przekonywał. – Nie możemy całkiem uniknąć podobnych zdarzeń, choć nasze siły zbrojne robią wszystko, co w ich mocy, by im zapobiegać. Zdarzały się one zresztą także w innych państwach regionu – dodawał. Sprūds oświadczył zarazem, że Kijów „ma prawo razić legalne cele w Rosji". – Ukraina ma prawo do obrony własnej, realizowanej także poprzez ataki na terenie Rosji – powiedział. Minister zaprzeczył przy tym, by Kijów korzystał z łotewskiej przestrzeni powietrznej, o co Łotyszy oskarża Kreml.

Niepokój w Dyneburgu

Alarmy dronowe w krajach bałtyckich stają się jednak smutną codziennością. W Łatgalii, południowo-wschodniej części Łotwy, gdzie mieszkają tysiące etnicznych Rosjan, przerwano kilka egzaminów. Część dzieci zdawała je w przystosowanych do tego celu piwnicach. Resort edukacji zawczasu rozesłał do szkół poradnik, jak się zachować w razie zagrożenia z powietrza. Mieszkańców powoli zaczyna przepełniać strach. Lokalne media z 95-tysięcznego Dyneburga, największego w Unii Europejskiej miasta z rosyjskojęzyczną większością, informują o liczbie schronów. Jak pisze Gorod.lv, z 52 tylko 9 spełnia wymagania, ale żeby dostosować je wszystkie, samorządowi brakuje pieniędzy.

– Wszystko, co się dzieje w regionie, jest w naszych rękach. Możemy liczyć tylko na siebie – powiedział telewizji LTV burmistrz miasta Andrejs Elksniņš, dodając, że bezpieczeństwo na granicy okazało się iluzoryczne. Przedsiębiorcy z branży turystycznej – a region obfituje w jeziora, lasy i parki narodowe – już mówią o straconym sezonie letnim. Łatgalskie Stowarzyszenie Turystyczne (LTA) podaje, że organizatorzy wycieczek i turyści masowo anulują rezerwacje noclegów. Wskaźnik rezygnacji według LTA sięga 60 proc. Na dodatek Ivo Dembovskis z Łotewskiej Izby Handlowo-Przemysłowej skarżył się na posiedzeniu sejmowej podkomisji, że biznes zainteresowany inwestycjami w Łatgalii wycofuje się z nich.

Z podobnymi problemami stykają się sąsiedzi Łotwy. 19 maja rumuński myśliwiec zestrzelił ukraińskiego drona nad estońskim jeziorem Võrtsjärv. Dzień później litewskie wojsko ogłosiło czerwony alarm w rejonie wileńskim i Wilnie, gdy wykryło drona w pobliżu granicy, choć jeszcze na terenie Białorusi. Wstrzymano ruch pociągów pasażerskich, zamknięto lotnisko w stolicy, a jej mieszkańcom polecono udanie się do miejsc schronienia. Do schronów udali się prezydent Gitanas Nausėda i premier Inga Ruginienė. Poderwano w powietrze natowskie myśliwce. Władze potraktowały alarm jak test, ale jego rezultaty nie były w pełni zadowalające. Minister transportu Juras Taminskas narzekał, że port lotniczy przygotowywał stosowne komunikaty dla pasażerów tak długo, że alarm zdążył zostać odwołany.

Władze przyspieszają przygotowania. Urzędnicy otrzymują poradniki, jak się zachowywać w razie zagrożenia. Litwini zbudują poligon w Kopciowie na przesmyku suwalskim, być może nadadzą mu imię Emilii Plater. Pomysł zakładał wspólny projekt z Polską, ale Warszawa nie była zainteresowana. W łotewskiej bazie w Ādaži, gdzie stacjonują także nasi żołnierze, rozpoczęto testy zautomatyzowanych zestawów antydronowych rodzimej produkcji. Na wschodniej granicy Łotwy są rozmieszczane zęby smoka, betonowe zapory przeciwczołgowe. Na wschodniej granicy Estonii – radary i systemy antydronowe. 28 maja Reuters podał, że NATO szykuje korekty planów na wypadek ataku Rosji na państwa bałtyckie. Odpowiedzialność za dowodzenie kontyngentem alianckim miałby przejąć korpus holendersko-niemiecki.

Napięcia pogłębiają ostrzeżenia ukraińskich polityków i ekspertów. Wielu z nich jest przekonanych, że rosyjskie problemy z obroną przed dronami i pat na froncie mogą popchnąć Władimira Putina do ogłoszenia kolejnej fali mobilizacji i do próby ucieczki do przodu. Jej elementem mogłaby być eskalacja wymierzona w któreś z mniejszych państw Sojuszu Północnoatlantyckiego, by wykazać metodą rozpoznania bojem, że art. 5 traktatu waszyngtońskiego nie działa. – Po co byłaby taka wielka mobilizacja? By powtórzyć ofensywę na Ukrainę, a w wariancie B, żeby przeprowadzić równoległą, niewielką ofensywę tam, gdzie można to zrobić mniejszym nakładem sił. Dlatego, że to czy inne państwo, np. bałtyckie, nie jest gotowe do silnego oporu – oświadczył w kwietniu prezydent Wołodymyr Zełenski.

Jego słowa wywołały falę krytyki w państwach bałtyckich, zwykle stojących murem za Kijowem i udzielających mu znacznej jak na własny potencjał pomocy wojskowej. Szef komisji spraw zagranicznych estońskiego parlamentu Marko Mihkelson oskarżył Zełenskiego o powielanie tez rosyjskiej propagandy. Tallinn skłonił ministra obrony Ukrainy Mychajła Fedorowa do przeprosin za incydent z 19 maja, gdy rumuńscy sojusznicy musieli strzelać do ukraińskiego bezzałogowca. Na taki gest Kijów nie zdecydował się w stosunku do Polski, gdy w listopadzie 2022 r. ukraińska antyrakieta zabiła w Przewodowie dwie osoby. Ukraińcy nie odpowiedzieli na nasz wniosek o pomoc prawną. Prokuratura w Kijowie nigdy też nie odpowiedziała na pytania DGP o powody tej bezczynności. Incydent był pierwszym na drodze do pogorszenia relacji polsko-ukraińskich.

Scenariusze eskalacji

Poseł Sługi Narodu Ołeh Dunda przekonywał mnie w Kijowie, że scenariusz eskalacji na odcinku bałtyckim może być inny. Jego zdaniem Rosjanie mogą wykorzystać uśpionych agentów przebywających np. na terenie Litwy do ataku z wykorzystaniem kilkudziesięciu dronów, by wywołać panikę i chaos. Incydenty z dronami zdarzały się już w Europie Zachodniej, np. w listopadzie 2025 r. na terenie Belgii, co zakłócało pracę portów lotniczych. Z kolei lotnisko w Wilnie na początku tego roku było regularnie zamykane ze względu na wysyłanie przez Białorusinów balonów meteorologicznych wypełnionych przemycanymi papierosami. Władze Litwy prosiły o – jak się wydaje skuteczną – interwencję amerykańską administrację, negocjującą właśnie zasady resetu z Alaksandrem Łukaszenką.

– Rosja już dziś prowadzi wobec Zachodu działania o charakterze hybrydowym, czyli poniżej progu otwartej agresji zbrojnej – mówił w niedawnej rozmowie z DGP minister spraw zagranicznych Radosław Sikorski. – Ale to są wciąż działania kinetyczne: drony, z którymi nasze siły powietrzne musiały się mierzyć, próba wysadzenia pociągu, w której Rosjanie mogli się spodziewać ofiar, podpalenia, szpiegostwo, a także wojna kognitywna, czyli działania nastawione na polaryzację i wzmacnianie niechęci wobec siebie nawzajem oraz wobec sąsiadów i sojuszników. To wszystko już się dzieje. Kluczowy problem nie polega jednak na tym, że Putin mógłby zdecydować się na pełnoskalową ofensywę przeciwko NATO, ponieważ w takim scenariuszu najpewniej by przegrał. Z tego powodu nie ma też podstaw do paniki – przekonywał.

– W tym momencie nie ma przesłanek wskazujących, że bezpośrednie uderzenie wojskowe na państwa bałtyckie jest prawdopodobne – dowodził Andris Sprūds. – Taka jest nasza ocena, bazująca na ocenach instytucji, które się tym zajmują. Dopóki Rosja walczy z Ukrainą, jej zasoby są ograniczone. Nie należy bagatelizować zagrożeń, ale nie należy też ich wyolbrzymiać. Rosja nie jest tak silna, jak chce się przedstawiać. Kreml czasem też blefuje – przypominał. – Musimy być gotowi, ale nie powinniśmy dramatyzować ani panikować. To może zaszkodzić rozwojowi naszych gospodarek, a one przecież też są ważne w kontekście rozbudowy potencjałów obronnych, bo trzeba skądś brać pieniądze na inwestycje – dodawał.

– Identycznych słów używały nasze władze, gdy uspokajały nastroje przed 24 lutego 2022 r. – komentuje poseł Dunda. Rosjanie zaś podbijają poczucie zagrożenia. 25 maja Putin podpisał ustawę poszerzającą prawo użycia sił zbrojnych za granicą. Od tej pory Kreml może wysłać wojsko w obronie obywateli Rosji stawianych przed sądami. Szef parlamentarnej komisji obrony Andriej Kartapołow wiązał nowelizację ze sprawą archeologa Aleksandra Butiagina, który czekał w polskim areszcie na decyzję w sprawie ekstradycji na Ukrainę za nielegalne prace na okupowanym Krymie. Butiagin został przekazany Rosji w ramach wymiany więźniów, dzięki której wolność odzyskał m.in. dziennikarz Andrzej Poczobut.

Można sobie jednak wyobrazić zamieszki, w których do aresztu na Łotwie czy w Estonii trafiają miejscowi Rosjanie, akurat dysponujący paszportami Federacji Rosyjskiej. Argument z ustawy zostanie wtedy wykorzystany do zastraszania sąsiadów. Moskwa ogłosiła też ostatnio, że na Łotwie przebywają już ukraińscy żołnierze, którzy mieliby z jej terytorium szykować się do atakowania dronami portu w podpetersburskiej Ust'-Łudze. Kijów i Ryga kategorycznie zaprzeczyły. – Agresor prawdopodobnie szuka słabych punktów. Na Łotwie trwają zmiany rządowe, więc takie epizody próbuje się wykorzystać, aby wywierać dodatkową presję i korzystać nawet z najmniejszych możliwości wpływania na instytucje państwowe i opinię publiczną – przekonywał w rozmowie z portalem 15min.lt Juozas Olekas, przewodniczący Sejmu sąsiedniej Litwy.

Łotwa: najsłabsze ogniwo

„To będzie wpis niepoprawny politycznie, ale zawsze uważałem Łotwę za najsłabsze ogniwo. Nie Narwę, nie Suwałki, lecz Dyneburg. Nie estońskich Rosjan, nie litewskich Polaków, a społeczeństwo łotewskie. Rosjanie poczuli krew, trwa kryzys rządowy" – napisał na Facebooku Tomas Janeliūnas, litewski ekspert ds. bezpieczeństwa. A szef tamtejszego kontrwywiadu Remigijus Bridikis ocenił, że Rosjanie testują już bałtycką gotowość na scenariusze wojskowe. – Celem operacji jest

eprasa.pl c554e197b0

wywarcie presji, byśmy zarzucili wspieranie Ukrainy – powiedział na antenie Žinių radijas. – Rosja testuje nas każdego dnia za pomocą cyberataków, incydentów wymierzonych w infrastrukturę krytyczną, naruszania przestrzeni powietrznej przez drony, kampanii dezinformacyjnych, stosowania nielegalnej imigracji jako broni – mówił Andris Sprūds.

Łotewskie doświadczenia z egzaminami uważnie śledzili Litwini. Matury na Litwie potrwają do 20 czerwca. Ministerstwo edukacji przygotowało procedury na wypadek zagrożenia dronowego. Szefowa resortu Raminta Popovienė powiedziała, że algorytm będzie zależał od czasu trwania alarmu. – Jeżeli będzie to 15 minut, możliwe będą dwa rozwiązania: powrót i dalsze zdawanie egzaminu albo rezygnacja z kontynuowania, jeśli był to duży stres, i przyjście na powtórną sesję – powiedziała Popovienė, cytowana przez portal Zw.lt. Jeśli zagrożenie potrwa dłużej, najprawdopodobniej wszyscy maturzyści z danej szkoły zostaną skierowani na lipcową sesję poprawkową.

Mimo to politycy bałtyccy jak jeden mąż przekonują, że ich wiara w art. 5 Traktatu północnoatlantyckiego jest niepodważalna. – Jesteśmy częścią NATO, sojuszu 32 narodów. Zdarza nam się spierać, ale mocno wierzę w jedność. Atak na dowolny kraj będzie oznaczał atak na cały Sojusz – mówił mi Sprūds. – Znamy obawy państw europejskich, że Trump może wyprowadzić Amerykę z NATO. Jest odwrotnie. Prezydent USA i administracja proszą – czy wymagają – od sojuszników, by serio podchodzili do zobowiązań w zakresie bezpieczeństwa transatlantyckiego. To sugeruje, jak oni sami poważnie do nich podchodzą – dodawała w marcowej rozmowie ze mną wiceszefowa litewskiej dyplomacji Audra Plepytė. Jej szef Kęstutis Budrys w majowym wywiadzie dla „Neue Zürcher Zeitung" dodał nawet, że „powinniśmy pokazać Rosjanom, że możemy się wedrzeć w ich maleńką twierdzę, którą zbudowali w Królewcu".

Faktycznie ta pewność nie jest żelazna. Jak usłyszałem od jednego z rozmówców, przedstawiciele amerykańskiej administracji reagują irytacją na podważanie ich wiarygodności. Ryga, Tallinn ani Wilno więc jej publicznie nie podważają. Ale Donalda Trumpa każdy słucha z niepewnością. Podobnie jak pogróżek Rosji. Rzeczniczka jej dyplomacji Marija Zacharowa określiła słowa Budrysa mianem „samobójczej paranoi", a senator z Królewca Aleksandr Szendieriuk-Żydkow podał w wątpliwość, czy Litwa zasługuje na niepodległość. – W razie natowskiego ataku na Królewiec nie da się uniknąć sięgnięcia po doktrynę wojskową i jądrową Rosji – oświadczył szef parlamentarnej komisji spraw zagranicznych Leonid Słucki. ©℗

Więcej tekstów tego autora Skanuj kod! DGP.pl

FOT. PIERPAOLO MITTICA/PANOS PICTURES/FORUM

Pomnik Lenina w kazachskim mieście Semej, 100 km od centrum dawnego radzieckiego poligonu nuklearnego Semipałatyńsk

Wielki Step upomina się o swoje

Kłopoty Rosji w wojnie z Ukrainą, pozornie drobne złośliwości prezydenta Kazachstanu pod adresem Putina oraz rosnąca przewaga i aspiracje Chin w Azji to koherentne sygnały wskazujące na bliski koniec parowiekowej rosyjskiej hegemonii nad Wielkim Stepem

Witold

Sokała

Naszą uwagę przyciąga dzisiaj głównie południowo-wschodnia część Azji, nazywana często Indo-Pacyfikiem, bo to tam mieszka lwia część populacji globu, tam wytwarza się dzisiaj większość światowego PKB. Tam też tykają przeróżne bomby, grożące regionalnym lub nawet globalnym kataklizmem. Tymczasem w cieniu procesów dziejących się w tej morsko-wyspiarskiej części świata tempa nabiera przebudowa relacji w gigantycznej, śródlądowej przestrzeni zwanej niekiedy Wielkim Stepem. Współcześnie rzadko jest ona postrzegana jako geostrategiczna całość. Bywała nią w przeszłości, potem jednak rozpadła się na różne podstrefy, a jednocześnie stała się kolonialnym łupem imperium rosyjskiego i – w gruncie rzeczy – jednym z głównych fundamentów jego istnienia. Teraz, gdy Rosja ewidentnie słabnie, przychodzi pora na intelektualne i polityczne przygotowania do wielkiej zmiany. Niektórzy z graczy przeszli już od rozważań do realizacji dobrze przygotowanych strategii.

Dziedzictwo Czyngis-chana

Chodzi o pas ciągnący się od Mandżurii, źródeł Amuru i gór Chinganu przez terytoria dzisiejszej Mongolii i Kazachstanu, ziemie w dolnym biegu Wołgi i Donu, aż po Krym, ujście Dunaju i Podole. W jego obrębie powstawały i rozkwitały ekspansywne cywilizacje – z aułów pradawnych koczowników wyrosły plemiona Hunów, Bułgarów i Chazarów, a wreszcie imperium Mongołów. Z perspektywy dawnych Europejczyków, Persów, Hindusów i Chińczyków mongolscy agresorzy przybywali z krańców świata. Dla ludów Wielkiego Stepu to my byliśmy peryferiami zdatnymi najwyżej do podboju i eksploatacji.

Państwo mongolskie w czasach swej świetności dysponowało sprawną administracją, systemem podatkowym, pocztą, siecią szlaków komunikacyjnych, a przede wszystkim profesjonalną armią, której aparat sztabowy, logistyczny i wywiadowczy do dziś imponuje fachowcom (zachodnia sztuka wojenna dopracowała się analogicznych kompetencji dopiero w czasach napoleońskich). Poddani wielkich chanów żyli nie tylko z pasterstwa i łupiestwa, lecz także z zaawansowanego rzemiosła i przede wszystkim z handlu, także tego „długodystansowego", związanego z Jedwabnym Szlakiem. Na stepie wyrosły wówczas bogate miasta, które nie miały potrzeby stawiać fortyfikacji, za to dysponowały wodociągami, kanalizacją, publicznymi łaźniami i toaletami. Wszystko to bardzo długo działo się w atmosferze pełnej tolerancji religijnej – na równych prawach i generalnie bezkonfliktowo koegzystowały islam, buddyzm, różne odmiany chrześcijaństwa, judaizm, szamanizm i oryginalne kulty lokalne.

A potem – rzecz w historii ludzkości normalna – model rozwojowy utracił dynamikę, nasiliły się wewnętrzne konflikty, za to sąsiedzi zdołali się otrząsnąć z klęsk i urośli w siłę. Swoje dołożyły kaprysy przyrody. Na ogromnych połaciach Wielkiego Stepu zapanowała długotrwała próżnia polityczna. Z czasem zaś wypełnił ją najsilniejszy i najbardziej zdeterminowany z graczy zewnętrznych. Los sprawił, że okazała się nim akurat Rosja.

Od carów do Putina

To był proces rozłożony na stulecia. Na zachodzie ułatwił go niechcący wielki książę Witold, któremu marzyła się litewsko-ruska monarchia od Karpat po Ural i Powołże, ale pogrzebał szanse tego projektu w przegranej bitwie nad Worsklą. Jego działania osłabiły jednak znacząco Ordę, sprzyjając mnożeniu się drobnych i coraz słabszych chanatów w zachodniej części Wielkiego Stepu. Niektóre z nich podporządkowała sobie ottomańska Turcja, ale przewagę stopniowo zaczęła zdobywać Moskwa – niedoceniany wcześniej, ubogi kraik z północy, który bardzo długo korzył się przed mongolskimi panami, a nawet wspólnie z nimi ruszał przeciwko współziomkom. Notabene to Mongołowie, obracając w perzynę bogatsze ośrodki, m.in. Kijów, też przysłużyli się peryferyjnemu Księstwu Moskiewskiemu, wyrównując jego szanse w nadchodzącej grze o dominację na Rusi.

W roku 1480 Iwan III formalnie odrzucił zależność od Ordy i ogłosił się suwerennym władcą. Przy okazji pojął za żonę bizantyjską księżniczkę i zapoczątkował doktrynę Trzeciego Rzymu, do dziś nośną w Rosji. Jego następcy konsekwentnie poszerzali domenę. Wchłonęli m.in. żyzne ziemie chanatów kazańskiego i astrachańskiego, co walnie przyczyniło się do wzrostu rosyjskiego bogactwa. Ekspansja nie zawsze odbywała się przez podbój – czasami przez chaotyczną migrację i pokojową kolonizację, jak w przypadku narodzin kozactwa dońskiego. ▷

eprasa.pl c554e197b0

Ale gdy to nie wystarczało, pojawiały się coraz lepiej uzbrojone, zwłaszcza po wielkiej modernizacji za czasów Piotra I, ekspedycje wojskowe.

Jeszcze w drugiej połowie XVI w. krymscy Tatarzy zdołali po raz ostatni spalić Moskwę i uprowadzić stutysięczny jasyr. Dwa wieki później, już za czasów Katarzyny II, rosyjskie imperium mocno usadowiło się nad brzegami mórz Czarnego i Azowskiego, zlikwidowało chanat syberyjski i złamało opór Baszkirów. W XIX stuleciu zdobyło południowy Kaukaz, zabezpieczając przed Turkami stepowe równiny Powołża, podbiło niemal całą Azję Środkową, a na Dalekim Wschodzie wymusiło na słabym Cesarstwie Chińskim znaczące ustępstwa terytorialne nad Amurem. Nieformalne wpływy sięgnęły jeszcze dalej, już poza Wielki Step, aż do Korei i zachodnich prowincji chińskich oraz Afganistanu.

Tak narodziło się imperium de facto kolonialne, brutalnie eksploatujące podbite krainy i depczące ich stare kultury. Po rewolucji bolszewickiej niektóre z nich spróbowały buntu, ale Armia Czerwona szybko je spacyfikowała. Dopiero rozpad ZSRR stworzył na obszarze Wielkiego Stepu nowe szanse. Formalna niepodległość dawnych republik radzieckich długo łączyła się jednak z bardzo silną dominacją Moskwy w sferze gospodarki i bezpieczeństwa, a miejscowe elity były oplecione siecią rosyjskiej agentury, uwikłane w zależności o charakterze mafijnym, a część pozostawały też w niewoli swojej sowieckiej mentalności. Paradoks polega na tym, że Putin – rzucając hasło „zbierania ziem ruskich" (a tak naprawdę „radzieckich"), czyli reintegracji dawnego imperium – najwyraźniej się przeliczył. I uzyskuje właśnie efekt odwrotny do zamierzonego.

Renesans kijowskiej Rusi

Najbardziej wyraźnie widać to w przypadku zachodniego wylotu Wielkiego Stepu, czyli Ukrainy. Mimo często pogardliwego tonu, jakiego używają wobec niej współcześni Wielkorusowie, zawsze była ona perłą w koronie rosyjskiego (i radzieckiego) imperium, bo to kraj żyzny i bogaty w surowce, ważne zakłady przemysłowe, w dodatku strategicznie położony. Pierwsze lata ukraińskiej niepodległości nie dawały Kremlowi powodów do paniki – Kijów oficjalnie lawirował między Wschodem a Zachodem, ale faktycznie dryfował ku moskiewskiej strefie wpływów, korupcja kwitła, liberalne i demokratyczne reformy buksowały. Szokiem, ale raczej chwilowym, mogły być Majdan i pomarańczowa rewolucja. Dopiero luty 2022 r. pokazał, że Ukraińcy nie tylko mają serdecznie dość moskiewskiej dominacji, lecz także posiedli instrumenty do jej zwalczania.

Teraz przychodzi czas na kolejny etap. Nawet w okolicach Kremla nadzieje na wygranie wojny metodami czysto wojskowymi chyba już umarły. Urzędowy optymizm co do odporności rosyjskiej gospodarki na sankcje i inne skutki wojny blednie w obliczu narastających kłopotów z dostępem do kluczowych technologii, deficytem budżetowym, brakiem rąk do pracy w gospodarce cywilnej, odczuwaną już wyraźnie przez ludność inflacją. Głównym dylematem po stronie rosyjskiej nie jest już to, jak i kiedy ostatecznie dobić przeciwnika, lecz jak uniknąć fatalnych skutków ukraińskich ataków powietrznych na kluczowe instalacje w głębi kraju, a nawet, coraz częściej, jak bez masowej mobilizacji zapobiec skutkom możliwej nowej ofensywy ukraińskiej na lądzie. Przeciwnik podgrzewa atmosferę – coraz mocniejsze ataki na szlaki zaopatrywania wojsk na Krymie mogą sugerować, że za jakiś czas nastąpi ukraińska próba drastycznego odwrócenia losów wojny. Putin i akolici robią w tej sytuacji dobrą minę do złej gry, strasząc eskalacją nuklearną, domagając się ustępstw terytorialnych w Donbasie, ewentualnie opowiadając dyrdymały na temat cywilizacyjnej i historycznej przewagi Rosji nad Ukrainą. Na to mało kto się jeszcze nabiera.

Wygląda na to, że Ukraina jednak wyrwie się na wolność. To oznacza, że wejście od zachodu na Wielki Step jest otwarte dla nowych graczy. Czy ostatecznie skorzystają na tym bardziej Amerykanie, czy raczej Niemcy (względnie Unia Europejska) – to z rosyjskiego punktu widzenia wtórne, ale zawsze złe. Przy okazji nastąpiło podkopanie wśród wielu dotychczasowych sojuszników wiary w to, że Putin może w dłuższej perspektywie siłowo kontrolować inne kraje postradzieckie. Widać to choćby w Armenii, a teraz fala dociera do Azji Środkowej.

Upiory azjatyckiego interioru

U schyłku ZSRR w stepowym interiorze etniczne i kulturowe różnice były wciąż znacznie większe niż w części europejskiej, a poczucie solidarności ze „swoimi" utrzymało się na wysokim poziomie pomimo dekad polityki władz centralnych, które usiłowały je niwelować różnymi metodami (rzadziej zachętami awansu społecznego, częściej brutalnymi represjami). Przekonał się o tym Michaił Gorbaczow. Gdy postanowił zdymisjonować szefa partii komunistycznej w Kazachstanie Dinmuchammeda Kunajewa i łamiąc niepisaną zasadę, zastąpić go Rosjaninem, skądinąd, zgodnie z duchem pierestrojki, młodszym i znacznie bardziej kompetentnym, na ulice Ałma Aty wyszedł tłum, skandując „Kazachstan dla Kazachów". Pacyfikacja demonstracji wymagała użycia ostrej amunicji.

Gdy Związek Radziecki wszedł w burzliwą fazę rozpadu, stłumiony przez dekady nacjonalizm doszedł do głosu nie tylko w dużych republikach związkowych, lecz również w jednostkach autonomicznych – w Baszkirii, Buriacji, Jakucji czy Tatarstanie. Ten ostatni głośno domagał się statusu republiki związkowej, ze stolicą w Kazaniu, a w 1990 r. przejściowo ogłosił nawet suwerenność. Rosja potem pracowicie likwidowała te ruchy odśrodkowe, znowu poprzez kombinację czynników ekonomicznych i przemocy. Z usamodzielnionymi już, niepodległymi państwami Azji Środkowej ułożyła sobie natomiast stosunki na zasadzie wasalnej. Wzmacniała też swój nadzór dzięki sieci powiązań instytucjonalnych – od Wspólnoty Niepodległych Państw po Szanghajską Organizację Współpracy. Ta ostatnia miała faktycznie służyć zapobieganiu dwóm kluczowym zagrożeniom – prodemokratycznym rewolucjom oraz wzrostowi aktywności środowisk islamskich.

Jeszcze nie tak dawno, bo w styczniu 2022 r., to rosyjscy sołdaci „przywrócili porządek" w Kazachstanie, najsilniejszym państwie regionu. Świeżo upieczony prezydent Kasym-Żomart Tokajew (uchodzący wówczas za kukiełkę w rękach swego wszechmocnego poprzednika, dawnego dygnitarza KPZR Nursułtana Nazarbajewa) musiał ich wezwać na pomoc w obliczu masowych protestów i zamieszek po skokowej podwyżce cen gazu, którym szybko zaczęły towarzyszyć postulaty polityczne. Ale potem sprzątał już sam, nie tylko ograniczając wpływy klanu Nazarbajewa, a wraz z nim Rosjan, lecz także oddalając ryzyko kolejnego kryzysu gospodarczego w państwie, które dysponuje gigantycznymi bogactwami naturalnymi, w tym uznawanymi za jedne z największych na świecie złożami uranu i metali ziem rzadkich. Okazało się, że „wystarczyło nie kraść" (a precyzyjniej: kraść mądrzej niż poprzednie ekipy) oraz szerzej otworzyć kraj na współpracę ekonomiczną i technologiczną z nowymi partnerami (chińskimi, amerykańskimi i unijnymi). Spore środki przeznaczono na programy „dekolonizacji", czyli ostatecznego odrzucenia spuścizny radzieckiej, i odbudowy poczucia dumy narodowej.

Wejście smoka

Kazachstan zajął przy tym sprytną pozycję wobec wojny Putina przeciwko Ukrainie. Wiele razy ostentacyjnie odmówił Moskwie wsparcia, choćby w istotnych głosowaniach na forum ONZ, a jednocześnie stał się jednym z kluczowych pośredników po cichu pomagających Rosji w obchodzeniu sankcji handlowych. Nie z sympatii dla agresywnej wojny Kremla, rzecz jasna, ale z pobudek czysto komercyjnych.

Najnowszym aktem tego spektaklu dyplomatyczno-biznesowego jest podpisanie parę dni temu przez Rosję i Kazachstan wartej ok. 16,5 mld dol. umowy w sprawie budowy do 2034 r. pierwszej kazachskiej elektrowni jądrowej. Na Kremlu odtrąbiono to jako przełomowy sukces, ale prawda jest taka, że na umowie długofalowo skorzystają przede wszystkim Kazachowie, bo uniezależnią się od zakupów energii w Rosji, zaś drugi zakład będzie równocześnie budować CNNC – nuklearny potentat z ChRL.

Tokajew obudował ten etap realnego rozluźniania więzów z Moskwą szumnymi deklaracjami o pogłębianiu partnerstwa i strategicznej współpracy, wieloma mniej znaczącymi umowami bilateralnymi oraz... przypominaniem, że zanim Rosja stała się potęgą, gięła kark przed imperium, którego dziedzicem jest obecnie Astana, i zbierała daniny dla jego władców (napomknął np., że nazwa kazachskiej waluty tenge pochodzi od ordyńskiej monety dang, od której wywodzi się także rosyjskie określenie pieniędzy – diengi). Równocześnie wspierana przez państwo nowa narracja historyczna podkreśla, że to Kazachstan stara się przejąć to, co najlepsze z tradycji Wielkiej Ordy – rolę „imperium logistycznego" i hubu między Chinami a Europą. Rosji pozostaje druga część dziedzictwa: despotyzm, brutalność i agresywna ekspansja.

To nie jest przejście na pozycje wroga, to coś dla Rosjan jeszcze trudniejszego, bo mniej zrozumiałego. To wyzwolenie się z roli „junior partnera" i narzucanie własnych, nowych reguł kooperacji. Efektywne z uwagi na wzrost potencjału takich państw jak Kazachstan, ale też ich zaplecza w postaci Pekinu.

W interesie Chin jest bowiem poszerzenie swoich wpływów w kontynentalnej części Azji i umocnienie kontroli nad lądowym szlakiem handlowym do Europy. Staje się to tym ważniejsze, im większy opór napotykają plany ekspansji na Indo-Pacyfiku, im mniejsze widzą szanse na osłabienie amerykańskiej kontroli nad kluczowymi szlakami morskimi – zwłaszcza że otwartą konfrontację z USA najwyraźniej wciąż uznają za nieopłacalną i zbyt ryzykowną. Mniejszym kosztem można sobie to rekompensować właśnie w azjatyckim interiorze, stosując politykę „dziel i rządź", co oznacza m.in. zielone światło dla dyskretnego podkopywania tradycyjnej dominacji Rosji w obszarze Wielkiego Stepu przez Tokajewa i jemu podobnych.

W dłuższej perspektywie, w czarnym dla Moskwy scenariuszu to może pójść jeszcze dalej i przybrać postać chińskiej zgody na separatyzmy w obrębie samej Federacji Rosyjskiej. Hipotetyczne kolejne niezależne republiki na Syberii, na południe od Uralu, a nawet na Powołżu byłyby dla Pekinu znacznie wygodniejszymi partnerami niż wielkie, atomowe państwo z jego imperialnym zadufaniem. Dalsze klęski wojskowe i polityczne Putina mogą szybko przybliżyć realność takiego scenariusza, gdyż lokalne elity, i to niekoniecznie tylko te podkreślające swoją odrębność etniczną, mogą dojść do wniosku, że uniezależnienie się od Moskwy daje im same korzyści – brak odpowiedzialności za zbrodnie i dostęp do intratnej współpracy ekonomicznej ze wschodem i z zachodem, w dodatku bez odprowadzania części zysku do rosyjskiego centrum.

Zegar tyka, a jego wskazówki napędzają pospołu militarne sukcesy Ukraińców, powrót Kazachów do dziedzictwa Złotej Ordy oraz strategiczne interesy Chin. Możliwe są oczywiście różne scenariusze, ale przynajmniej niektóre z nich oznaczają stopniowe redukowanie Rosji do pierwotnej roli Księstwa Moskiewskiego – z niewątpliwym pożytkiem dla bezpieczeństwa wschodniej i środkowej Europy, a być może również reszty świata. Jest więc za co trzymać kciuki. ©℗

FOT. WOJTEK GÓRSKI

Witold

Sokała

wykładowca Instytutu Stosunków Międzynarodowych Uniwersytetu Jana Kochanowskiego w Kielcach, przewodniczący Rady i analityk Fundacji Po.Int, publicysta DGP

eprasa.pl c554e197b0

FOT. MAT. PRASOWE

Gruziński pat

Karol Wasilewski

Jesteśmy dwie minuty od dyktatury – rozpoczął swój rytuał przedstawiciel gruzińskiej opozycji, którego słuchałem podczas seminarium poświęconego polityce UE wobec tego kraju. Raptem kilka miesięcy temu mówił o pięciu minutach. Teraz przesunął wskazówkę na tarczy zegara, lecz nie zmienił argumentacji: gruzińską demokrację da się jeszcze uratować, lecz Wspólnota ma coraz mniej czasu; Europa musi docisnąć rządzące Gruzińskie Marzenie (GM) i wspierać opozycję – najlepiej finansowo, bo jak wiadomo, bez pieniędzy w polityce ani rusz.

Jego opowieść była przy tym przekonująca, momentami nawet analitycznie solidna. Nic w tym dziwnego, wszak K. jest erudytą oraz byłym dyplomatą. Wie też, że wśród przedstawicieli europejskich państw i instytucji, którzy go słuchają, sporo jest takich, którzy wciąż żyją swoimi gruzińskimi marzeniami. Sentymentem zrodzonym wskutek wieloletnich interakcji z partnerami z tego państwa, trzymaniem kciuków za jego prozachodnią ścieżkę czy już nieaktualnym wizerunkiem czempiona europeizacji na Kaukazie.

Mówiąc wprost: większość audytorium chciała słyszeć, że gruzińska demokracja jest do uratowania. Czy można winić K. za to, że dostarczał tym marzeniom paliwa?

„Nie obalimy za was rządu"

A jednak rzut oka po sali pozwalał dostrzec, że coś się zmieniło – widać było, że nie wszyscy uczestnicy seminarium z uśmiechem zrozumienia przyjmowali słowa K., że narastał w nich sprzeciw. Na przykład przedstawicielka MSZ jednego z europejskich państw stwierdziła, że Unia musi dalej wspierać gruzińską opozycję, bo to kwestia zasad, by za kilka minut orzec, że Unia straciła już wszelką wiarygodność w sprawach gruzińskich. W końcu zaapelowała o podjęcie „działań naprawczych".

Takie działania – tłumaczył z kolei przedstawiciel instytucji europejskiej – zostały już podjęte, ale Bruksela nie trąbi o tym na prawo i lewo, m.in. w obawie o bezpieczeństwo beneficjentów pomocy. On sam wyraźnie wątpił w sprawczą siłę gruzińskiej opozycji. Mówił, iż należy być ostrożnym wobec jej przekazów, choćby dlatego że wielokrotnie otrzymywała wsparcie, a później skarżyła się na jego brak. Piętnował także opozycję za porzucenie politycznych instrumentów walki o władzę – nawiązywał tak do decyzji o zrzeczeniu się przez jej polityków mandatów zdobytych w wyborach w 2024 r.; był to akt protestu po fałszerstwach przy urnach.

Gdy go słuchałem, przypominała mi się krążąca po Tbilisi anegdotka o burzliwym spotkaniu przedstawiciela zachodniej instytucji z opozycją. Miało się ono zakończyć mniej więcej takimi słowami ze strony tych pierwszych: „Rozumiemy, że chcecie, żebyśmy to my obalili za was rząd, a wy przyjdziecie na gotowe. Tak się nie stanie – walka polityczna i przejmowanie władzy jest w waszych rękach".

Powtarzalne problemy z diagnozą

W ciągu ostatnich dwóch lat brałem udział w kilku podobnych namysłach nad sytuacją w Gruzji. Podczas nich obserwowałem, jak uczestnicy miotają się między swoimi gruzińskimi marzeniami a realiami politycznymi w tym państwie. Częstokroć miałem poczucie déjà vu, bo te rozmowy przypominały dyskusje o popadającej w autorytaryzm Turcji, w których miałem okazję uczestniczyć dekadę temu.

Wtedy też długo zastanawiano się nad tym, jaką etykietką opisać reżim polityczny w Ankarze (jeszcze demokracja, choć już nieliberalna, czy jednak autorytaryzm?) i wzywano do pomocy opozycji (pogrążona w sporach wewnętrznych i ambicjach liderów robiła wszystko, by zaszkodzić sama sobie). Słuchano też sympatyzujących z opozycją analityków (mieli dobre intencje, ale zaciemniali obraz sytuacji) i podnoszono hasła o wiarygodności UE (słabnącej wraz z systematycznym zaostrzaniem kursu przez Recepa Tayyipa Erdoğana).

Także wtedy rozdzierano szaty nad koniecznością utrzymania choćby ułudy integracji Turcji z Zachodem, bo kiedyś sytuacja może się zmienić i wrócimy do business as usual. Nie wróciliśmy. Rządząca AKP porzuciła demokrację, Erdoğan skonsolidował władzę i wykorzystywał unijne dylematy czy, nazywając sprawę wprost – jej brak polityki. Tym właśnie kończą się wieczne debaty, jak zdiagnozować sytuację, podszyte paraliżem, że cokolwiek UE powie czy zrobi, lokalny reżim wykorzysta to na swoją korzyść.

Nie chcę przez to powiedzieć, że Gruzja to „mała Turcja". Warto jednak zdawać sobie sprawę z tego, że nie jest to przypadek unikatowy, bo pozwala dostrzec, że impas strategiczny UE wpisuje się we wzór. Jego podstawowym elementem jest trudność w zdiagnozowaniu sytuacji, która blokuje efektywny namysł strategiczny.

Po naszemu albo wcale

To, co się dzieje w Gruzji, jest proste do nazwania. W 2024 r. rządzące państwem GM po raz kolejny odniosło zwycięstwo w wyborach parlamentarnych. Odbyło się to w skandalicznych okolicznościach – opozycja zarzucała jej daleko idące fałszerstwa w trakcie głosowania, poważne wątpliwości co do procesu wyborczego wyrazili zachodni partnerzy. Środowiska opozycyjne rozpoczęły długotrwałe protesty, nieraz brutalnie tłumione, władze w Tbilisi zawiesiły integrację z UE, odchodzenie od demokracji gwałtownie przyspieszyło. Opozycja nie jest jeszcze zdelegalizowana, ale odpowiedni wniosek już znajduje się w Trybunale Konstytucyjnym. Jeśli ktoś ma jeszcze ochotę nazywać Gruzję funkcjonującą demokracją, może przeczytać raport prof. Patrycji Grzebyk, sprawozdawczyni mechanizmu moskiewskiego Organizacji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie. Nawet dyplomatyczny język dokumentu nie przesłania kursu, na jakim znajduje się Gruzja.

Rządzące GM nie zgadza się ani z treścią raportu, ani z ocenami stanu demokracji. Akcentuje, że opozycja jest podzielona, nieefektywna i szkodliwa dla państwa. Twierdzi, że działania władz służą budowie prawdziwej demokracji – takiej, która odpowie potrzebom całego społeczeństwa. Od dłuższego czasu przedstawiciele GM systematycznie podpowiadali nam zresztą, w jakim kierunku zmierzają. Od inwazji Rosji na Ukrainę w 2022 r. w gruzińskich mediach dominują narracje o Zachodzie jako „partii wojny", który może wciągnąć państwo w konfrontację z wielkim sąsiadem z północy, czy o Brukseli owładniętej ideologiczną krucjatą LGBT. Według rządzących jest to główny powód, dla którego Gruzja musiała odłożyć rozmowy akcesyjne i wrócić do nich, gdy Bruksela znormalnieje. W Gruzji dominują zatem nuty, które znamy z rosyjskiej propagandy.

Dlaczego rok 2022 jest taki ważny? Gruzińskie społeczeństwo rzeczywiście boi się wojny – GM dobrze wie, w jakie struny uderzać; jest ono także konserwatywne, a więc łatwo rozgrywać je narracjami o zaczadziałej ideologicznie Brukseli. Za to GM wyszło z prostego założenia – Rosja wygra wojnę w Ukrainie, a Gruzja musi się przed tym zabezpieczyć. Receptą ma być oddalenie się od Zachodu, żeby nie prowokować Kremla. Zapewne ojcem tego kursu jest Bidzina Iwaniszwili – założyciel GM i szara eminencja gruzińskiej polityki. To niezwykle barwna postać – oligarcha, który skrajnie podporządkował sobie państwo, oraz miłośnik egzotycznych zwierząt. O skali jego wpływów niech świadczy popularny w Tbilisi żart, że ulubionym pupilem w jego zoo jest Irakli Kobachidze, premier państwa.

Nie oznacza to, że GM chciałoby całkowicie zerwać z Zachodem – i tego władze w Tbilisi nie ukrywają. Widać, że potrzebują zachodniej legitymacji, jasno komunikują, że są zainteresowane „pragmatycznymi relacjami" – utrzymaniem napływu kapitału i inwestycji, ale bez współpracy w sferze wartości. Dlaczego sądzą, że im się to uda? Są przekonane o ważnej pozycji regionalnej Gruzji. Myślą, że wieloletnie nakłady unijne na rozbudowę infrastruktury w tym państwie stawiają je w uprzywilejowanej pozycji względem sąsiadów w próbach UE zmierzających do połączenia Europy, Kaukazu i Azji Centralnej. Widzą też, że Unia nie jest w stanie wypracować wobec Gruzji jednolitej polityki.

O słuszności tego założenia mogą ich przekonywać dotychczasowe sankcje – ograniczone i łatwe do obejścia. Czym zakończyły się dyskusje o odebraniu Gruzji statusu państwa kandydackiego? Niczym, bo – przypominam – może kiedyś sytuacja się zmieni i wrócimy do rozmów. A co z odebraniem Gruzinom ruchu bezwizowego? Protezą, bo przecież „Unia nie może uderzać w zwykłych obywateli", a więc zawiesiła tylko ruch bezwizowy dla posiadaczy paszportów dyplomatycznych (ale nadal mogą używać dokumentów prywatnych).

Jak przełamać pata?

Warto przestać słuchać podszeptów GM i opozycji, a także rozwiązań suflowanych przez zachodnie gruzińskie marzenia – mają one małą styczność z rzeczywistością i prowadzą do pytania, które zabije każdą strategię: jak nie stracić zainwestowanych środków. Warto natomiast rozważyć, do czego – i czy w ogóle – Gruzja jest nam potrzebna? W debatach na ten temat często pojawiają się cztery odpowiedzi: powstrzymywanie Rosji, ograniczenie skali represji w Gruzji, wsparcie pozytywnych zmian w regionie (normalizacja między Armenią a Azerbejdżanem) i wykorzystanie połączeń infrastrukturalnych.

Wątek rosyjski może wywoływać jedynie uśmiech politowania, zwłaszcza jeśli okrasi się go hasłem w stylu „jeśli Rosja wygra w Gruzji, to wygra wszędzie" (zasłyszane od europejskiej dyplomatki). W istocie jest to sprawa bardziej skomplikowana – ot, np. dzięki współpracy z Tbilisi zachodnie służby zyskiwały lepszą świadomość sytuacyjną w regionie. Wątpliwe jednak, że jest to do utrzymania przy założeniu, że GM nie zamierza prowokować Rosji.

Kolejna kwestia to ograniczenie skali represji w Gruzji. Z tym argumentem trudno się nie zgodzić. Nie chodzi o ratowanie demokracji (GM cieszy się sympatią sporej części Gruzinów), ale o pozytywny wpływ na sytuację ludzi, w których państwa europejskie inwestowały. Część z nich można ewakuować – niejeden uniwersytet skorzystałby na zatrudnieniu gruzińskich akademików – ale można też skłonić władze do ograniczenia skali represji. ▷

eprasa.pl c554e197b0

Skoro ustaliliśmy, że GM chce współpracy z państwami zachodnimi, wiemy też, że UE ma instrumenty, żeby to na nim wymusić. Stabilny Kaukaz Południowy i rozbudowa infrastruktury, która służyłaby wzmocnieniu regionalnych współzależności ekonomicznych i połączeniu Europy z Azją Centralną, z pewnością są w interesie UE. Gruzja rzeczywiście by się do tego przydała, choćby ze względu na atuty infrastrukturalne.

Niebezpieczne jest jednak myślenie, że jest nam niezbędna. Normalizacja stosunków między Armenią a Azerbejdżanem to proces wciąż obarczony sporym ryzykiem, lecz jego sukces zasadniczo zmieniłby regionalną układankę. Unia zdaje sobie z tego sprawę: to dlatego stawia na armeńskiego premiera Nikola Pasziniana – zwolennika normalizacji z Baku i Ankarą – który w czerwcu będzie się starał o reelekcję. Budowa alternatywnych połączeń drogowych przez Armenię i Azerbejdżan – omijających Gruzję – zajęłaby lata, ale – wbrew temu, co wydaje się sądzić Tbilisi – nie jest projektem zupełnie z kosmosu.

Prowadzi to do dwóch kluczowych wniosków. Po pierwsze, można wyobrazić sobie politykę Unii wobec Kaukazu Południowego bez Gruzji. Po drugie, UE ma instrumenty wobec Tbilisi, musi tylko przestać się bać ich użyć. Co mogłaby zrobić? Najlepiej zacząć od zakończenia jałowych debat, czy Gruzja jest jeszcze demokracją, czy nie – jej kurs jest jasny i wyraźnie sygnalizowany przez władze. Warto też porzucić mrzonki o powrocie do integracji europejskiej, które w tej chwili służą przede wszystkim pokrzepieniu serc. Warto też rozważyć politykę kija i marchewki – przedstawić GM konkretną ofertę współpracy (obejmującą np. interesujące nas połączenie infrastrukturalne czy sprawy regionalne), oczekiwania (choćby wspomniane zaniechanie represji), a także sankcje za ich niespełnienie. Zadziała, jeśli tylko będzie to polityka skoordynowana na poziomie unijnym. Wszak Gruzja – wbrew temu, co wydaje się jej władzom – nie jest w tej relacji stroną silniejszą, nie jest też pępkiem świata.

Pewnie nikogo nie zaskoczy, że UE miała już do czynienia z podobnym przypadkiem – Turcja też była przekonana o tym, że jest w relacjach z Brukselą stroną silniejszą. Gdy jednak Wspólnota wyciągnęła kij, grożąc jej poważnymi sankcjami za nadmierne prowokowanie Grecji i Cypru, Ankara spuściła z tonu (zmiana nie była trwała, ale to już opowieść na inną okazję).

Wniosek jest jeden: jeśli UE chce rzeczywiście być geopolitycznym aktorem – takim, który jest zdolny do skutecznego realizowania interesów w świecie zewnętrznym – nie może się obawiać użycia kija. ©℗

Autor jest kierownikiem zespołu Turcji, Kaukazu i Azji Centralnej w Ośrodku Studiów Wschodnich

Gospodarka

Czas przeszczepić nowoczesność

Gdy zyski rosły, rozwój wyhamował. Dopiero teraz, być może na fali popularności generatywnej sztucznej inteligencji, banki wracają na ścieżkę rozwoju, ale rozruszanie organizacji nie jest proste

Z Grzegorzem

Chudkiem

rozmawia Łukasz Wilkowicz

Na początku lat 2000. wszystkie duże banki w Polsce wdrażały systemy centralne. Dziś mało kto mówi o wymianie tych systemów na nową generację. Rozwiązania sprzed ćwierć wieku wciąż są wystarczające?

Wówczas polska bankowość wykonała niesamowity skok. Dzięki modernizacji przeskoczyliśmy przez mnóstwo problemów, z którymi koledzy na Zachodzie zmagają się do dziś. Oni wdrażali swoje systemy 30 lat przed nami, a my dogoniliśmy ich technologicznie w krótkim czasie. Jednak teraz także my zaczynamy się mierzyć z tym samym problemem – nasze systemy się starzeją. Niemniej na świecie polska bankowość wciąż ma opinię innowacyjnej.

Czy tak jest w rzeczywistości? Kiedyś naszą przewagą były przelewy w jeden dzień. Teraz transfery w kilka–kilkanaście minut są dostępne właściwie wszędzie.

Kluczowa jest różnica kulturowa. Gdy rozmawiam z odpowiedzialnym za IT członkiem zarządu polskiego banku, to mówi on o nowych produktach, aplikacjach i nowoczesnym interfejsie dla klienta. Podobna rozmowa z Niemcem czy Austriakiem kręci się wokół regulacji i obowiązków. To zupełnie inne postrzeganie rzeczywistości. Choć ostatnio nasz sektor nieco spowolnił, to jeśli chodzi o nowoczesność, wciąż jesteśmy postrzegani jako europejska czołówka.

Czym to można zobrazować? Procentem cyfryzacji procesów wewnętrznych? Odsetkiem klientów korzystających ze zdalnego dostępu?

Można wziąć dowolny wskaźnik. Jednak ostatnie lata, w czasie których obowiązywały bardzo wysokie stopy procentowe, sektor bankowy moim zdaniem przespał. Były ogromne możliwości tworzenia innowacji, ale w tym czasie na rynku rośli raczej gracze typu neobanki. Podmioty te zdobywają klientów znacznie szybciej niż nasze rodzime instytucje.

Ale na ogół taki Revolut to dla klienta wciąż tylko drugi albo trzeci bank. Mało kto ma tam główny rachunek.

Oczywiście, taka zmiana zajmie lata, ale postępuje. Odkąd neobanki otrzymały licencje bankowe, dotychczasowi gracze musieli przestać je lekceważyć. Teraz zarządy tradycyjnych banków zaczynają myśleć, jak sprawić, by chociaż część organizacji była „polskim Revolutem" wewnątrz tradycyjnego banku. Chcą przeszczepić nowoczesność do struktur stworzonych 25 lat temu.

Są konkretne przykłady takich działań?

Najwięksi realnie próbują budować takie nowoczesne jednostki. Niestety, w ciągu ostatnich lat istotnych innowacyjnych projektów było niewiele w stosunku do kapitału, którym dysponowały banki.

Z czego to wynikało? Na przeszkodzie stały rezerwy na kredyty walutowe? Czy raczej zarządy uznały, że nie ma sensu psuć czegoś, co działa?

Z moich obserwacji wynika, że raczej to drugie. Skoro wyniki są świetne, po co robić sobie kłopoty dużymi transformacjami? Tylko nieliczne instytucje rozumiały, że ten stan jest tymczasowy. Wcześniej, gdy walka o klienta była trudniejsza, innowacji było znacznie więcej. Gdy zyski rosły, rozwój wyhamował. Dopiero teraz, być może na fali popularności generatywnej sztucznej inteligencji, banki wracają na ścieżkę rozwoju, ale rozruszanie całej organizacji nie jest proste.

Jak w tym kontekście ocenia pan wykorzystanie sztucznej inteligencji w naszych bankach? JP Morgan wydaje na AI 10 mld dol. rocznie – to kwota rzędu zysku całego naszego sektora.

Prawie każdy bank w Polsce rozpoczął inwestycje w GenAI, ale efektów jeszcze nie widać bądź są ograniczone. Giganci, tacy jak JP Morgan czy Barclays, zainwestowali już kolosalne sumy. W Polsce to na razie stosunkowo niewielkie pieniądze; często są to projekty na etapie pilotaży. Ale są wyjątki – np. VeloBank, który realnie wdrożył generatywną AI w swoje procesy. Inne duże banki wciąż nad tym pracują.

W jakiej perspektywie będziemy mogli ocenić działania banków w tym kierunku? Innymi słowy – kiedy będą widoczne efekty?

Ja na tę kwestię patrzę przez pryzmat konkurencyjności. Nie chodzi o AI dla samej mody, ale o to, by młodzi Polacy wciąż traktowali rodzime banki jako swój pierwszy wybór. Ale czasu nie jest dużo. Banki muszą udowodnić swoją nowoczesność bardzo szybko, myślę, że nawet w perspektywie roku.

Co zobaczy klient? Czy wykorzystanie AI to będzie np. nowa funkcja w aplikacji? Czy może klient nie zobaczy nic konkretnego, bo nastąpią raczej usprawnienia procesowe?

Wykorzystanie AI będzie się przejawiało głównie w dwóch obszarach. Pierwszy to komunikacja z klientem – w aplikacji, przy obsłudze reklamacji czy na call center. Inteligentny asystent może odebrać połączenie bez czekania. To podnosi jakość obsługi przy jednoczesnej redukcji kosztów. Back office to drugi obszar. Mamy tam problem demograficzny – doświadczeni pracownicy odchodzą na emeryturę, a młodzi nie chcą tam pracować. Automaty AI będą więc naturalnym wypełnieniem braków kadrowych w sektorze.

Przez lata zatrudnienie w oddziałach spadało, a w centralach rosło. Czy teraz należy oczekiwać, że to się odwróci również w centrach operacyjnych?

Na początek zatrudnienie przestanie rosnąć. Dotychczasowy wzrost w centralach wynikał z przenoszenia czynności z oddziałów. Przykładowo zamiast specjalisty od kredytów w każdym oddziale lepiej mieć

eprasa.pl c554e197b0

ich stu w centrali, ale dostępnych zdalnie. Skoro procesy są scentralizowane, można je teraz łatwiej automatyzować.

A zagrożenia związane z AI? Czy nie obawia się pan, że znajdzie się model sztucznej inteligencji, który będzie w stanie zalogować się na pana rachunek, tak że ani pan, ani bank się nie zorientujecie?

To wyścig zbrojeń. Najważniejsze, by „dobrzy" mieli dostęp do technologii co najmniej w tym samym czasie, co cyberprzestępcy. Jeśli bank użyje nowoczesnego modelu, by przeskanować własne systemy, to po prostu załata dziury.

Czy skala zagrożenia z powodu pojedynczego ataku nie jest większa w porównaniu z tym, z czym banki mierzyły się w przeszłości?

Nie widzę powodów do przerażenia. Tym samym młotkiem można zbudować dom lub wyrządzić komuś krzywdę. Jeśli będziemy inwestować w nowe zabezpieczenia, obronimy się przed nowymi atakami. Zwracam też uwagę, że producenci modeli AI celowo trochę straszą końcem świata w celach marketingowych.

Zatem nie będzie zrealizowany scenariusz, w którym wracamy do okienek bankowych, bo obawiamy się o bezpieczeństwo danych i pieniędzy, i rezygnujemy ze zdalnego dostępu do konta?

Będzie odwrotnie. Sami będziemy chcieli dać agentom AI dostęp do naszych kont. Będziemy mówić: „Kup mi te buty" – asystent sam to załatwi, łącznie z płatnością i logistyką. Tak będzie wyglądała bankowość przyszłości – jako usługa w tle. Dla klienta wartość ma zakup butów, a nie kredytu gotówkowego. Po stronie banków jest to, by zaproponowały bezpieczne standardy takich usług. Inaczej zrobi to za nie ktoś inny.

Czy nasze banki myślą o takiej „bankowości agentowej"?

Na razie większość banków na świecie jest w fazie formowania koncepcji. Brakuje standardów i protokołów komunikacji. Wszyscy o tym myślą, ale na razie nikt nie wdrożył jeszcze pełnych rozwiązań.

Jak długo trzeba będzie czekać?

W tym przypadku „długo" może oznaczać rok, bo czas w technologii przyspieszył. Wystarczy jeden start-up, który pokaże coś przełomowego. Dlatego właśnie uważam, że osiadanie na laurach w ostatnich latach było błędem. Jako sektor, poza wyjątkami, posunęliśmy się do przodu zbyt mało, podczas gdy świat pędzi.

A co z chmurą obliczeniową? Czy polskie banki przechodzą do niej w odpowiednim tempie?

Podchodzą z dużą rezerwą, a co za tym idzie, przyswajanie postępuje relatywnie powoli. Barierą jest to, że mają własne centra danych. Przejście do chmury oznaczałoby konieczność zmiany sposobu pracy i ewentualne redukcje. Często używa się też wymówki, że chmura jest droższa niż własny sprzęt. To bywa prawdą, ale tylko wtedy, gdy nie bierze się pod uwagę czynników ryzyka, o których jeszcze kilka lat temu mało kto myślał: awarii zasilania czy zagrożeń geopolitycznych. Dopiero niedawno część banków zrozumiała, że chmura to jedyne realne zabezpieczenie pozwalające odtworzyć systemy w kilka godzin w innym miejscu. Pokazały to banki ukraińskie. Takie projekty powoli startują także w Polsce.

Zapytam jeszcze o metodologię Agile – tworzone niejako ad hoc zespoły, tribe'y itp., które zmieniają sposób funkcjonowania organizacji. Są przykłady banków, które mocno się w to zaangażowały. Czy to przynosi realne korzyści?

Agile świetnie się sprawdza przy mniejszych, przewidywalnych zadaniach. Jednak przy dużych transformacjach, takich jak wymiana systemu centralnego, taki „czysty Agile" często może prowadzić do chaosu i ogromnych kosztów. Nie da się efektywnie ustalać zakresu na bieżąco, gdy w projekcie uczestniczy bardzo wiele osób. W takich sytuacjach potrzeba jasnego określenia waterfall, czyli solidnego planu początkowego, by – mówiąc umownie – wszyscy biegli w tym samym kierunku. Znam projekty, ale poza Polską, w których Agile przy systemie centralnym zakończył się spektakularną porażką. W jednym projekcie w ten sposób pracowało kilka tysięcy osób. Gdy zespoły biegną w różnych kierunkach, trudno się spodziewać, by wszyscy znaleźli się na mecie.

EUROPEAN FINANCIAL CONGRESS

Grzegorz Chudek był gościem Europejskiego Kongresu Finansowego, który odbył się 1–3 czerwca 2026 r. w Sopocie

Ile polski sektor bankowy wydaje obecnie na technologie? O ile te nakłady powinny wzrosnąć, by znów można było mówić o przewadze technologicznej naszego sektora?

Szacuję, że sektor wydaje rocznie na IT od 3 do 5 mld zł. Niestety, 70 proc. tych środków pochłania samo utrzymanie istniejących systemów. Na realny rozwój zostaje może miliard. Moim zdaniem tę kwotę należałoby podwoić, by nadrobić zaległości. Jeśli nie dołożymy drugiego miliarda na prawdziwą nowoczesność, będziemy jedynie tracić dystans. ©℗

FOT. MAT. PRASOWE

Grzegorz
Chudek

dyrektor zarządzający odpowiedzialny za praktykę financial services w Accenture w Polsce, kolider praktyki financial services w regionie ACE

Mniej Więcej

Łukasz
Wilkowicz

PMI: wypadamy blado

Nasz PMI, wskaźnik koniunktury w przemyśle, wspiął się w maju na najwyższy poziom od 13 miesięcy. Nadal jest jednak „pod kreską" – w tym przypadku oznacza to wskazanie poniżej 50 pkt. Niewiele jest dużych gospodarek, w których PMI wypadałby słabiej niż u nas. Nie brak takich, które notują najlepsze wyniki od długiego czasu. Do poprawy koniunktury w światowym przemyśle trzeba podchodzić z pewną rezerwą: w górę poszły wskaźniki opóźnień w dostawach. Zwykle oznaczają one, że producenci nie wyrabiają się z realizacją zamówień. Obecnie mają związek raczej z blokadą cieśniny Ormuz. ©℗

PMI w przemyśle
(dane za V 2026 r.; pkt)

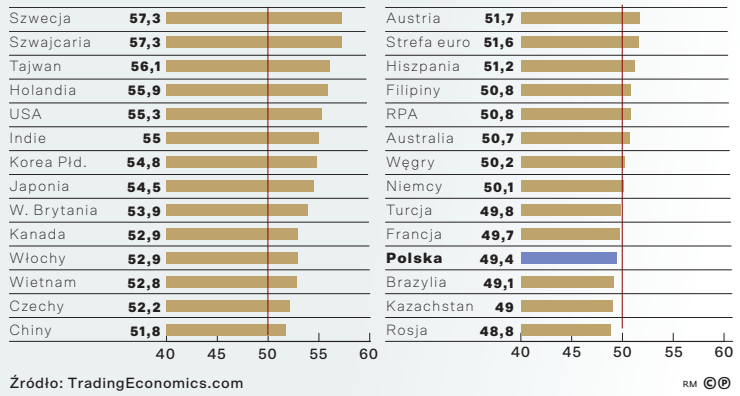

Źródło: TradingEconomics.com RM ©℗

PKB: lider wzrostu

PKB w I kw. był o 3,5 proc. większy niż rok wcześniej. Na początku roku byliśmy europejskim liderem wzrostu. Słowenia, drugi kraj pod względem dynamiki PKB, odnotowała wzrost na poziomie 3,1 proc. Cała UE urosła o 1 proc., a strefa euro o 0,8 proc. Jak wyglądamy w szerszej perspektywie? Biorąc pod uwagę wskaźnik pokazujący zmianę PKB od 2020 r., wypadamy słabiej od czterech unijnych gospodarek: Cypru, Chorwacji, Hiszpanii i Bułgarii. Cypr w I kw. tego roku osiągnął wyrównany sezonowo PKB na poziomie niemal 138 proc. średniej z 2020 r. Nasz wynik to 123,1 proc. (na wykresie pokazujemy porównanie z innymi państwami regionu). ©℗

PKB
(średnia dla 2020 r. = 100)

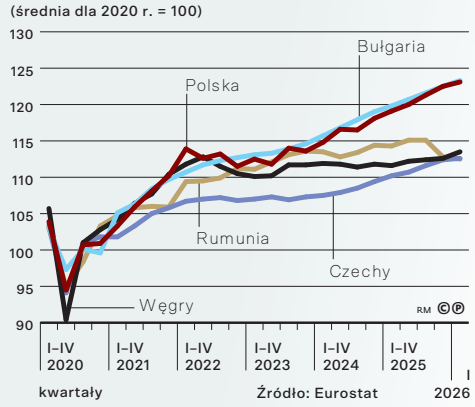

Źródło: Eurostat RM ©℗

Więcej na OPP od mniejszej liczby podatników

W ramach podsumowania tegorocznej „akcji PIT" Ministerstwo Finansów podało, że dzięki możliwości przekazania 1,5 proc. podatku dla organizacji pożytku publicznego trafi do nich 2,6 mld zł. Szacowana kwota dla OPP od jednego podatnika to niemal 200 zł. O ile łączna kwota dla OPP i średni transfer są wyższe niż w poprzednich latach, to w przypadku liczby chętnych do zasilenia organizacji dobroczynnych nastąpił pierwszy od trzech lat spadek. Poprzedni miał miejsce, gdy w ramach Polskiego ładu rządu PiS zmieniły się przepisy dotyczące PIT (podniesienie możliwego odpisu z 1 proc. do 1,5 proc. podatku nie było najważniejszą z tych zmian). ©℗

PIT na organizacje pożytku publicznego

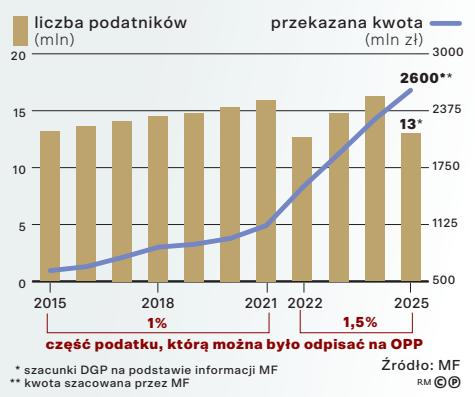

* szacunki DGP na podstawie informacji MF
** kwota szacowana przez MF

Źródło: MF RM ©℗

eprasa.pl c554e197b0

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Ile powinniśmy pracować

Piotr **Arak**

Propozycja skrócenia tygodnia pracy do czterech dni bywa przedstawiana jako kolejny etap postępu technologicznego. Automatyzacja, wzrost produktywności i zmiana preferencji pracowników mają stopniowo prowadzić do większej ilości wolnego czasu. Tyle że globalna rzeczywistość nie układa się w jednolitą linię rozwoju. Świat pracy jest dziś bardziej zróżnicowany niż kiedykolwiek, a sześciodniowy tydzień nie jest wyjątkiem historycznym, lecz masową praktyką obejmującą setki milionów ludzi. W starzejących się społeczeństwach i przy niedoborze pracowników w wieku produkcyjnym niedługo możemy potrzebować większej liczby nadgodzin.

Mapa globalnego czasu pracy przypomina patchwork: obok siebie funkcjonują skandynawskie eksperymenty z czterodniowym tygodniem, azjatyckie systemy intensywnej pracy w stylu „996", europejskie regulacje wydłużające dopuszczalne nadgodziny oraz Ameryka Łacińska, gdzie polityczny spór dotyczy nie tego, czy skracać tydzień pracy, lecz jak szybko to zrobić. Nie ma jednego modelu.

Inna odpowiedź, te same problemy

W Unii Europejskiej różnice w podejściu stają się coraz bardziej widoczne. Z jednej strony mamy kraje testujące redukcję czasu pracy, takie jak Hiszpania czy Islandia, z drugiej – państwa, które w obliczu niedoborów pracowników i presji demograficznej idą w odwrotnym kierunku. Mamy więc inne odpowiedzi na te same problemy.

Jednym z najbardziej wyrazistych przykładów jest Grecja. Od 2024 r. część sektorów, szczególnie przemysł i usługi całodobowe, może tam legalnie funkcjonować w systemie sześciodniowym, z tygodniowym limitem sięgającym 48 godzin. Rząd uzasadnia to starzeniem się społeczeństwa i problemami z podażą pracy. W praktyce oznacza to powrót do modeli, które w wielu krajach UE były uznawane za wygasające. Związki zawodowe wskazują, że Grecy i tak należą do najbardziej obciążonych pracowników w Unii.

Podobną logikę, choć w innej formie instytucjonalnej, widać na Węgrzech. Zmiany w prawie pracy z 2018 r. zwiększyły tam elastyczność czasu pracy i dopuszczalne nadgodziny, co pozwala na funkcjonowanie w trybie sześciodniowym. Oficjalnie jest to odpowiedź na potrzeby konkurencyjności i inwestycji zagranicznych, nieoficjalnie – to narzędzie dostosowania się do niedoboru pracowników. Ze względu na język i niższe pensje Węgry nie były tak atrakcyjnym miejscem dla imigracji jak choćby Polska.

Rozjazd między normą a praktyką

W Ameryce Łacińskiej sześciodniowy tydzień pracy ma znacznie głębsze korzenie instytucjonalne. Jednocześnie region ten wchodzi w okres wyraźnej zmiany. W Brazylii model „6x1" (sześć dni pracy i jeden dzień odpoczynku) pozostaje powszechny w handlu i usługach, ale powraca polityczna debata o jego ograniczeniu i skróceniu tygodnia do 40 godzin. W Meksyku reformy idą jeszcze dalej. Kraj, który przez dekady funkcjonował w reżimie 48-godzinnym, rozpoczął proces jego stopniowego luzowania. Efekt nie będzie automatyczny: nawet przy formalnie krótszym tygodniu model sześciodniowy może się utrzymywać w wielu sektorach. Ameryka Łacińska pokazuje więc, że skrócenie czasu pracy w prawie nie oznacza natychmiastowej zmiany kultury organizacji pracy.

Największy rozdźwięk między regulacją a rzeczywistością widać w Azji. Chiny formalnie mają pięciodniowy tydzień, ale przez lata funkcjonowały w cieniu modelu „996" – od 9 do 21, sześć dni w tygodniu – szczególnie w sektorze technologicznym. Choć presja społeczna i rosnące koszty pracy doprowadziły do częściowego ograniczenia tej praktyki, to Chińczycy wciąż należą do najbardziej zapracowanych narodów na świecie.

W Indiach nowoczesne sektory usługowe funkcjonują w standardzie pięciodniowym, ale w przemyśle i małych firmach sześciodniowy tydzień pracy pozostaje normą. Pojawiają się nawet postulaty jego wydłużenia w imię wzrostu gospodarczego. To pokazuje, że dyskusja nie jest związana wyłącznie z dobrobytem, lecz także z etapem rozwoju.

W Korei Południowej, która jeszcze niedawno należała do krajów o najdłuższym czasie pracy w OECD, obowiązuje ograniczenie do 52 godzin tygodniowo. Gdy w 2023 r. rząd zaproponował wydłużenie limitu do 69 godzin, spotkało się to z silnym oporem społecznym, szczególnie ze strony młodszych pracowników, dla których równowaga między życiem zawodowym a prywatnym staje się kluczową wartością.

Odległa abstrakcja

Zjednoczone Emiraty Arabskie pokazują, że na kierunek zmian nie wpływa tylko poziom rozwoju gospodarczego czy region świata. Od 2022 r. sektor publiczny działa tam w trybie 4,5-dniowego tygodnia pracy, co miało zwiększyć integrację z globalnymi rynkami finansowymi i poprawić atrakcyjność kraju jako centrum biznesowego. Czyli Emiratczycy pracują krócej niż pracownicy zagraniczni na kontraktach. W krajach Zatoki funkcjonuje raczej dłuższy czas pracy niż pięciodniowy.

Obok siebie funkcjonują więc trzy modele: skracanie tygodnia jako efekt wzrostu produktywności, jego utrzymywanie w imię stabilności rynku pracy oraz jego wydłużanie jako odpowiedź na niedobory demograficzne.

W tle pozostaje podstawowy paradoks ekonomiczny: wzrost produktywności nie wszędzie przekłada się na krótszy czas pracy. W krajach wysoko rozwiniętych staje się argumentem za jego redukcją, w krajach rozwijających się – za jego zwiększeniem. To oznacza, że globalna konwergencja, którą często zakłada się w analizach, w tym obszarze wcale nie zachodzi. W Polsce, gdzie z jednej strony mamy rozwinięty sektor usług, a z drugiej – przemysł ciężki, występuje ten sam problem. Jednocześnie mógłby pewnie funkcjonować cztero- i sześciodniowy czas pracy.

Dlatego debata o czterodniowym tygodniu, choć ważna i coraz bardziej intensywna, pozostaje dyskusją największych beneficjentów rozwoju, a nie wszystkich. Dla części pracowników to już realna perspektywa reorganizacji życia zawodowego. Dla innych – wciąż odległa abstrakcja, a w niektórych przypadkach nawet luksus. ©℗

Autor jest głównym ekonomistą VeloBanku, komentatorem ekonomicznym i adiunktem w Katedrze Ekonomii Politycznej WNE UW

Rzeczywistość nie nadąża za rynkami

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Artur **Klimek**

Tankowiec ropy naftowej można kupić lub sprzedać na rynkach finansowych w kilka sekund. To nie oznacza, że ropa zostanie fizycznie wydobyta i załadowana na statek, a ten w mgnieniu oka zmieni lokalizację. Rynki reagują gwałtownymi, sięgającymi nawet kilkunastu procent skokami cen, ale nie wynika to ze zmian w tranzycie statków przez cieśninę Ormuz.

Niestety, zarówno wielu inwestorów, jak i algorytmy inwestycyjne podchodzą do oceny wydarzeń w sposób zerojedynkowy. Gdy jest zagrożenie, to włączają pełną ochronę przed ryzykiem, a gdy zagrożenie znika, natychmiast zapominają o tym, co było kilka minut wcześniej, by znów inwestować z optymizmem. Z reguły wszystko się dzieje pomiędzy tymi skrajnościami. Bardziej skrupulatne podejście do oceny sytuacji wymaga czasu i wysiłku. W realiach gwałtownych zmian są to deficytowe towary.

Gdy 17 kwietnia Iran ogłosił otwarcie cieśniny Ormuz dla żeglugi komercyjnej, rynki opanowała euforia. Indeksy giełdowe poszybowały o kilka procent, a ceny ropy naftowej spadły o ponad 10 proc. Potem mieliśmy zapowiedzi planów pokojowych i memorandów o porozumieniu przeplatane groźbami unicestwienia przeciwnika. Jeden tweet, jeden komunikat i znowu można się zajmować zarabianiem dużych pieniędzy. Duży optymizm mógłby wskazywać na to, że nie tylko zniknęło bieżące zagrożenie, lecz przywracany jest stan sprzed wybuchu konfliktu.

Byłoby to zbyt piękne, aby mogło być prawdziwe. Od strony finansowej wyglądało to tak, jakby ryzyko zakłócenia dostaw ropy i hamujących gospodarki wysokich cen nagle zniknęło. To jednak tylko wycinek większego obrazu. Po pierwsze, spadła cena ropy w kontraktach z przyszłą datą dostawy. A zatem zapowiedź otwarcia nie rozwiązuje kwestii dostaw w najbliższych dniach. Tym bardziej że wiele tygodni temu wstrzymano wysyłki, a ostatnie tankowce osiągnęły swoje porty docelowe. Zanosi się więc na dłuższą pauzę w kolejnych dostawach.

Wycena ropy naftowej opiera się na dwóch podstawowych benchmarkach finansowych: Brent i WTI. Dla wydobywców i przetwórców ważniejsze są jednak wskaźniki obrazujące ceny rzeczywistych dostaw. W połowie kwietnia wskaźnik Dated Brent, który jest światowym wyznacznikiem cen fizycznych dostaw w krótkim terminie, osiągał 116 dol. za baryłkę, podczas gdy finansowy wskaźnik Brent pokazywał zaledwie 99 dol. (za Bloombergiem). W tym samym czasie występowały też duże różnice (sięgające kilkudziesięciu dolarów na baryłce) w wycenach fizycznych dostaw w różnych regionach świata. To, że Kanada i USA mają dostęp do taniej ropy, nie oznacza, że Europa ma tyle samo szczęścia.

eprasa.pl c554e197b0

OPINIA

Po drugie, obniżka cen nie wynika tylko z wiary w poprawę sytuacji, lecz po części wiąże się z tym, że inwestorzy wcześniej zakładający wzrost cen ropy zamknęli swoje pozycje w obawie przed potencjalnymi spadkami. Mogło to być zatem jedynie dostosowanie pozycji inwestycyjnej, a nie zupełna zmiana nastawienia z negatywnego na pozytywne.

Poza tym deklarowane otwarcie cieśniny rozwiązuje tylko problem transportu, ale nie produkcji. Wiele elementów infrastruktury wydobywczej zostało uszkodzonych, a ich naprawa może zająć długie miesiące. Sam problem transportu też nie został od razu rozwiązany – przed wybuchem wojny dziennie przez cieśninę Ormuz przepływało średnio nieco ponad 100 dużych jednostek, a w momencie ogłoszenia otwarcia na tranzyt czekało grubo ponad tysiąc. Na rozładowanie korka potrzeba ok. dwóch tygodni, przy założeniu, że strony konfliktu zdecydują się zdjąć blokadę. Nawet zajmująca się bezpieczeństwem żeglugi Międzynarodowa Organizacja Morska nie była w stanie dać jasnego zapewnienia, że statki komercyjne przemierzające cieśninę będą bezpieczne. To wymaga czasu, uzgodnień i analiz.

FOT. AMIRHOSSEIN KHORGOOEI/ISNA NEWS AGENCY/HANDOUT/EPA/PAP

Większym problemem niż cena może być dostępność ropy naftowej. W niektórych miejscach już występują braki. Nawet zasobna w surową ropę naftową Norwegia mierzy się z problemem niskich zapasów benzyny. Dodatkowym kłopotem jest erozja popytu przy zbyt wysokiej cenie.

Jeszcze gorzej wygląda rozdźwięk między rynkami finansowymi a rzeczywistością w przypadku produkcji rolnej. W krajach o dogodnych warunkach klimatycznych plantatorzy zacierali ręce, gdy cena tony kakao przekraczała 10 tys. dol. Snuli plany na rozbudowę infrastruktury i zwiększanie skali produkcji, ale zanim posadzili drzewa, okazało się, że cena tego surowca znowu spadła do ok. 3 tys. dol. Rachunek ekonomiczny całej inwestycji gwałtownie się pogorszył.

Funkcja rynków finansowych polega też na ochronie przed ryzykiem. Ryzyko pojawia się w wyniku oddzielenia daty przeprowadzenia transakcji (zakup tony zboża przed zbiorami) od jej fizycznej realizacji (dostawa tony zboża po zbiorach). Zawarcie odpowiedniego kontraktu zabezpieczającego daje stronom pewność ceny.

Rewolucja w zakresie sztucznej inteligencji też musi się mierzyć z fizyką. Centra danych to wieloletnie projekty. Najpierw trzeba wznieść ogromne budynki i zapewnić dostawy mediów. Najważniejsze są jednak serwery z drogimi procesorami, których podaż jest ograniczona. Budowa fabryki półprzewodników to co najmniej kilkuletni proces, a podwyższony poziom popytu jest już teraz. Podobnie ma się sprawa z finansowaniem zakupu tych procesorów, które ulegają szybkiej amortyzacji i za kilka lat mogą być nic niewarte.

Wyceny aktywów często fluktuują, aby nadążyć za płynącymi z różnych stron informacjami. Wpisy ważnych polityków w mediach społecznościowych potrafią poruszyć rynek, choć nie ma gwarancji, że coś się naprawdę zadzieje albo że za kilka minut nie pojawi się tweet z zupełnie przeciwnym przekazem. To właśnie duże różnice prędkości między światem fizycznym i finansowym powodują zawirowania. Rynki finansowe, które z założenia powinny wyceniać przyszłą wartość aktywów, obecnie nierzadko wyceniają wartość doniesień w mediach społecznościowych. ©℗

Autor jest profesorem Uniwersytetu Ekonomicznego we Wrocławiu

PROMOCJA

Perły samorządu 2026
KONGRES

Samorządy, które wyznaczają kierunek

Organizator: DGP Dziennik Gazeta Prawna

15–16 czerwca 2026 r.
Toruń/Kujawy Pomorze

Współorganizator:
2026 ROK LUDZI FILMU Z KUJAW I POMORZA
Samorząd Województwa Kujawsko-Pomorskiego
KUJAWY POMORZE
Urząd Marszałkowski Województwa Kujawsko-Pomorskiego w Toruniu
2026 ROKIEM NSZZ SOLIDARNOŚĆ RI I BYDGOSKIEGO MARCA 1981

Partner merytoryczny: UNIWERSYTET MIKOŁAJA KOPERNIKA W TORUNIU

Wydarzenie jest współfinansowane z Funduszy Europejskich:
Fundusze Europejskie dla Kujaw i Pomorza
Rzeczpospolita Polska
Dofinansowane przez Unię Europejską
Samorząd Województwa Kujawsko-Pomorskiego

Partner merytoryczny rankingu Perły Samorządu: SGH

eprasa.pl c554e197b0

Idee

Lewica powinna przemyśleć swoje podejście do Unii

Prawica regularnie przedstawia Brukselę jako projekt lewicowy, czasem wręcz „eurokomunistyczny”, choć to po prostu nieprawda

FOT. SŁAWOMIR KAMIŃSKI/AGENCJA WYBORCZA.PL

Z Arturem

Troostem

rozmawia Krzysztof Katkowski

Dlaczego w Polsce nie mamy porządnej, eurosceptycznej lewicy?

Myślę, że wynika to przede wszystkim z tego, iż Polska przez lata należała do najbardziej proeuropejskich krajów w Europie. Poparcie dla Unii sięgało nawet 90 proc., bo wejście do UE miało dla nas charakter aspiracyjny. Chodziło o dołączenie do Zachodu, do światowej pierwszej ligi, więc na Unię patrzono trochę przez różowe okulary. To zaczęło się zmieniać dopiero po kilkunastu latach członkostwa, wraz z konfliktami między polskimi rządami a Brukselą. Młodsze pokolenie nie pamięta Polski sprzed wejścia do UE, więc argument o skoku cywilizacyjnym nie działa już na nie tak mocno. Dlatego sądzę, że eurosceptycyzm będzie w Polsce rósł, także po lewej stronie. Ale to prawda, że do tej pory nie istniał znaczący eurosceptycyzm lewicowy. Owszem, były środowiska anarchistyczne czy partie typu KPP, ale główny nurt lewicy, czyli choćby Nowa Lewica i Razem, pozostaje umiarkowany i proeuropejski, wpisujący się w tradycję europejskiej socjaldemokracji.

Ale to nie jest tak popularne w całym regionie.

Polska specyfika polega też na tym, że lewica nie poszła drogą słowackiego Smeru. Choć z drugiej strony mamy przykład Leszka Millera, który jako były lider lewicy dziś prezentuje podejście mocno prorosyjskie, czy przynajmniej wyraźnie sympatyzujące ze Wschodem. Można więc sobie wyobrazić alternatywną rzeczywistość, w której z SLD zrodziła się konserwatywna, eurosceptyczna lewica. Stało się jednak inaczej, być może za sprawą klęski SLD w 2005 r. i późniejszego zagospodarowania elektoratu socjalno-konserwatywnego przez inne siły polityczne. Dla współczesnych polityków lewicy w rodzaju Magdaleny Biejat UE nadal pozostaje wzorem zarówno pod względem progresywnych standardów, jak i idei zjednoczonej Europy, która od dawna była obecna w lewicowej wyobraźni politycznej.

„Utracony kompas...” to głos tej proeuropejskiej lewicy?

Tak, chociaż trochę „do przodu”. Starałem się uwzględnić pełen przekrój lewicowych postaw – od progresywnego eurofederalizmu do komunistów wrogich dalszemu istnieniu UE. Myślę, że to kwestia czasu, aż także na lewicy zacznie rosnąć eurosceptycyzm, chociaż na ogół nie w tak radykalnym wydaniu. W ogóle będzie on w Polsce zyskiwał na znaczeniu. Już dziś istnieją środowiska tzw. alt-lewicy (jak np. Nowy Obywatel), które częściowo idą w tym kierunku. I nie uważam, żeby samo w sobie było to czymś złym, bo w Unii Europejskiej jest sporo rzeczy, które warto krytykować z lewicowej perspektywy.

Jeśli chodzi o moje własne stanowisko, to jestem zwolennikiem integracji europejskiej, nawet dalszej federalizacji, ale jednocześnie uważam, że jej krytyka jako organizacji neoliberalnej, często stojącej bardziej po stronie biznesu niż obywateli, jest uzasadniona. Unia wymaga głębokiej reformy. W książce pokazuję różne wizje takich zmian. Z częścią się zgadzam, z częścią nie, ale przede wszystkim chciałem otworzyć debatę. Liczę też na to, że lewica przemyśli swoje podejście do Unii. Nie chciałbym, żeby stała się eurosceptyczna, ale bardziej eurokrytyczna już tak.

Można zmienić Unię na bardziej lewicową?

Podam kilka konkretnych przykładów. O ile prawicowym eurosceptykom w polityce Brukseli przeszkadzają przede wszystkim progresywizm kulturowy oraz forsowanie transformacji ekologicznej, o tyle dla lewicy największymi problemami są niedostatki demokratyczne oraz polityka gospodarcza. Unia Europejska jest oparta na idei wolnej konkurencji, przede wszystkim między prywatnymi firmami. W praktyce często oznacza to naciski na prywatyzację majątku publicznego czy ograniczanie roli państwowych monopoli. Jeszcze kilkadziesiąt lat temu były one standardem w wielu sektorach, od energetyki przez przemysł wydobywczy aż do transportu zbiorowego. Dobrym przykładem jest rynek kolejowy. Niedawne wejście zagranicznych przewoźników do Polski to efekt polityki Brukseli, która uznała, że również transport kolejowy powinien podlegać zasadom konkurencji. Moim zdaniem to błędna logika, bo kolej powinna być przede wszystkim usługą publiczną. Państwo powinno zapewniać transport na terenie kraju, kierując się interesem społecznym, a nie logiką zysku. W przeciwnym razie kończy się to likwidowaniem nierentownych połączeń i wykluczeniem części mieszkańców. Hiszpania czy Szwecja już się przekonały, że państwowi przewoźnicy zmuszeni do rywalizacji z prywatną konkurencją na najpopularniejszych trasach mają tendencję do cięcia kosztów poprzez rezygnację z mniej zyskownych prowincjonalnych połączeń.

Drugą kwestią jest ogromna skala lobbingu w Brukseli. Według niektórych szacunków to 30 tys. osób zawodowo zajmujących się lobbingiem i 162 korporacje oraz stowarzyszenia biznesowe, które w 2024 r. wydały na lobbing co najmniej 1 mln euro. To moim zdaniem rodzi poważny problem demokratyczny i wzmacnia wpływ wielkiego biznesu na politykę Unii Europejskiej, zagłuszając jednocześnie głos obywateli. Naprawę tej patologicznej sytuacji można zacząć

eprasa.pl c554e197b0

od postawienia na transparentność, czyli np. stworzenie publicznego rejestru kontaktów polityków ze światem biznesu oraz objęcie ściślejszym nadzorem darowizn na kampanie wyborcze.

No właśnie, w praktyce chyba dalej chodzi o wygrywanie wyborów? O tym mówią i prawica, i lewica. PiS też miał zmienić UE przez głosowanie na Ursulę van der Leyen, tylko nie wyszło.

Teoretycznie byłoby to możliwe, gdyby lewica zdobyła większość zarówno w Parlamencie Europejskim, jak i na poziomie Rady Europejskiej, ale w ostatnich latach trend jest odwrotny. Lewica słabnie wyborczo, co bardzo utrudnia realizację jakichkolwiek ambitniejszych projektów reform. Dobrym przykładem była Europejska Wiosna Janisa Warufakisa. To miał być projekt reformowania Unii od środka poprzez sukces wyborczy, ale zakończył się porażką. Jeśli dobrze pamiętam, z Ruchu Demokracji w Europie 2025 nie został wybrany ani jeden europoseł. I właśnie o to rozbija się większość lewicowych projektów europejskich. Dlatego coraz częściej szuka się innych sposobów. Widać to choćby w projektach takich jak Francja Niepokorna Jeana-Luca Mélenchona. Ich podejście jest następujące: chcemy reformować Unię Europejską, ale nawet jeśli wygramy wybory we Francji, to nie zmienimy automatycznie całej Europy. A jeśli Unia nie będzie chciała się zmienić, to część jej zasad trzeba będzie po prostu ignorować i prowadzić bardziej socjalną politykę na poziomie krajowym.
I właśnie z takiego myślenia bierze się współczesny lewicowy eurosceptycyzm. Jego przejawy było widać również w Partii Pracy za czasów Jeremy'ego Corbyna, gdy teoretycznie opowiadano się przeciwko brexitowi, ale jednocześnie niektórzy laburzyści w opuszczeniu UE widzieli szansę. Bez unijnych traktatów i różnych ograniczeń budowa socjalistycznej Brytanii miała być łatwiejsza. Sądzę, że w całej Europie takie podejście będzie mniej lub bardziej kusić antykapitalistów, ale pewnie też niektórych socjaldemokratów.

Można tak sobie mówić, jeśli się siedzi we Francji czy w Hiszpanii, ale w Europie Wschodniej mamy stałe zagrożenie ze strony Rosji. Trzeba się jakoś bronić.

Współpraca partii z ponad 20 państw siłą rzeczy jest bardzo trudna. Rozumiem stanowisko Razem, że zachodnia lewica często lekceważy rosyjskie zagrożenie, co doprowadziło do zerwania współpracy z częścią europejskich organizacji. Trzeba jednak pamiętać, że stuprocentowa jednomyślność nigdy nie będzie możliwa. Dlatego uważam, że niezależnie od sporów dotyczących Rosji, militaryzacji i polityki bezpieczeństwa lewica powinna współpracować tam, gdzie istnieje wspólny interes: w kwestiach społecznych, praw pracowniczych,

Artur Troost

„Utracony kompas.
O europejskiej lewicy"
Wydawnictwo Krytyki Politycznej,
Warszawa 2026

demokratyzacji Unii Europejskiej czy transformacji ekologicznej. Zresztą prawica pokazuje, że jest to możliwe. Nacjonaliści z różnych krajów mimo sprzecznych interesów narodowych potrafią budować międzynarodowe sojusze.

A skoro już mówimy o prawicy i Unii Europejskiej, to chciałem zapytać o wątek obrosłego legendami eurokomunizmu, który pojawia się w pańskiej książce. Można przecież uznać historię eurokomunistów za kolejny dowód na to, że Unia Europejska z perspektywy lewicowej jest właściwie niemożliwa do zreformowania.

To prawda, eurokomuniści mieli bardzo ambitne cele i niemałe poparcie w licznych kluczowych państwach, wtedy jeszcze należących do EWG. Chcieli stopniowej budowy socjalistycznej Europy i uczestniczyli w pracach nad powołaniem do życia Unii Europejskiej, ale ostatecznie nowa organizacja była daleka od ich marzeń. Można więc postawić tezę, że Unia jest strukturalnie niereformowalna, zwłaszcza jeśli spojrzymy na jej instytucje i mechanizmy decyzyjne. Wiele z nich ma charakter wyraźnie technokratyczny i ogranicza możliwość prowadzenia oddolnej polityki demokratycznej. I tu wraca jeszcze jeden paradoks. Prawica regularnie przedstawia Brukselę jako projekt lewicowy, czasem wręcz „eurokomunistyczny", choć historycznie to po prostu nieprawda. Już mniejsza o komunizm; Unii daleko do jakiejkolwiek formy socjalizmu.

To chciało zmienić DiEM 25, o którym pan wspominał.

Warufakis był bardzo krytyczny wobec obecnej Unii Europejskiej, ale jednocześnie chciał ją reformować od środka. Tyle że ten projekt się nie udał. I tutaj znowu można się długo zastanawiać nad tym, dlaczego lewicy nie wychodzi. To nie jest główny temat książki, ale opisuję tam również pogląd, według którego Unii Europejskiej nie da się zreformować, ponieważ została zbudowana na błędnych fundamentach. W końcu to wciąż sojusz 27 państw, w którym kluczową rolę odgrywa Rada Europejska, a szefowie rządów walczą przede wszystkim o własne interesy narodowe. Kiedy Donald Tusk obejmował funkcję przewodniczącego Rady Europejskiej, wielu Polaków zastanawiało się, co ugra dla Polski, a nie dla całej Europy. W Unii dominuje więc podejście transakcyjne: negocjacje między państwami, wpływy lobbystów i gra interesów. W takich warunkach trudno budować naprawdę demokratyczny i progresywny projekt polityczny. I rozumiem tę krytykę, bo uważam ją w dużej mierze za uzasadnioną. Z drugiej strony nie wierzę, żeby realna była budowa jakiejś alternatywy dla Unii Europejskiej, czy to w formie „Socjalistycznych Stanów Zjednoczonych Europy", czy „Europy socjalistycznych ojczyzn". Skoro lewica nie jest dziś w stanie przeforsować głębszych zmian nawet w ramach obecnej UE, bo ma po prostu zbyt małe poparcie, to tym bardziej trudno sobie wyobrazić całkowite wywrócenie tego systemu.

A co łączy lewicę z różnych opcji?

Różne postulaty socjalne, np. wprowadzenie płacy minimalnej regulowanej na poziomie paneuropejskim. Lewica zgodnie postuluje wzmocnienie dialogu społecznego i roli związków zawodowych, choć różni się w kwestii sposobów realizacji tych celów. Wspólnym punktem jest zwiększenie kompetencji Europejskiej Konfederacji Związków Zawodowych, która miałaby się stać kluczowym partnerem Komisji Europejskiej i Parlamentu Europejskiego przy tworzeniu regulacji dotyczących rynku pracy. Holenderska Zielona Lewica (GL/PvdA) proponuje dodatkowo powołanie Europejskiej Rady Dialogu Społecznego skupiającej związki zawodowe, pracodawców i instytucje unijne. Z kolei Francja Niepokorna stawia przede wszystkim na reprezentację pracowników, proponując utworzenie Kongresu Związków Europejskich pełniącego funkcję konsultacyjną wobec Komisji Europejskiej.
Niezależnie od tych różnic istnieją wspólne cele: prawa pracownicze, zielona transformacja czy ograniczenie wpływu wielkiego biznesu. O to można zarówno walczyć w ramach obecnej Unii mimo wszystkich ograniczeń, jak i myśleć o dalszych zmianach systemowych. W książce nazywam to programami minimum i maksimum. Uważam, że można prowadzić oba te działania równocześnie. Dlatego nie przekonuje mnie prosty podział na obozy broniących Unii i chcących ją obalić. Nic nie stoi na przeszkodzie, żeby reformować Unię od środka, nawet jeśli część długofalowych ambicji lewicy wykracza poza obecny model integracji europejskiej.

Skoro zgadzamy się, że eurosceptycyzm będzie narastał, to czy może być to eurosceptycyzm twórczy? A jeśli tak, to czym takie ruchy różniłyby się od Prawa i Sprawiedliwości? Lewica potrzebuje swojego Morawieckiego?

Nie będę rozstrzygał, ile w polityce PiS znajdziemy lewicowych elementów, chociaż moim zdaniem zdarzało mu się ścierać z Brukselą ze słusznych powodów – np. gdy zwiększał kontrolę państwową nad sektorami strategicznymi. To ciekawe pytanie, czy za kilka lat możemy zobaczyć w Europie polityków przypominających Mateusza Morawieckiego, ale odwołujących się do lewicowej wrażliwości społecznej. Myślę, że obok eurosceptycyzmu nacjonalistycznego i regresywnego będzie się rozwijał także nurt próbujący reformować Unię i wywierać na nią presję społeczną. Widać to choćby na przykładzie polityki mieszkaniowej. Po wyborach europarlamentarnych w 2024 r. po raz pierwszy została ona oficjalnie uznana za temat, którym Bruksela może i powinna się zajmować. Pod koniec zeszłego roku zaprezentowano Europejski plan na rzecz przystępnych cenowo mieszkań. Na efekty trzeba będzie poczekać, ale to krok w dobrym kierunku i dowód, że pod wpływem nacisku społecznego Unia potrafi poszerzać zakres swoich działań. Na poziomie paneuropejskim wywieranie takiej presji będzie jednak trudne, dopóki Parlament Europejski pozostaje relatywnie słaby. Lewica od dawna postuluje jego wzmocnienie, ale nie sądzę, by miało to nastąpić w najbliższej przyszłości, a nawet gdyby, to na ten moment lewicy brakuje po prostu europosłów. Tu wracamy do europejskich odpowiedników Morawieckiego. Myślę, że mogą pojawić się liderzy eurokrytyczni, którzy będą popychać Unię w stronę bardziej prospołecznej strategii. Czy w taką rolę mógłby wejść Sánchez, obecnie polityk jednoznacznie proeuropejski? Czy może trzeba czekać na większego radykała, kogoś pokroju Mélenchona? Trudno dziś przewidzieć.
Jedno wydaje mi się natomiast dość pewne: Unia Europejska raczej nie stanie się federacją, tylko pozostanie związkiem państw narodowych.
A skoro tak, to ogromne znaczenie nadal będą miały wybory w poszczególnych krajach. Jeśli w którymś z dużych państw do władzy dojdzie siła konstruktywnie eurokrytyczna, to może ona realnie wpłynąć na kierunek zmian w całej Unii. Chociaż brzmi to paradoksalnie, niewykluczone, że część pozytywnych zmian będzie wymuszana właśnie przez polityków sceptycznych wobec obecnego modelu integracji. I może właśnie w tym kryje się jakaś nadzieja. ©℗

FOT. MAT. PRASOWE

Artur
Troost

doktorant na Uniwersytecie Warszawskim. Absolwent historii i socjologii, w pracy naukowej koncentruje się na dziejach najnowszych Europy Zachodniej. Publicysta „Krytyki Politycznej". Autor książki „Utracony kompas. O europejskiej lewicy"

eprasa.pl c554e197b0

Wspaniałe, niedopowiedziane człowieczeństwo

Papież wskazuje, że technika sama w sobie nie jest zła, ale jej rozwijanie tylko dlatego, że można więcej i szybciej, nie jest działaniem godnym człowieka. Mógłby jednak mówić bardziej dobitnie

Izabela

Lipińska

Czytelnik spodziewający się, że ogłoszona 15 maja 2026 r. encyklika papieża Leona XIV „Magnifica humanitas" będzie kolejnym zbiorem ogólnych uwag o współczesnym człowieku, może się zdziwić. Tekst jest bowiem poważną próbą opisania kryzysu cywilizacyjnego, w którym sztuczna inteligencja – choć pozostaje narzędziem – zaczyna działać jako element infrastruktury władzy, pracy, edukacji, relacji, komunikacji i wojny.

Papież nie mówi o technologii w abstrakcji. Wskazuje na konkrety. Przypomina, że technologia przyjmuje moralność tych, którzy ją projektują i finansują, więc nie może koncentrować się w rękach konkretnych, nielicznych grup. Rozpoznaje główne społeczne i polityczne zagrożenia związane z AI, ale pozostawia niedosyt tam, gdzie chodzi o granicę między osobą a jej syntetyczną imitacją.

Kościół widzi problem i przypomina o niezastępowalności człowieka, ale nie stawia jednoznacznie nieprzekraczalnej granicy między osobą a maszyną. Dlaczego instytucja, która dysponuje jednym z najmocniejszych języków pozwalających oprzeć tę granicę nie na zmiennych właściwościach, lecz na statusie człowieka jako imago Dei, nie domyka swojego rozpoznania?

Kim jest człowiek dla Leona XIV

Papież przypomina klasyczne chrześcijańskie twierdzenie, że każda ludzka istota – kobieta i mężczyzna – została stworzona na „obraz i podobieństwo Boga w Trójcy Jedynego". Z tej teologicznej perspektywy wynika bardzo konkretne ujęcie ludzkiej natury: człowiek jest istotą relacyjną, stworzoną do wchodzenia w komunię z Bogiem, innymi ludźmi oraz całym stworzeniem.

Kluczowym pojęciem jest ludzka godność. Papież porządkuje ją na kilku poziomach: moralnym, związanym z jakością naszych wyborów i działań; społecznym, zależnym od warunków życia i uznania we wspólnocie; egzystencjalnym, odnoszącym się do poczucia sensu i własnej wartości; oraz ontologicznym. To właśnie godność ontologiczna jest najgłębsza: przysługuje każdej istocie ludzkiej „po prostu z racji jej istnienia, tego, że była chciana, stworzona i umiłowana przez Boga".

Z tak rozumianej godności wynikają nienaruszalne i niezbywalne prawa człowieka, których żadna ludzka władza nie może arbitralnie ograniczać ani negować. Człowiek zawsze pozostaje celem samym w sobie, a nigdy środkiem do osiągania rezultatów. Dlatego papież wprost sprzeciwia się traktowaniu ludzi jako zasobu, który można zoptymalizować i wykorzystać. Krytykuje logikę, w której wartość osoby mierzy się efektywnością, sprawnością i użytecznością.

Papież o AI

Tekst zwraca uwagę na to, że współczesne systemy są bardziej „hodowane" niż „konstruowane": twórcy nie projektują bezpośrednio każdego ich elementu, lecz budują architekturę, która się następnie rozwija poprzez przetwarzanie danych i informacji zwrotnych. Systemy „nie przeżywają doświadczenia, nie posiadają ciała, nie odczuwają radości i bólu, nie dojrzewają w relacji, nie znają od wewnątrz tego, co znaczą miłość, praca, przyjaźń i odpowiedzialność. Nie mają również świadomości moralnej: nie oceniają dobra i zła, nie ujmują ostatecznego sensu sytuacji, nie biorą na siebie ciężaru konsekwencji. Mogą naśladować języki, zachowania i oceny, mogą symulować empatię albo zrozumienie, ale nie rozumieją tego, co wytwarzają, ponieważ nie żyją w sferze afektywnej, relacyjnej i duchowej, w których człowiek staje się mądry" – czytamy w encyklice.

W świecie, w którym komercyjne chatboty coraz częściej sprawiają wrażenie cierpliwych, uważnych i „obecnych", papież przypomina podstawową rzecz: płynność języka nie oznacza doświadczenia, a przekonująca symulacja relacji nie jest relacją, lecz jej pozorem – symulacją. Im bardziej AI przypomina partnera w rozmowie, tym łatwiej zapomnieć, że wciąż jest to system przetwarzania danych, a nie podmiot spotkania.

Szkoda, że w tym miejscu papież nie poszedł o krok dalej. Bo skoro tak wyraźnie to rozpoznaje, to należałoby powiedzieć, że projektowanie systemów pod taką symulację nie jest neutralnym wyborem, lecz decyzją moralną, a – jak przypomina encyklika – moralność wprojektowana w AI staje się formą władzy. I to nie jest abstrakcja – już dziś obserwujemy coraz większe grono ludzi, którzy twierdzą, że model językowy kocha ich i rozumie lepiej niż inni ludzie. To nie jest neutralna sytuacja. Konsekwencje poniesie całe społeczeństwo. Nawet ta część, która z AI nie korzysta.

Obszary ryzyka

Encyklika wskazuje na konkretne obszary ryzyka. Zacieranie granic między prawdą a fałszem, mieszanie faktów z opiniami i manipulacja obrazem oraz dźwiękiem uderzają w samo jądro demokracji, która opiera się na zaufaniu społecznym. Stawką nie jest już tylko jakość informacji, lecz także zdolność ludzi do właściwego rozumienia świata.

Kościół zauważa także, że systemy symulujące empatię, radę, przyjaźń czy miłość mogą wytwarzać złudzenie kontaktu z autentycznym podmiotem osobowym. Największe niebezpieczeństwo pojawia się wówczas, gdy taka symulacja trafia na ludzi osamotnionych i spragnionych uwagi. Wtedy technologia może osłabiać pragnienie szukania realnego drugiego człowieka.

Kolejnym obszarem jest praca, w tym niewidzialne zaplecze AI. Encyklika demaskuje mit o „czystej, niematerialnej technologii z chmury". Za natychmiastową odpowiedzią bota stoją fizyczne infrastruktury, zużycie zasobów naturalnych oraz mało widoczna i skrajnie nisko opłacana praca ludzka. W jednym z najbardziej obrazowych

eprasa.pl c554e197b0

FOT. ANDREAS SOLARO/AFP/EAST NEWS

fragmentów czytamy: „W niektórych regionach świata nastolatki i dzieci pracują w niebezpiecznych warunkach przy kruszeniu materiałów, z których pozyskuje się pierwiastki ziem rzadkich. Ciała pokryte bliznami, okaleczone, wyniszczone po to, by nie został przerwany przepływ obliczeń".

Innym obszarem jest wojna. Leon XIV wiąże rozwój AI z geopolitycznym, militarnym i poznawczym wyścigiem o dominację. W tle stoi przekonanie, że decyzji o życiu, śmierci i użyciu siły nie wolno oddawać algorytmom, które nie mają sumienia ani nie ponoszą odpowiedzialności. „Sztuczna inteligencja nie odbiera konfliktowi jego wewnętrznie nieludzkiego charakteru: może jedynie uczynić go szybszym i bardziej bezosobowym, obniżając próg uciekania się do przemocy i przemieniając obronę w operacyjne przewidywanie, przy czym ofiary zostają zredukowane do danych. W ten sposób przyzwyczaja nas ona do myśli, że przemoc jest nieuchronna i trzeba ją jedynie optymalizować" – czytamy w encyklice.

Propozycja Stolicy Apostolskiej

Papież nie przyjmuje jednak postawy technofobicznej. Wskazuje, że technika jest częścią ludzkiej działalności i sama w sobie nie jest zła. Jednak ma ona służyć ludzkiej naturze. Rozwijanie technologii tylko dlatego, że można więcej i szybciej, nie jest działaniem godnym człowieka.

Przywołując zasadę dobra wspólnego, Leon XIV podkreśla, że patenty, algorytmy, platformy i dane nie mogą być traktowane jako własność prywatnych monopoli. Skoro są owocem pracy, wkładu i uczestnictwa wielu osób, nie mogą przynosić zysku tylko nielicznym. Zasada pomocniczości ma chronić podmiotowość wspólnot lokalnych przed paternalistycznym zarządzaniem ze strony cyfrowych gigantów. Pomocniczość, połączona z solidarnością, ma natomiast chronić społeczeństwo obywatelskie przed sprowadzeniem go do roli biernego odbiorcy algorytmicznych decyzji. Papież zaznacza, że każdy człowiek może wnieść swój wkład. „W tym miejscu pojawia się jednak subtelna pokusa: myślenie, że problemy są zbyt wielkie, a my zbyt mali, i że wobec tego nasze wybory niczego nie zmieniają. Jest to elegancka forma kapitulacji, często ukrywająca się pod maską realizmu. Oczywiście, nie wszyscy mają taką samą możliwość oddziaływania na rzeczywistość (...). A jednak nikt nie jest pozbawiony odpowiedzialności. Każdy dysponuje własną przestrzenią działania i właśnie tam (...) jest wezwany do wyboru, czy podsycać logikę siły (...) czy też strzec logiki pokoju" – pisze Leon XIV.

Narzędziem obrony przed technokratyczną logiką ma być także edukacja: roztropność, weryfikacja i zdolność celowego spowolnienia wdrażania AI wtedy, gdy tempo innowacji wyprzedza dojrzewanie ludzkiego sumienia i instytucji kontrolnych.

Papież pisze: „Wychowywać do korzystania ze sztucznej inteligencji oznacza także wychowywać do rozeznania, kiedy i w jakich celach nie należy jej używać". To zdanie otwiera najciekawszą przestrzeń dokumentu: skoro istnieją cele, dla których AI nie powinna być używana, trzeba umieć wskazać, które zastosowania wspierają człowieka, a które go degradują.

W warstwie operacyjnej encyklika wprowadza pojęcie rozliczalności jako wymogu jasnego określenia odpowiedzialności ludzkiej: od projektowania i trenowania modeli, aż po ich wdrożenie. Decyzje wpływające na pracę, szanse życiowe czy reputację człowieka powinny być zrozumiałe, jawne i możliwe do zakwestionowania.

Niedopowiedziana granica

Część komentatorów chwali Leona XIV za to, że potraktował sztuczną inteligencję nie jako cyfrową nowinkę, lecz jako problem godności człowieka, prawdy, sprawiedliwości społecznej, wojny i władzy. Pojawiają się także głosy sceptyczne. Zwracają one uwagę na to, że wezwania do etycznego zarządzania platformami i algorytmami pozostaną na poziomie ogólnych deklaracji, jeśli nie towarzyszą im propozycje konkretnych rozwiązań. Wyrażają obawę, że encyklika może zostać potraktowana jako materiał, z którego firmy technologiczne skorzystają, przepisując jej język do własnych strategii wizerunkowych.

Pod językiem godności, odpowiedzialności i dobra wspólnego może podpisać się niemal każdy aktor rynku AI. Firma oferująca „towarzyszy" AI powie, że wspiera samotnych. Dostawca AI-terapii powie, że rozwiązuje problem braku dostępu do leczenia. Bez twardych kryteriów rozróżniania mamy etyczną pralkę.

Jest też luka, która leży głębiej – w różnicy między człowiekiem a maszyną. Różnicy wypowiedzianej językiem ontologicznym i teologicznym, a nie poprzez wymienianie tego, czego AI nie potrafi. Nawet jeśli maszyna będzie umiała wykonać wszystko to, co człowiek, nie oznacza to, że wykonuje to tak samo jak człowiek ani że stała się człowiekiem czy tym bardziej dzieckiem Bożym. I krytycy to wykorzystują – zarzucają papieżowi, że nie rozumie technologii, bo AI „już czuje, już myśli, a za chwilę będzie miała także ciało", więc jego argumenty są tylko desperackim wołaniem z ambony. Dlatego właśnie szkoda, że nie dodano wprost, że różnica jest teologiczna i ontologiczna, a nie funkcjonalna, i dlatego pozostaje w mocy, nawet jeśli maszyna będzie umiała wykonać te same zadania co człowiek.

Tekst powinien także być wyraźniejszy w zakresie tego, co dotyczy kwestii ograniczenia zastosowań, które przejmują działania należące do rodziny, wspólnoty oraz sfery relacji międzyludzkich. Czym innym jest system wspierający dostarczanie leków, analizę żywności, bezpieczeństwo publiczne czy badania naukowe, a czym innym system projektowany jako symulacja udająca przyjaciela, kochanka, spowiednika, terapeutę albo zastępczą wspólnotę.

Encykliki nie są dokumentami operacyjnymi, a w coraz bardziej skomplikowanym świecie potrzeba konkretów. Zwłaszcza że lokalna wspólnota mierzy się z konkretnymi sytuacjami, a nie z abstrakcją (czy romantyczna rozmowa z botem to zdrada, czy generowanie prac domowych to oszustwo?). Ma też pytanie generalne: czy w ogóle korzystać z AI, skoro przemysł technologiczny stoi na pirackich danych czy pracy ludzi, którzy oznaczają brutalne dane za ułamek dolara?

„Magnifica humanitas" to ważny dokument. Przenosi dyskusję o AI w środek debaty o władzy i godności. Jednak w czasach, gdy systemy generatywne z rynkową bezwzględnością wciągają w symulakrum, sama szeroka rama moralna już nie wystarczy. Jeśli humanizm ma coś w takim świecie znaczyć, to nie można poprzestać na apelach o roztropność. Potrzebujemy – zwłaszcza od Kościoła – bardziej jednoznacznego języka. Takiego, który potrafi postawić nienaruszalną granicę tam, gdzie kończy się sprawne narzędzie, a zaczyna pojęciowe oszustwo. ©℗

Autorka jest filozofką, pedagożką pracy, twórczynią rozwiązań AI w ramach autorskiego podejścia ontologicznej adekwatności, członkinią instytutu badawczego GAIA

Encyklika demaskuje mit o „czystej, niematerialnej technologii z chmury". Za natychmiastową odpowiedzią bota stoją fizyczne infrastruktury, zużycie zasobów naturalnych oraz mało widoczna i skrajnie nisko opłacana praca ludzka

eprasa.pl c554e197b0

Kultura

Sztuczne nie musi być złe

AI przebojem wdarła się do przemysłu muzycznego. Skoro nie można się jej pozbyć, może czas ją dobrze wykorzystać

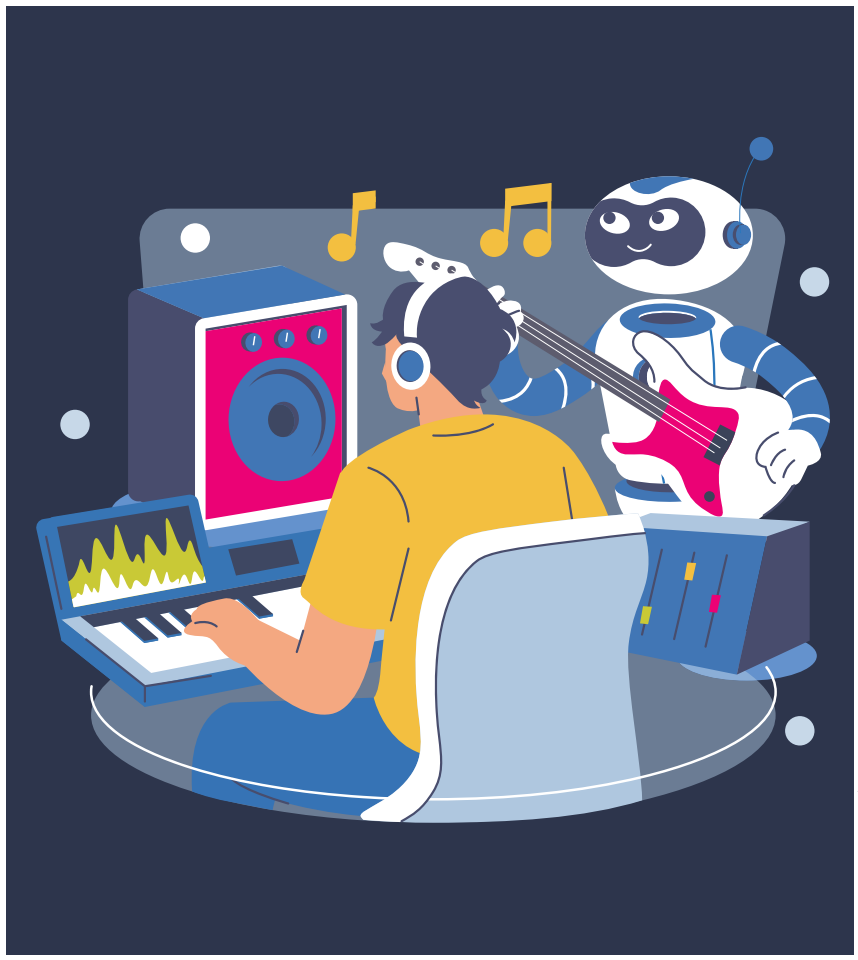

FOT. INSPIRING.TEAM/SHUTTERSTOCK

Konrad

Wojciechowski

Rozwój sztucznej inteligencji pozwala każdemu na stworzenie od podstaw piosenki. Nie trzeba być twórcą. Nie trzeba mieć zielonego pojęcia na temat rytmu, harmonii czy melodii. Czytanie nut nie jest wymagane. Wystarczy znaleźć odpowiedni program do generowania utworów, precyzyjnie określić, jaka to ma być muzyka i o czym powinien mówić tekst, a cyfrowa maszyna przygotuje piosenkę odpowiadającą oczekiwaniom, np. bluesa dla tęskniącego za dziewczyną czy blackmetalowy łomot dla prawdziwych mężczyzn. Wszystko wedle życzenia. Internet jest bezbrzeżny, a AI w okamgnieniu znajdzie odpowiedni szablon na bazie tego, co już powstało i żyje w sieci. A do czego takie narzędzia mogą się przydać profesjonalistom?

Paweł Swiernalis, muzyk, wokalista i producent, przyznaje, że testuje możliwości sztucznej inteligencji. Od ponad roku używa generatywnych platform typu Suno czy Flow, które pomagają użytkownikom tworzyć muzykę na podstawie algorytmów AI. – Zaspokajam wyłącznie swoją ciekawość i zainteresowanie technologią. Patrzę, do czego to narzędzie jest zdolne – tłumaczy Swiernalis.

Na co dzień zajmuje się songwritingiem – sam sobie pisze i komponuje piosenki. Sztuczna inteligencja jest mu w tym procesie w zasadzie niepotrzebna. Co innego w przypadku zleceń na muzykę komercyjną. Wtedy algorytmy mogą szybko podpowiedzieć pomysły na melodie i dostarczyć szkielety aranżacji piosenek z kręgu muzyki środka. – Wciąż jest to jednak generyczne i kulawe – zastrzega mój rozmówca. – Po kilku godzinach generowania takich tworów włączam znaną stację radiową i okazuje się, że różnica między utworami z anteny a generowanymi przez AI jest praktycznie zerowa – dodaje.

Technologia przydaje się do zbierania pomysłów muzycznych, testowania kolejnych wersji danego utworu i szybkiego sprawdzenia, „jakby to mogło brzmieć". Nie jest przekonany, że cyfrowe narzędzia mogą go zastąpić czy zaspokoić jego potrzebę tworzenia. – Przecież proces twórczy jest niczym innym niż błądzeniem i odbijaniem się od ścian, aby raz na jakiś czas dotknąć czegoś sensownego – podsumowuje Swiernalis.

Beatlesi ulegli pokusie

Kilka dekad temu – na fali popularności punk rocka – artyści chcieli robić wszystko sami (słynne DIY, czyli „Do it Yourself"). W tej chwili wielu woli polegać na dostępnej i bardzo bystrej technologii. Nawet brytyjscy bogowie piosenki, którzy zauroczyli melodyjnymi balladami cały świat, nagrali dziesiątki przebojów i od lat 60. bezdyskusyjnie uchodzą w muzyce za popkulturowy fenomen, też na starość skorzystali z narzędzi AI.

Mowa o Beatlesach. Grupa rozpadała się w 1970 r., 10 lat później zginął John Lennon i już było wiadomo, że słynna czwórka z Liverpoolu nigdy więcej się nie odrodzi. Tak było do... 2023 r., kiedy fani Johna, Paula, George'a i Ringa znów usłyszeli ich razem w piosence „Now And Then". Utwór powstał jeszcze pod koniec lat 70., niedługo przed śmiercią Lennona, który w swoim nowojorskim mieszkaniu nagrał go w wersji demo. Muzycy dostali po latach to nagranie od wdowy po Lennonie – Yoko Ono – i postanowili wydać piosenkę. Za pierwszym podejściem nie udało się w studiu zgrać podkładu ze śpiewem zmarłego kolegi z powodu kiepskiej jakości nagrania demo. Zaprzestano dalszych prób.

Dopiero pięć lat temu, podczas pracy nad krótkim serialem o Beatlesach reżyser Peter Jackson udowodnił, że można zrekonstruować archiwalia. Skoro udało się rozszyfrować zagłuszone rozmowy muzyków na próbie, dlaczego miałoby się nie udać z piosenką? I „Now And Then" dostało drugą szansę. Dzięki technologii uczenia maszynowego – pozwalającej komputerowi nauczyć się m.in. cudzego głosu – udało się wyizolować wokal Lennona i go poprawić. W efekcie cała czwórka znów razem zaśpiewała i to piosenkę napisaną kilka lat po rozpadzie legendarnego zespołu. Słychać tu nie tylko Ringo Starra i Paula McCartneya – dwóch nadal żyjących Beatlesów – lecz także głos Johna oraz śpiew i gitarę George'a Harrisona, który zmarł na początku tego stulecia. Stał się cud za sprawą generatora i algorytmów.

K-pop lubi algorytmy

Na YouTubie łatwo znaleźć wiele piosenek po algorytmicznym liftingu. Niemożliwe staje się możliwe. Przykłady? Znajduję wielki popowy przebój „Umbrella" Rihanny wykonywany ostrym, męskim głosem do złudzenia przypominający barwę Jamesa Hetfielda z Metalliki. Nieżyjący Freddie Mercury nagle ożywa i wykonuje „Toxicity" z repertuaru numetalowej grupy System of a Down. Jeśli ktoś się zastanawia, co by było, gdyby George Michael urodził się krótko po wojnie i lansował przeboje w latach 60. jako czołowy przedstawiciel znanej wytwórni Tamla-Motown, może posłuchać na YouTubie „Careless Whisper" w wersji retro soul.

To wszystko jednak kombinacje bezimiennych internautów. Twórcy niechętnie przyznają się do korzystania z zewnętrznej inteligencji w obawie przed oskarżeniami o muzyczne oszustwo. Dwa lata temu pod ostrzałem miażdżącej krytyki znalazł się k-popowy boysband Seventeen. Południowokoreańscy artyści przyznali się dziennikarzom, że chcą się rozwijać razem z technologią, a nie na nią narzekać. „Ćwiczyłem korzystanie ze sztucznej inteligencji i próbowałem zaleźć plusy i minusy" – powiedział Woozi, producent i wokalista Seventeen, cytowany przez BBC. Później wycofywał się ze swoich słów, zapewniając, że muzyka boysbandu jest komponowana przez „ludzkich twórców", ale teledysk do piosenki „Maestro" został częściowo stworzony przez sztuczną inteligencję. Podobnie jak klip ilustrujący „Supernovą", inny k-popowy przebój. Tym razem to sprawka dziewcząt z formacji Aespa, które wymyśliły produkcję ze scenami wygenerowanymi przez algorytmy.

Fani południowokoreańskiej muzyki są podzieleni. Jeśli sztuczna inteligencja może wesprzeć artystę, którego opuściła wena, to czemu nie? – pytają jedni. Drudzy podnoszą argument, że k-pop słynie z niesamowitej produkcji i montażu, toteż sceny w klipach reżyserowane przez AI pozbawiają te produkcje uroku.

Zrób sobie Eminema albo Janerkę

Jeszcze dalej poszedł David Guetta. Słynny francuski producent – znany ze współpracy m.in. z Madonną, Rihanną, ze Snoop Doggiem czy z Drakiem – podczas jednego z koncertów wystąpił z Eminemem, tylko że amerykańskiego rapera wtedy fizycznie nie było na scenie. Guetta użył algorytmiczne-

eprasa.pl c554e197b0

go fortelu – postanowił wygenerować głos wielkiego nieobecnego. Nie zdradził do końca, jak tego dokonał. Jedna z hipotez mówi, że Francuz wykorzystał w tym celu ChatGPT i wydał mu polecenie, aby generator napisał kilkanaście wersów w stylu Eminema, które będą pasowały do muzyki Guetty określanej jako future rave. Z tekstem przygotowanym przez sztuczną inteligencję producent zaczął szukać kolejnego generatora AI, by zsyntetyzować głosy na podstawie powstałych wersów. Wyniki eksperymentu zaprezentował publicznie w czasie swojego występu, przedstawiając fanom „Emin-AI-ema". Wybuchły owacje. Studyjny żart okazał się hitem koncertowym.

Podobne zabawy są już testowane na polskim rynku muzycznym. W zeszłym roku Michał Wiraszko, śpiewający gitarzysta poznańskiej formacji Muchy, opublikował swój pierwszy solowy album „Tak młodo się nie spotkamy". Do wykonania piosenki „Awatary" został zaproszony Lech Janerka, jednak legendarny muzyk tak długo opierał się tej propozycji, że autor płyty wpadł w końcu na inny pomysł. Wytrenował model AI na głosie Lecha, który do muzyki skomponowanej przez Wiraszkę zaśpiewał fragmenty tekstu autorstwa Michała. Wyszedł zgrany duet. I Janerka jak żywy, chociaż wirtualny.

– Sama piosenka powstała w sali prób. Napisałem słowa, wymyśliłem wokale i gdy całość była gotowa, z pomocą przyszli mi koledzy producenci. Znaleźli generator treści i włożyli do środka przykładowe próbki głosowe Janerki, wywiady audio, których udzielał dziennikarzom, a także wypreparowaną ścieżkę wokalną z przygotowanej piosenki „Awatary". Na podstawie tego wsadu model językowy miał się edukować, a jak już się nauczył, przygotował zaśpiewane głosem Lecha fragmenty utworu – opowiada Michał Wiraszko.

Zabieg z użyciem AI obronił się co najmniej z kilku powodów. Po pierwsze, Janerka zaakceptował finalną wersję piosenki, w której występuje, chociaż de facto go tam nie ma, lecz we wszystko został wtajemniczony i wyraził zgodę na wirtualny współudział. Po drugie, utwór nosi tytuł „Awatary" i jest poświęcony refleksji nad używaniem cyfrowych wizerunków do reprezentowania autentycznych osób w symulowanym świecie. A po trzecie, przepowiadające kres przydatności człowieka w obliczu starcia z maszynami „Awatary" snują tak samo findesiecle'owe wątki jak janerkowa poezja śpiewana, która często dotyka tematów ostatecznych.

Pytam Wiraszkę, czy ludzie dali się nabrać na jego eksperyment i czy będą kolejne. – Tylko dwie osoby zwróciły mi uwagę, że coś tu nie pasuje. Niby barwa głosu się zgadza, ale Janerka jakiś przeziębiony na tym nagraniu – relacjonuje ze śmiechem Wiraszko. Nie wyklucza, że może kiedyś poważy się jeszcze na podobny duet. A przy tym wierzy, że w walce sztucznej inteligencji z prawdziwą wygra ludzkość i chęć przeżywania na żywo koncertów, na których występują artyści, a nie algorytmy. – Nie odżegnuję się od AI jako samego narzędzia. Uważam je za bardzo pomocne. Traktuję jednak raczej jak dyktafon do utrwalania pomysłów na melodię i przygotowywania szkiców aranżacyjnych aniżeli urządzenie, które wyręczy mnie w robieniu muzyki – dopowiada.

W czym pomaga AI

Pytam innych polskich artystów, jaki dobry użytek robią ze sztucznej inteligencji w codziennej pracy nad piosenką. – AI może bardzo przyspieszyć research, pomóc w wyszukiwaniu informacji o konkretnych brzmieniach, technikach produkcyjnych, historii nagrań czy sprzęcie, z którego korzystali wybrani producenci i realizatorzy – uważa Paweł Leszowski, lepiej znany jako Leski, który ma na koncie trzy autorskie albumy.

Na etapie przygotowania do pracy twórczej algorytmy mogą bardzo pomóc. Pod warunkiem że nie zastąpią twórcy ani samego procesu tworzenia muzyki. – Zamiast spędzać wiele godzin na przeszukiwaniu źródeł, można szybciej dotrzeć do inspiracji, kontekstów i rozwiązań technicznych. Widzę więc AI bardziej jako narzędzie wspierające zdobywanie wiedzy i poszerzanie perspektywy danego artysty – puentuje Leski.

Gitarzysta Jakub Jusiński używa sztucznej inteligencji do uczenia się masteringu i miksowania. I do konsultacji. Nie ma jednak zamiaru wyręczać się technologią. – Jeśli chodzi o zalety AI w nagrywaniu i produkcji muzyki, to największym skarbem jest właśnie możliwość szybkiej edukacji przez zadawanie konkretnych pytań. Mnie bardzo pomagało np. pytanie o typowe ustawienia kompresora do bębnów czy o poszczególne zakresy instrumentów w miksie – wylicza Jusiński.

W tym samym celu po sztuczną inteligencję sięga Mikołaj Stroiński, kompozytor muzyki filmowej oraz do gier komputerowych, w tym do „Wiedźmina". – Stosuję AI do częściowego masteringu. Jest jedno narzędzie, które w kilka sekund analizuje zmiksowany materiał i dostosowawszy do niego kompresor, limiter i equalizer, daje bardzo dobry rezultat. Doskonałość efektu końcowego jest sumą drobnych ruchów w procesie miksu, aranżacji, jakości brzmień, sprzętu i, oczywiście, kompozycji – podkreśla Stroiński.

Człowiek i wkład twórczy

Piosenek wykonywanych przez profesjonalistów z celowym wykorzystaniem AI będzie coraz więcej. I mimo że twórczą inteligencję w takich sytuacjach wspiera sztuczna inteligencja, utwory powstające przy wsparciu algorytmów już obecnie kwalifikują się pod ochronę praw autorskich. Stowarzyszenie Autorów ZAiKS (Związek Autorów i Kompozytorów Scenicznych) dopuszcza możliwość rejestracji takich piosenek.

Jak to wygląda w praktyce? – Autorki i autorzy samodzielnie deklarują swój wkład twórczy na etapie rejestracji utworu. Międzynarodowym standardem jest, że osoba rejestrująca utwór oświadcza, że podaje dane zgodne ze stanem faktycznym. Dotyczy to zresztą nie tylko ewentualnego oznaczenia części utworu stworzonej za pomocą AI, lecz także kwestii tak elementarnych jak (współ)autorstwo czy oświadczenie, że utwór jest oryginalny – tłumaczy Anna Klimczak, rzeczniczka prasowa ZAiKS.

Na tym etapie trzeba mieć się na baczności. Osoba rejestrująca częściowo wygenerowany utwór powinna precyzyjnie poinformować, kto miał wpływ na proces twórczy, gdyż odpowiedzialność za ewentualne naruszenie prawa (np. za plagiat) spada na barki rejestrującego, a spory dotyczące autentycznego autorstwa trzeba później rozstrzygać przed sądem. Nie każde użycie AI ma jednak na tyle istotny wpływ na efekt końcowy, by zmieniało strukturę autorstwa piosenki.

Na razie ZAiKS nie odnotowuje wielkiego ruchu, jeśli chodzi o zgłaszanie pod ochronę takich utworów. – Z danych ze stycznia 2026 r. wynika, że utwory stworzone z udziałem AI stanowią zaledwie ułamek reprezentowanego przez ZAiKS krajowego repertuaru muzycznego. Obecnie to 0,59 proc. wszystkich zarejestrowanych w ZAiKS utworów muzycznych i słowno-muzycznych – dodaje Klimczak.

Oddzielanie ziaren od plew

Podobną drogą co ZAiKS zamierza podążyć Spotify. Jak pisał amerykański „Forbes", popularna platforma streamingowa tworzy system do kategoryzowania utworów na ludzkie, stworzone przez ludzi z pomocą AI i w pełni wygenerowane przez sztuczną inteligencję. Ma to pomóc w dystrybuowaniu tantiem dla właściwych podmiotów.

– Wspieramy artystów w zachowaniu kontroli nad tym, czy i w jaki sposób wykorzystują AI w swojej twórczości, i nie zakazujemy treści generowanych przez sztuczną inteligencję na naszej platformie, o ile nie stanowią one spamu, nie podszywają się w sposób nieuprawniony pod innych artystów oraz nie naruszają praw autorskich – tłumaczy Anna Hołub z biura prasowego Spotify w Polsce.

Zdaniem serwisu niemożliwe jest całkowite wyeliminowanie sztucznej muzyki. Piosenki zasilające Spotify dostarczają tam wytwórnie i dystrybutorzy, którzy potwierdzają posiadanie do utworów odpowiednich praw. A to oznacza, że katalog platformy streamingowej może również obejmować utwory stworzone z wykorzystaniem AI.

– Wspieramy branżowy standard DDEX (organizacji Digital Data Exchange – red.), który ujawnia, w jakim zakresie sztuczna inteligencja była wykorzystywana przy tworzeniu utworu, np. w wokalu, instrumentach czy postprodukcji, zamiast prostego podziału na „AI" i „nie-AI" – tłumaczy Hołub. Spotify zobowiązuje się do usunięcia ze swojego serwisu muzyki, która imituje śpiew innego wykonawcy bez jego zgody, gdy głos zostanie sklonowany przy użyciu AI lub innej metody. Takie decyzje będą podejmowane po uzyskaniu zgłoszenia o wystąpieniu podobnego procederu. Alarmować mają sami artyści, ponieważ Spotify nie ma do tego narzędzi diagnostycznych.

Gdy emocje nie nadejdą

– Twórczość zawsze była sumą inspiracji, ale inspiracji przetworzonych przez własną wrażliwość, doświadczenie i indywidualny sposób opowiadania o świecie, a nie przez algorytm. Nie neguję wartości technologii jako narzędzia, ale samo wygenerowanie muzyki przez aplikację nie jest dla mnie tożsame z procesem twórczym. Tworzenie to podejmowanie decyzji, nadawanie znaczeń i odpowiedzialność za efekt końcowy, a tego, w moim odczuciu, nie da się sprowadzić wyłącznie do działania algorytmu – twierdzi Leski.

– Jeśli ktoś tworzy kompozycje za pomocą algorytmów, dla mnie nie jest twórcą. Taka droga na skróty pomoże wielu niemuzykom stać się pseudoproducentami – uważa Jusiński.

O swoją przyszłość spokojny jest Stroiński. Jego działki (muzyka filmowa) sztuczna inteligencja nie potrafi podporządkować algorytmom. – Na ten moment AI zagarnia obszar muzyki opartej bardziej na produkcji niż na kompozycji. Opanowała wszystko, co ze względu na prostotę ma dość szeroki odbiór. Słyszałem imponujące kreacje AI w domenie muzyki pop, rock i tym podobnych, natomiast jeszcze nic przekonującego, jeśli chodzi o jazz i klasykę. Być może ludzie stojący za generatywnymi platformami nie mają wystarczającej motywacji, aby brać się za te gatunki, bo nie kojarzą się one z równie szerokim odbiorem co pop i rock, a co za tym idzie, z zarobkiem – przypuszcza Stroiński. Wniosek: jeśli nie wiadomo, o co chodzi w sztucznie tworzonej muzyce, chodzi o to, co zwykle – o pieniądze. ©℗

Twórcy niechętnie przyznają się do korzystania z zewnętrznej inteligencji w obawie przed oskarżeniami o muzyczne oszustwo. Dwa lata temu pod ostrzałem miażdżącej krytyki znalazł się k-popowy boysband Seventeen. Gdy jego członkowie przyznali się dziennikarzom, że chcą się rozwijać razem z technologią, a nie na nią narzekać

eprasa.pl c554e197b0

Historia

Dość umierania za cara

Jedynym atutem armii imperium Romanowów były olbrzymie zasoby żołnierzy. Entuzjazmu do prowadzenia wojny wystarczyło im tylko na kilka miesięcy

Andrzej
Krajewski

Zaraz po klęsce pod Tannenbergiem w 1914 r. car Mikołaj II zapisał w dzienniku: „Dostałem dziś złą wiadomość, że Niemcy – dysponując przewagą sił – zaatakowali nasze 13. i 15. korpusy i ciężkim ogniem artyleryjskim niemal doszczętnie je zniszczyli, zginął generał Samsonow". Ów lakoniczny zapisek sugeruje, że przez głowę monarchy nawet nie przeszła myśl, że Rosja utraciła niepowtarzalną okazję do wygrania wojny. Gdyby zmarły śmiercią samobójczą gen. Aleksander Samsonow zwyciężył, droga na Berlin stałaby przed wojskami imperium otworem. W połowie września 1914 r. przytłaczająca większość sił niemieckich toczyła bowiem walki o Paryż.

Przegrana Moskwy pod Tannenbergiem oznaczała, że losy wojny rozstrzygnie nie błyskawiczna ofensywa, lecz logistyka i zdolność do uzupełniania strat. Podobnie było podczas wojny krymskiej i rosyjsko-japońskiej. Ale Mikołaj II tych zależności nie dostrzegał. W kolejnych zapiskach pocieszał się, że gen. Piotr Wrangel gromił siły austro-węgierskie w Galicji. 21 sierpnia (4 września w kalendarzu gregoriańskim) odnotował: „W ciągu dnia dostałem najpiękniejszą wiadomość Lwów i Halicz zdobyte! Bogu niech będą dzięki!". Takie same nastroje miały panować wśród poddanych. „Społeczeństwo rosyjskie ogarnia kolejna fala patriotyzmu. Przeprowadza się akcje pomocy, zbiera dary, rozpisuje się pożyczki wojenne, zwiększa się produkcję – wszystko na potrzeby frontu, w głębi kraju bowiem panuje gotowość ponoszenia największych ofiar" – pisze w książce „Mikołaj II. Życie i upadek ostatniego cara Rosji" Elisabeth Heresch. W Moskwie na wieść o sukcesie gen. Wrangla wznoszono na ulicach euforyczny okrzyk „Lwów wrócił do Słowian!". W tym czasie Niemcy zakończyli powszechną mobilizację i przerzucili z Francji na wschód dwa korpusy armijne. Generał Helmuth von Moltke (młodszy) zapłacił za tę decyzję załamaniem się ofensywy na Paryż i utratą stanowiska szefa sztabu generalnego. Ale Rosja dzięki niej miała okazję zetknąć się z nowoczesną wojną.

Bez broni i motywacji

„Niemiecka dywizja piechoty posiadała 72 działa polowe (77 mm) oraz 8 ciężkich haubic (105 mm)" – wylicza w artykule „Potencjał militarny Rosji przed pierwszą wojną światową i podczas wojny w konfrontacji z rzeczywistością" Władysław Bortnowski. „Artyleria dywizji rosyjskiej składała się z 54 dział polowych (76,2 mm), a jednostki dział ciężkich znajdowały się tylko w dyspozycji dowódcy armii. W chwili wybuchu wojny było w Rosji wszystkiego 791 dział i haubic ciężkich" – dodaje. Niekorzystnie przedstawiały się też zasoby ciężkich karabinów maszynowych (CKM), które były najskuteczniejszą bronią przeciwko piechocie i kawalerii. „Jednostki niemieckie w walkach 1914 r. z oddziałami rosyjskimi miały z reguły przewagę w CKM 2:1" – wylicza Bortnowski. Najgorzej wypadało porównanie wyposażenia żołnierzy, zwłaszcza w broń strzelecką. Z rosyjskich magazynów udało się wydobyć nieco ponad 4,6 mln sztuk. Pod broń powołano przy tym 5,4 mln ludzi. Dowódcy stosowali więc prostą taktykę: atak poprzedzano krótkim przygotowaniem artyleryjskim albo rezygnowano ze strzelania z dział i od razu posyłano do boju fale piechoty. Zadaniem tej ostatniej było starcie z wrogiem na bagnety. Piechota musiała „jedynie" dobiec do pozycji wroga pod huraganowym ogniem artylerii i CKM-ów.

Stojący na czele koalicji liberalnych deputowanych do Dumy Andriej Szyngariow 18 sierpnia 1915 r. alarmował, że każdego miesiąca na froncie ginie od 300 tys. do 400 tys. żołnierzy. Kilkadziesiąt tysięcy trafiało do niewoli lub dezerterowało. „W przypadku piechoty, gdzie zjawisko to występowało najczęściej, poza pojedynczymi przypadkami oraz dezercjami małych grupek żołnierzy niekiedy dezerterowały nawet całe pododdziały, jak choćby plutony czy nawet kompanie" – pisze w artykule „Dezerterzy czy jeńcy? Przyczynek do dyskusji o stratach osobowych armii rosyjskiej podczas I wojny światowej" Aleksander Smoliński. Wedle jego wyliczeń w rosyjskich oddziałach piechoty na trzech poległych przypadał jeden dezerter.

Przedstawiciele około 100 narodów podbitych przez imperium Romanowów nie mieli ochoty umierać za cara. „Według ocen historyków rosyjskich, głównie emigracyjnych, podczas tego konfliktu najlepiej walczyły narodowości określane przez nich jako «rosyjskie». Na pierwszym miejscu wymieniają oni Kozaków, następnie «Mołorosjan», czyli Ukraińców, a dopiero potem właściwych Rosjan, nazywanych przez nich «Wielkorusami». Najgorzej zaś oceniani są Białorusini" – zauważa Smoliński. „W przypadku tej narodowości wartość bojową pochodzących z niej żołnierzy armii carskiej obniżał ponoć spory odsetek Polaków oraz Żydów, zamieszkujących gubernie o białoruskiej większości" – dodaje. Im bardziej naród czuł się uciskany, tym częściej jego przedstawiciele oddawali się do niewoli lub próbowali uciec na stronę wroga.

Zaskoczeni własną słabością

„Już na jesieni 1914 r. można było obserwować aktywizację partii kadetów (Partii Konstytucyjno-Demokratycznej – red.). We wrześniu odbyli oni w Moskwie wiele narad. Spotkania odbywały się głównie w prywatnych mieszkaniach i w siedzibie redakcji «Russkich Wiedomostiej». W dyskusjach wypowiadano wiele krytycznych uwag pod adresem dowódców, złego zaopatrzenia armii, nieporadności w przeprowadzaniu ewakuacji itp." – pisze Władysław Bortnowski.

Car, jego stryjeczny wuj i naczelny wódz Mikołaj Mikołajewicz Romanow oraz generałowie ze Stawki (naczelnego dowództwa) żyli w przekonaniu, że wojna zakończy się w sześć–osiem miesięcy. Jednak fatalny stan zaopatrzenia armii, zwłaszcza w broń, stawał się coraz trudniejszy do ignorowania. „Brakuje nam znowu pocisków. Dlatego w czasie walk wojska nasze muszą je oszczędzać, a to oznacza, że w boju cały ciężar spada na piechotę; wskutek tego straty są kolosalne" – pisał car do swojej żony Aleksandry Fiodorowny w listopadzie 1914 r. „Uzupełnienia nadchodzą, ale połowa przybywających na front żołnierzy nie ma karabinów" – dodawał.

Na szczęście dla Rosji armia Austro-Węgier była fatalnie dowodzona, a jej żołnierze nie palili się do walki. Z kolei Niemcy musieli skoncentrować siły, by przejąć inicjatywę na froncie wschodnim. Nastąpiło to po starannych przygo-

eprasa.pl c554e197b0

FOT. BRIDGEMAN IMAGES/EAST NEWS

Car Mikołaj II z synem Aleksym na przeglądzie pułku gwardii. 1916 r.

towaniach na początku maja 1915 r. Następca gen. von Moltkego na stanowisku szefa sztabu generalnego gen. Erich von Falkenhayn zaplanował wspólną z siłami austro-węgierskimi ofensywę w okolicach Gorlic. Aby przełamać front, skoncentrował tam osiem niemieckich dywizji, czyli ok. 130 tys. żołnierzy, dyskretnie przerzuconych z Francji. Tej nowo utworzonej II. Armii gen. Augusta von Mackensena przydzielił ponad 600 dział, w tym 158 ciężkich. „Na trzydziestopięciokilometrowym odcinku (przeciwko 3. Armii rosyjskiej) stosunek sił na korzyść Niemiec i Austriaków w kwietniu 1915 r. przedstawiał się: 2:1 w sile żywej, 3:1 w CKM, 4,5:1 w artylerii polowej i 40:1 w artylerii ciężkiej" – wylicza Bortnowski.

Przed atakiem niemieckie działa prowadziły ostrzał przez cztery godziny. 2 maja 1915 r. rosyjskie wojska po raz pierwszy zderzyły się z takim natężeniem ognia artyleryjskiego i koncentracją sił, jakie były codziennością na froncie zachodnim. „Pociski dosięgały okopów rosyjskich, schronów, gniazd karabinów maszynowych i rozrywały ułożone na przedpolu zasieki. Równocześnie rozpoczął się atak lotniczy, podczas którego samoloty austro-węgierskie zrzucały bomby na mosty, węzły kolejowe i kolumny rosyjskie" – relacjonuje w artykule „Przełamanie Gorlickie (2–6 maja 1915 roku)" Jarosław Rubacha.

Już pierwszego dnia ofensywy przerwano linie umocnień i wojska gen. von Mackensena wbiły się klinem na głębokość 10 km. Rosjanie musieli rozpocząć odwrót, by ratować się przed całkowitym zniszczeniem. „Nie zdołano ewakuować wielu składów amunicji i żywności, a w ciągu pierwszych dni ofensywy straty armii Radko Dymitriewa, który ostatecznie został pozbawiony dowództwa, wyniosły 140 tys. jeńców, 100 dział i 300 karabinów maszynowych. W rezultacie klęski nie zdołano utrzymać nawet linii Sanu ani też zdobytego z wielkim trudem Przemyśla, który 3 czerwca wpadł w ręce wojsk państw centralnych" – relacjonuje Rubacha. „21 czerwca oddziały austro-węgierskie gen. Böhm Ermollego wkroczyły do Lwowa. Drugie po Tannenbergu starcie ze wspieranymi przez sojusznika siłami niemieckimi przyniosło armii imperium kolejną klęskę. Przed przegraniem wojny ocaliła je strategia gen. Ericha von Falkenhayna, który uparł się, że II Rzesza musi wykrwawić Francję i Wielką Brytanię, dlatego skoncentrował główne siły na froncie zachodnim. W ten sposób uwikłał je w mordercze zmagania o każdy kilometr francuskiej ziemi".

Na łasce cara i jego żony

„Latem 1915 r. połowa czynnej armii jest zniszczona. 1,4 mln żołnierzy padło lub zostało rannych, 976 tys. zaś trafiło do niewoli. Potężna artyleria niemiecka po prostu starła z powierzchni ziemi całe odcinki rosyjskiego frontu. Rosjanie walczą już niemal wyłącznie, posługując się bagnetami" – pisze Elisabeth Heresch. Mikołaja II szczególnie zabolała wiadomość o wkroczeniu Niemców do Warszawy. „Car był biały jak kreda i dłonie mu drżały, gdy przyniósł depeszę carycy" – zapisała we wspomnieniach Anna Wyrubowa, przyjaciółka Aleksandry Fiodorowny. „Był złamany bólem i poniżeniem «Tak dalej być nie może», powiedział zrozpaczony" – odnotowała.

Przerażony wizją przegrania kolejnej wojny Mikołaj II wysłał list do swego wuja Mikołaja Mikołajewicza. „Na początku wojny względy polityczne przeszkodziły mi stanąć samemu na czele mojej armii, co stało się wbrew mej woli. Dlatego Panu powierzyłem najwyższe dowództwo całej rosyjskiej armii i morskich sił zbrojnych" – oświadczył car. Po tym nastąpiła długa litania pochwał dla wuja, za to jak sprawował funkcję naczelnego wodza. Ale jak zauważył car: „Teraz, gdy wróg wdarł się daleko w głąb kraju, moim wyznaczonym mi przez Boga wobec Ojczyzny obowiązkiem jest, abym to ja wziął na siebie dowództwo sił zbrojnych". Mikołaja Mikołajewicza mianował głównodowodzącym armii walczącej z Turkami na Kaukazie. Nie był on wodzem wybitnym, ale kompetentnym i cieszącym się autorytetem wśród generałów i żołnierzy. Za to car nie znał się na planowaniu operacyjnym, dowodzeniu ani zarządzaniu codzienną pracą Stawki. Co gorsza, nie potrafił też wyciągać wniosków z porażek. Wszyscy dostrzegli te słabości i po cichu władcą gardzili, ale nadal słuchali jego poleceń.

W krótkim czasie Mikołaj II mianował i odwołał czterech premierów. Podobnie rzecz się miała z ministrami kluczowych resortów. Miesiącami trwała karuzela stanowisk. Monarcha, chcąc bezpośrednio dowodzić armią, rezydował w siedzibie Stawki w Mohylewie. W jego imieniu działania rządu w Petersburgu nadzorowała najbardziej zaufana osoba, czyli Aleksandra Fiodorowna, którą omotał Grigorij Rasputin. Elisabeth Heresch podkreśla, że cieszył się on „w oczach carycy tak wielkim autorytetem, że temu – jak go nazywała – «zesłanemu przez Boga» cudotwórcy przedstawiała również – oczywiście bez wiedzy Mikołaja – drażliwe sprawy polityczne, szukając rady i błogosławieństwa". Samozwańczy prorok zaczął zza kulis wpływać na karuzelę stanowisk, podpowiadając Aleksandrze Fiodorownie, kogo ma carowi polecić, a komu złamać karierę. „Rasputin niczym dziecko upajał się władzą" – zauważa Heresch. Dla armii miało to dramatyczne skutki. Kluczowe decyzje dotyczące działań militarnych podejmował niekompetentny i intelektualnie ograniczony car. O obsadzie stanowisk w rządzie decydowała jeszcze głupsza od małżonka caryca, sterowana na co dzień przez mistyka, który twierdził, że rozmawia z Bogiem.

Bez nadziei na zwycięstwo

Gdy chaos rozlewał się na całą administrację imperium, armię dotykał bezwład. Szef sztabu de facto kierujący Stawką gen. Michaił Aleksiejew starał się temu przeciwdziałać. Na przeszkodzie stawała jednak jeszcze jedna wielka słabość sił zbrojnych: jakość kadry oficerskiej. „Generałowie rosyjscy często nie mieli koniecznego wyszkolenia operacyjnego. Większość z nich zawdzięczała karierę protekcji kół dworskich. W trakcie wojny wielu dowódców armii i frontów, po doświadczeniach 1914 r., będzie ograniczać się do walk obronnych i eksponowania przeszkód rzeczywistych i urojonych, gdy chodziło o działania ofensywne" – wyjaśnia Bortnowski.

Gdy funkcję wodza naczelnego sprawowała niekompetentna osoba, a aparat państwa ulegał autodestrukcji, sytuację uratować mogli już tylko dowódcy frontowi. Ale ci bali się podejmować samodzielnych decyzji jak ognia. Unikali też ryzyka. Gdy jedna armia rozpoczynała działania zaczepne, dowódcy innych zgrupowań czekali, co z tego wyniknie.

Pomimo kumulacji słabości pod koniec 1915 r. rosyjski front się trzymał – głównie dzięki dwóm czynnikom. Generał von Falkenhayn skoncentrował niemieckie siły, by wykrwawić francuskie wojska w morderczej bitwie o Verdun. Ich napór na froncie wschodnim zamarł. A kunktatorscy dowódcy armii carskiej nie wzbraniali się przed szafowaniem życiem swoich żołnierzy. Rosja, licząca dwa razy więcej mieszkańców od Niemiec, mogła zmobilizować zasoby ludzkie, o jakich ich wróg mógł tylko pomarzyć. Na front skierowano ponad 12 mln żołnierzy. Do października 1917 r. 1,7 mln zginęło, 3,8 mln odniosło rany, a 2,3 mln zaginęło. Ale front się nie załamywał.

W końcu obróciło się to przeciwko carowi i rządzącym elitom. Frontową rzeź zaczęli wykorzystywać snujący plany przejęcia władzy rewolucjoniści. Mimo że ludzkie życie warte było dla nich tyle samo co dla Mikołaja II i jego dowódców. „W jednej tylko dziedzinie generałowie rosyjscy potrafili wykazać nie lada rozmach, a mianowicie gdy chodziło o wyciąganie z kraju mięsa ludzkiego. Z wołowiną i wieprzowiną obchodzono się daleko oszczędniej" – pisał w „Historii rewolucji rosyjskiej" Lew Trocki. Jak sam przyznawał, bolszewicy z uwagą śledzili każdy przejaw buntu i rozprężenia w siłach zbrojnych. „Piotrogrodzki gubernialny zarząd żandarmerii raportuje w październiku 1916-go roku (...) że w armii panuje niepokój, stosunki pomiędzy oficerami a żołnierzami są bardzo naprężone, zachodzą nawet wypadki krwawych scysji, tysiące dezerterów wałęsają się wszędzie" – odnotował Trocki.

W sierpniu 1916 r. szefem niemieckiego sztabu generalnego został zwycięzca spod Tannenbergu feldmarszałek Paul von Hindenburg, który trafnie zdiagnozował imperium Romanowów jako najsłabsze ogniwo Ententy. Jego szybki upadek stał się dla Niemiec ostatnią szansą na wygranie wojny światowej. Berlin musiał jeszcze raz zdecydowanie uderzyć i wesprzeć takich ludzi jak Trocki czy Lenin. Okazywało się, że to jest nie takie trudne. W 1917 r. rosyjscy żołnierze nie chcieli już dłużej walczyć za cara. Marzyli tylko o pokoju i powrocie do domu. ©℗

Więcej tekstów tego autora
Skanuj kod!
DGP.pl

eprasa.pl c554e197b0

KOMUNIKATY

WOJEWODA MAZOWIECKI

Warszawa, 21 maja 2026 r.
SPN-IV.752.58.2022.MG

Obwieszczenie o wydaniu przez Wojewodę Mazowieckiego decyzji Nr 1764/2026 z dnia 21.05.2026 r. dotyczącej gruntu położonego w powiecie radomskim, gminie Jastrzębia, obręb Owadów, oznaczonego w ewidencji gruntów i budynków jako działka nr 375/1 o powierzchni 0,0700 ha

Informuję, że Wojewoda Mazowiecki na podstawie art. 37a ust. 4 ustawy z dnia 8 września 2000 r. o komercjalizacji i restrukturyzacji przedsiębiorstwa państwowego „Polskie Koleje Państwowe" (Dz. U. 2024 r. poz. 561 tj.) wydał decyzję Nr 1764/2026 z dnia 21.05.2026 r. potwierdzającą:

I. Nabycie przez Skarb Państwa z mocy prawa z dniem 1 czerwca 2003 r. prawa własności gruntu zajętego pod część linii kolejowej Nr 8 Warszawa Zachodnia – Kraków Główny Osobowy, położonego w powiecie radomskim, w obrębie Owadów, gmina Jastrzębia, stanowiącego działkę ewidencyjną nr 375/1 o powierzchni 0,0700 ha.

II. Nabycie z mocy prawa z dniem 1 czerwca 2003 r. przez PKP S.A. prawa użytkowania wieczystego gruntu opisanego w punkcie I decyzji.

III. Nabycie przez PKP S.A. z mocy prawa z dniem 1 czerwca 2003 r. prawa własności budowli i urządzeń znajdujących się na gruncie opisanym w punkcie I decyzji.

Z aktami sprawy można zapoznać się w Wydziale Skarbu Państwa i Nieruchomości Mazowieckiego Urzędu Wojewódzkiego w Warszawie, pl. Bankowy 3/5, 00-950 Warszawa (wejście F), pokój nr 906, tel. (22) 695-69-72, udzielanie informacji w godz. 13.30 – 15.30.

Sprawa jest prowadzona pod sygnaturą: SPN-IV.752.58.2022.MG

Rada Nadzorcza
Robotniczej Spółdzielni Mieszkaniowej „Ursus"
w Warszawie

ogłasza KONKURS na stanowisko

Członka Zarządu
ds. ekonomiczno - finansowych - Głównego Księgowego

I. Od kandydata wymagane jest:

1. wykształcenie wyższe ekonomiczne,
2. posiadanie co najmniej 10 letniego stażu pracy, w tym minimum 5 lat doświadczenia na stanowisku kierowniczym lub samodzielnym w dziale finansowo – księgowym;
3. bardzo dobra znajomość informatycznych systemów finansowo – księgowych, w tym stosowanych aktualnie w spółdzielniach mieszkaniowych systemów informatycznych;
4. udokumentowana umiejętność rozliczania i nadzorowania pod kątem finansowo – księgowym procesów inwestycyjnych w budownictwie mieszkaniowym;
5. posiadanie pełnej zdolności do czynności prawnych, niekaralność;
6. znajomość prawa spółdzielczego, ustawy o spółdzielniach mieszkaniowych, ustawy o rachunkowości oraz zasad funkcjonowania spółdzielni mieszkaniowych;
7. znajomość zasad nadzoru spółdzielczego, audytu i kontroli finansowej;
8. dobry stan zdrowia;
9. umiejętność kierowania zespołem pracowników.

II. Oferty osób przystępujących do konkursu powinny zawierać:

1. cv wraz ze zdjęciem i danymi kontaktowymi, list motywacyjny;
2. kopie dyplomu ukończenia studiów wyższych oraz posiadanych uprawnień;
3. dokumenty potwierdzające wymagany staż pracy;
4. opinie i referencje z poprzednich miejsc pracy;
5. koncepcję zarządzania pionem finansowo – księgowym Robotniczej Spółdzielni Mieszkaniowej „Ursus" w Warszawie z uwzględnieniem prowadzenia i rozliczania inwestycji w sektorze mieszkaniowym;
6. oświadczenia:
   - oświadczenie w sprawie zgody na przetwarzanie danych osobowych i wizerunku kandydata dla potrzeb rekrutacji,
   - oświadczenie o stanie zdrowia pozwalającym na wykonywanie pracy na stanowisku określonym w ogłoszeniu o konkursie,
   - oświadczenie o posiadaniu pełnej zdolności do czynności prawnych i korzystaniu z pełni praw publicznych,
   - oświadczenie o nieprowadzeniu działalności konkurencyjnej,
   - oświadczenie o nieznajdowaniu się w sytuacji konfliktu interesów, w tym o braku pokrewieństwa lub powinowactwa z członkami Rady Nadzorczej,
   - oświadczenie o zachowaniu w tajemnicy uzyskanych w toku postępowania konkursowego danych i informacji dotyczących Spółdzielni,

Osoby zainteresowane prosimy o składanie ofert zawierających ww. dokumenty **w terminie do 22.06.2026 r. do godz. 14^{00}** w zamkniętych kopertach z napisem *„Konkurs na członka Zarządu ds. ekonomiczno - finansowych – Głównego Księgowego"* w sekretariacie RSM „Ursus" przy ul. Sosnkowskiego 11 w Warszawie.

Regulamin konkursu na członków Zarządu Robotniczej Spółdzielni Mieszkaniowej „Ursus" w Warszawie dostępny jest na stronie internetowej Spółdzielni (w zakładce oferty pracy) wraz z ogłoszeniem o konkursie oraz w dziale administracyjno – organizacyjnym i samorządowym w biurze Spółdzielni przy ul Sosnkowskiego 11 w Warszawie.

Spółdzielnia nie zwraca przesłanych dokumentów oraz zastrzega sobie możliwość odpowiedzi tylko na wybrane oferty lub na unieważnienie konkursu bez podania przyczyn.

Nauka

Nie jesteśmy gotowi na kolejne pandemie

Przyroda pełna jest wirusów, które mogą zagrozić człowiekowi. Naukowcy biją na alarm, ale społeczeństwo zachowuje się, jakby nie było problemu

Z Aleksandrą Milewską

rozmawia Anna Piotrowska

Obawia się pani hantawirusów?

Generalnie nie powinniśmy ani lekceważyć wirusów, ani negować ich istnienia. Jeśli chodzi o hantawirusy, ludzie stosunkowo rzadko mają z nimi bezpośredni kontakt, dlatego ryzyko zakażenia dla większości społeczeństwa pozostaje niewielkie. Naturalnymi gospodarzami tych wirusów są przede wszystkim myszy, szczury oraz inne drobne gryzonie. Dopóki więc nie mamy bliskiej styczności z tymi zwierzętami lub ich wydzielinami, ryzyko zakażenia jest bardzo niskie.

Ale przecież w miastach szczury są wszechobecne. Sama niedawno widziałam ich sporą grupę buszującą w odpadkach.

Oczywiście, w przypadku większych skupisk tych zwierząt należy zachować szczególną ostrożność. Do zakażenia dochodzi jednak przede wszystkim poprzez kontakt z aerozolami zawierającymi wydzieliny gryzoni, takimi jak mocz, kał czy ślina. Osoby mające bezpośredni kontakt ze zwierzętami lub przebywające w miejscach ich bytowania powinny liczyć się z ryzykiem zakażenia różnymi patogenami, nie tylko hantawirusami.

Dlaczego coraz częściej atakują nas wirusy odzwierzęce?

W ciągu ostatniego wieku zaczęliśmy bardzo mocno ingerować w środowisko naturalne. Urbanizacja czy wycinka lasów zabierają dzikim zwierzętom ich naturalne siedliska, przez co coraz częściej dochodzi do kontaktu ludzi z dziką fauną. W dużej mierze sami stwarzamy warunki sprzyjające pojawianiu się nowych zagrożeń epidemiologicznych. Koronawirusy, w tym także SARS-CoV-2, nie pojawiły się znikąd. To, że wiele nowych chorobotwórczych wirusów wykrywanych jest właśnie w Chinach, również nie jest przypadkiem. W niektórych regionach tego kraju dzikie zwierzęta, takie jak nietoperze czy inne ssaki, są odławiane i sprzedawane – często żywe – na targach. Tego typu bliski kontakt ludzi z dzikimi zwierzętami stwarza idealne warunki do przenoszenia wirusów między gatunkami.

Historia człowieka to zasadniczo dzieje zmagań z epidemiami spowodowanymi wirusami odzwierzęcymi. Wiele wskazuje, że ospa prawdziwa przeskoczyła z bydła na człowieka. Takich chorób nie da się uniknąć, bo wciąż mamy kontakt ze zwierzętami?

Oczywiście, że się nie da, zwłaszcza że patogenów jest przeogromna różnorodność w przyrodzie. Świetnie sobie radzą – mutują, żeby przetrwać i przystosować się do zmian środowiska, bo tak działa ewolucja. Trzeba sobie zdać sprawę, że to sytuacja bez wyjścia.

Którego z wirusów należy się teraz obawiać najbardziej?

Warte monitorowania są koronawirusy, bo mniej więcej co 10 lat mamy do czynienia z sytuacją zoonozy przedstawiciela tego gatunku. To znaczy, że co około dekadę pojawia się w populacji ludzkiej nowy koronawirus zdolny do wywołania mniej lub

eprasa.pl c554e197b0

bardziej poważnej choroby wśród ludzi. Wybuch pandemii COVID-19 to rok 2019, więc do kolejnej zostało nam jeszcze około trzech lat.

Inne patogeny?

Wirusy grypy. Nawet sezonowe są niebezpieczne – szczególnie pod kątem powikłań, które zabijają ogromną liczbę osób, z czego mało kto zdaje sobie sprawę. W tym przypadku mamy na szczęście skuteczne szczepionki. Jednak w obliczu wirusów grypy, które krążą wśród zwierząt, jesteśmy bezsilni. Ptasia grypa, która od kilku lat bardzo dobrze przenosi się między dzikim ptactwem na całym świecie, jest szczególnie niebezpieczna. Zwłaszcza że już przeskakuje między gatunkami. Obecnie dominujący wariant ptasiej grypy H5N1 rozprzestrzenił się prawie na całym świecie, zbierając żniwo wśród ssaków morskich, takich jak lwy i słonie morskie, uchatki czy delfiny. W ubiegłym roku internet obiegły zdjęcia martwych zwierząt na plażach m.in. w Peru, Chile, Kalifornii, Argentynie, Brazylii oraz Urugwaju. Z kolei u nas, w Europie, wirus ten rozprzestrzenił się także wśród farm zwierząt futerkowych, m.in. wśród lisów, fretek i jenotów.

To prawda, że hiszpanka, która w latach 1918–1920 zabiła ok. 50 mln ludzi, była właśnie grypą pochodzącą od ptaków?

Tak, pandemia hiszpanki została wywołana przez wyjątkowo zjadliwy podtyp H1N1, pochodzący od ptaków, który zmutował i zyskał zdolność do bardzo efektywnego zakażania ludzi, a co gorsza – wyjątkowego potencjału transmisji pomiędzy ludźmi. Warto zaznaczyć, że aby to przeskoczenie z organizmu zwierzęcego na człowieka miało miejsce, wirus musi się zaadaptować, zmienić, aby nasz organizm zakazić, i wywołać chorobę. W przypadku ptasiej grypy, która krąży obecnie, taka zmiana już się dokonała – wirus ten jest w stanie zakazić komórki ludzkie, ale szczęśliwie – jeszcze – transmisja z ptaków czy ssaków na nas jest mało efektywna. Odnotowano natomiast pojedyncze przypadki zakażeń obecnym typem H5N1 wśród ludzi. Chodzi tu głównie o osoby prowadzące farmy drobiu oraz mające bezpośredni kontakt z kaczkami, gęsiami i kurami, które z kolei stykają się z dzikim ptactwem.

Czy w Polsce też zaobserwowano międzygatunkowy przeskok H5N1?

Tak. Zbadaliśmy to w kontekście wystąpienia zakażeń ptasiej grypy u kotów. Trzy lata temu pojawiły się doniesienia o ciężkiej chorobie tych zwierząt w różnych regionach Polski. Miały objawy neurologiczne, sztywność kończyn, były osłabione. Weterynarze byli poważnie zaniepokojeni i nie wiedzieli, z jaką chorobą mają do czynienia. A ponieważ w naszej grupie badawczej jest spora liczba miłośników kotów, postanowiliśmy się włączyć. Pozyskane próbki wykazały dodatnie wyniki na wirusa ptasiej grypy. Okazało się, że bezpośrednim źródłem zakażenia było mięso drobiowe. Było sprzedawane normalnie do konsumpcji, ale nie mieliśmy możliwości zweryfikowania, gdzie dokładnie.

Dlaczego wirus ptasiej grypy nie przeniósł się wtedy na człowieka? Przecież koty jadły to samo mięso co ludzie.

Wirus znajdował się w surowym mięsie, a takim żywiły się koty. Obróbka cieplna skutecznie inaktywuje patogeny, dlatego mięso drobiowe spożywane przez ludzi – zazwyczaj smażone, pieczone lub gotowane – nie stanowiło drogi zakażenia. Ryzyko transmisji wirusa ptasiej grypy z kota na człowieka istnieje, ponieważ bariera gatunkowa nie jest absolutna, jednak pozostaje ono bardzo niskie. Wirus lokalizuje się głównie w dolnych drogach oddechowych zwierzęcia, dlatego do jego przeniesienia musiałoby dojść w sytuacji ciężkiego przebiegu infekcji, z nasilonymi objawami ze strony układu oddechowego i znacznym wydalaniem patogenu.

Wirusy ptasiej grypy krążą po Europie. W Afryce zaś są inne choroby odzwierzęce – teraz mamy epidemię wirusa Ebola w Demokratycznej Republice Konga.

Problem jest bardzo poważny, ale ma charakter głównie lokalny. U chorych szybko pojawiają się objawy, a ich skuteczna izolacja znacząco ogranicza transmisję eboli. W przeciwieństwie do sytuacji obserwowanej w przypadku SARS-CoV-2 nie dochodzi do szerokiego rozprzestrzeniania się przez osoby bezobjawowe podróżujące między krajami. W zależności od wariantu śmiertelność zakażeń ebolą wynosi od ok. 30 do 90 proc. Dla porównania: wirus MERS-CoV, należący do rodziny koronawirusów i wykryty w 2012 r., charakteryzuje się śmiertelnością rzędu 30–50 proc. Z tego względu koronawirusy nadal należy traktować jako istotne potencjalne zagrożenie epidemiczne.

Afryka da sobie radę z wirusem Ebola?

Taką nadzieję dają oczywiście opracowane szczepionki – jest ich kilka, w tym jedna stworzona w 2016 r., która pozostaje w rezerwie na wypadek takich ognisk choroby, jak obecne. Niestety została ona zaprojektowana przeciwko innemu gatunkowi wirusa – Zaire ebolavirus, dlatego szanse na jej wysoką skuteczność wobec obecnie krążącego wariantu, Bundibugyo ebolavirus, są ograniczone. W tamtym regionie wirusy Ebola co pewien czas wywołują lokalne ogniska epidemiczne, dlatego służby sanitarne dysponują już określonymi procedurami reagowania. Trzeba jednak pamiętać, że działania te są prowadzone często w bardzo trudnych warunkach infrastrukturalnych i organizacyjnych.

SARS-CoV-2 ewoluował od formy bardzo zjadliwej ku mniej niebezpiecznej, bo w ten sposób mógł zakazić większą liczbę osób i powielić się w większej liczbie kopii. Czy ten proces może się powtórzyć w drugą stronę: od formy łagodnej do niebezpiecznej? Że będzie tak, jak w filmie „Epidemia"?

Obejrzałam go, kiedy miałam 10 lat i postanowiłam zostać wirusologiem... (śmiech) Taka sytuacja jest realna i – jako naukowcy – tego się najbardziej obawiamy. Możliwe, że pojawi się wirus, który podobnie jak SARS-CoV-2 będzie się skutecznie i szybko rozprzestrzeniał w populacji ludzkiej, ale jednocześnie będzie charakteryzował się wysoką śmiertelnością. Może to być nowy koronawirus, może to być wirus ptasiej grypy, jeśli ulegnie mutacjom umożliwiającym efektywniejszą transmisję między ludźmi. Wystarczyłoby, aby przesunął się z dolnych do górnych dróg oddechowych, co mogłoby znacznie zwiększyć jego zakaźność. W takim scenariuszu potencjalna śmiertelność mogłaby być zbliżona do obserwowanej w przypadku zakażeń wirusem Ebola.

Sugeruje pani, że gdybyśmy wykaszliwali wirusa ptasiej grypy, zabijałby równie skutecznie jak gorączka krwotoczna?

Mogłoby do tego dojść, ponieważ mamy do czynienia z patogenem, który jest dla ludzi praktycznie nowy. W takim scenariuszu moglibyśmy stanąć w obliczu pandemii równie śmiertelnej, jak hiszpanka. Obecnie nie ma jednak bezpośredniego zagrożenia, choć należy zachować czujność – stąd duża liczba laboratoriów na całym świecie badających wirusa ptasiej grypy. Nasi współpracownicy w Niemczech analizują również przypadki zakażeń wśród bydła w USA, ponieważ w ubiegłym roku potwierdzono, że wirus ptasiej grypy może się przenosić na krowy. Objawy dotyczą głównie wymion – zwierzęta przestają dawać mleko albo mleko zmienia swoje właściwości i wygląda na skwaśniałe. Wykazano również, że skażone mleko było spożywane przez przebywające na farmach koty, u których także zaczęły się pojawiać objawy choroby.

Człowiek mógłby się zakazić po zjedzeniu skażonej surowej wołowiny?

Tego nie wiemy, ale na szczęście Amerykanie jedzą głównie wysmażone steki. Trzeba jednak pamiętać, że jeżeli dotykamy surowego skażonego mięsa, np. przy krojeniu, a potem nie myjemy rąk albo oblizujemy palce, zyskujemy piękną drogę transmisji i bezpośrednią drogę zakażenia wirusem ptasiej grypy.

Czy leki przeciwwirusowe, którymi obecnie dysponujemy, są wystarczające?

Mamy skuteczne leki przeciw grypie w postaci inhibitorów, które potrafią hamować infekcję także w przypadku ptasiej grypy. Podobnie wygląda sytuacja w przypadku COVID-19. Problem polega jednak na tym, że wobec wielu innych koronawirusów nie dysponujemy żadnymi nowymi terapiami. Dlatego apelujemy do przemysłu farmaceutycznego, aby prace nad nowymi lekami i rozwiązaniami rozpoczęły się już teraz, a nie dopiero w momencie pojawienia się nowej pandemii. Część preparatów opracowanych podczas pandemii COVID-19 mogłaby potencjalnie działać również przeciwko nowym patogenom, ale w praktyce tego nie wiemy, ponieważ badania w tym kierunku często nie są kontynuowane. Podejście biznesowe bywa proste: skoro obecnie nie ma bezpośredniego zagrożenia, inwestycje w dalsze prace badawcze są ograniczane. Trudno przekonać duże firmy do wydawania miliardów na rozwiązania, które mogą zwrócić się dopiero za kilka lat. Prawda jest więc taka, że wobec większości infekcji wirusowych nadal nie mamy skutecznych terapii – i jako świat jesteśmy na wiele z nich nieprzygotowani. Podczas jednego z ostatnich spotkań z naszymi współpracownikami z całej Europy koledzy z Niemiec prezentowali wyniki badań nad wirusem Borna. To rzadko występujący patogen odzwierzęcy przenoszony przez małe, jakże urocze ryjówki. U ludzi może wywołać bardzo ciężkie zapalenie mózgu, a śmiertelność zakażeń przekracza 90 proc. Patogen został względnie niedawno zidentyfikowany u ludzi w Niemczech i występuje głównie tam, a także w Austrii i Liechtensteinie. Naukowcy czekają obecnie na odpowiedni model komórkowy, który pozwoli na bardziej zaawansowane badania – przy tak wysokiej śmiertelności to szczególnie istotne. Tym bardziej że wirus zakaża również konie i owce, co zwiększa możliwości kontaktu człowieka z patogenem.

Z tego, co pani mówi, wynika, że przyroda jest niewyczerpanym rezerwuarem groźnych, śmiertelnych chorób zdolnych zmieść ludzkość z powierzchni Ziemi.

Absolutnie tak. Chciałabym, żebyśmy zdali sobie z tego sprawę. Tak jak potrafimy się zainteresować nowym gatunkiem pszczół czy innymi zmianami zachodzącymi w przyrodzie, tak samo powinniśmy zwracać uwagę na pojawiające się nowe wirusy – nawet jeśli są niewidoczne i zwykle kojarzą się wyłącznie negatywnie. Nie możemy ich bagatelizować. Musimy być przygotowani na kolejne epidemie i pandemie, a wciąż nie jesteśmy gotowi w takim stopniu, w jakim powinniśmy. Brakuje zasobów, finansowania oraz odpowiedniego zaplecza, które pozwoliłoby skutecznie reagować i chronić nas wszystkich. Niepokoi mnie również to, że jako społeczeństwo często lekceważymy informacje o nowych zagrożeniach biologicznych. To naprawdę budzi mój niepokój – bardziej niż same wirusy. ©℗

FOT. MAT. PRASOWE

Aleksandra
Milewska
dr hab., wirusolog, grupa Virogenetics, Małopolskie Centrum Biotechnologii, Uniwersytet Jagielloński

eprasa.pl c554e197b0

FOT. WOJTEK GÓRSKI

Azer na pustym Baku

Rafał Woś

Czy można być całkiem sporym producentem ropy naftowej, nienajgorzej zarządzać jej wydobyciem i mimo to utknąć w pułapce średniego wzrostu? Przy okazji dając się przegonić w rozwoju sąsiadom mniej zamożnym w surowce? To właśnie przytrafiło się Azerbejdżanowi.

To 10-milionowy kraj na Kaukazie Południowym, wciśnięty między Rosję, Armenię, Gruzję, Iran i Morze Kaspijskie. Każdy Polak zna Cezarego Barykę, głównego bohatera „Przedwiośnia" Stefana Żeromskiego. Baryka młodość spędził właśnie w Baku, gdzie już wtedy – na przełomie XIX i XX w. – wydobywano ropę na skalę przemysłową. Azerbejdżan do dziś stoi na ropie, produkując 0,5–0,7 mln baryłek surowca dziennie. To mniej więcej taki poziom, jaki mają mniejsi średniacy naftowego klubu – Wielka Brytania, Indonezja albo Ekwador.

Po rozpadzie ZSRR Azerowie uczynili z branży naftowej silnik gospodarki. Zrobili to wedle modeli funkcjonujących w wielu innych krajach roponośnych – w połowie lat 90. doszło do podpisania ramowego układu o eksploatacji ropy przez inwestorów zagranicznych. Układ przedłużono w 2017 r. na kolejne 30 lat. Zyskami z tego przedsięwzięcia zarządza państwowy fundusz rentierski SOFAZ, powołany w 1999 r. W ciągu pierwszego ćwierćwiecza istnienia przekazał on do azerskiego budżetu ponad 100 mld dol. zysku. Mniej więcej drugie tyle jest stale inwestowane przez fundusz, przynosząc w ciągu minionych 25 lat ok. 2,5 proc. średniego rocznego zysku.

Jak to się przekłada na azerską gospodarkę? Przez pierwszą dekadę niepodległości kraj znajdował się w głębokim kryzysie związanym z odłączeniem od radzieckiego obszaru gospodarczego. Toczył także wojnę z sąsiednią Armenią. Druga połowa lat 90. to czas wielkiego napływu inwestycji zagranicznych, które w sumie stanowiły wówczas 25 proc. azerskiego PKB.

Zainicjowane wówczas trendy odpaliły po 2000 r., dając 15 lat wielkiego wzrostu napędzanego zyskami z ropy (i częściowo z gazu, który wydobyciu ropy towarzyszy). W latach 2000–2005 azerska gospodarka rosła w tempie 12 proc. rocznie, a między 2006 a 2015 było to prawie 10 proc. rocznie. PKB per capita urosło z 800 dol. (1996 r.) do 6 tys. dol. (dwie dekady później).

I wtedy nagle coś pękło. Średnia wzrostu Azerbejdżanu w latach 2016–2025 to ledwo marniutki 1 proc. Co ciekawe, Baku zaczęli uciekać najbliżsi sąsiedzi – Gruzja i Armenia, które nie posiadają tak znaczących złóż ropy. Na przykład w 2010 r. PKB per capita Azerbejdżanu wynosiło, dla przypomnienia, niemal 6 tys. dol., a Gruzji jedynie 3,2 tys. dol., Armenii zaś – 3 tys. dol. Półtorej dekady później Gruzja i Armenia już w tej konkurencji Azerbejdżan wyprzedziły.

Co się wydarzyło? To pytanie, na które spodziewałem się znaleźć odpowiedź w dobrze zapowiadającej się analizie Gubada Ibadoghlu z LSE. Spodziewałem się, ale nie znalazłem. Ekonomista przyłożył do Azerbejdżanu wszystkie stosowane w tego typu porównaniach miary. Sprawdził, czy to może z tego powodu, że Azerbejdżan jest trapiony problemami z brakiem demokracji i rządami prawa. I może by się to nawet broniło, bo w różnych rankingach demokracji Azerbejdżan wypada gorzej niż Gruzja albo Armenia – te ostatnie klasyfikowane są zwykle jako „kulejące demokracje", zaś Azerbejdżan określa się jako „lekka autokracja". Problem tylko w tym, że taki z kolei niezbyt odległy Kazachstan – podobny do Azerbejdżanu pod względem dostępu do bogactw naturalnych – jest w międzynarodowych porównaniach określany jako pełna dyktatura, a jednak pod względem PKB per capita dystansuje wszystkich wymienionych.

Inna hipoteza każe wierzyć, że Azerbejdżan nie dywersyfikował swojej gospodarki i oparł się na swojej ropie za bardzo. Problem w tym, że i sąsiedzi nie są gospodarczo jakoś szalenie różnorodni. Na dodatek powrót drogich surowców po wybuchu wojny Rosji z Ukrainą i teraz, w czasie wojny na Bliskim Wschodzie, powinien Azerów znów na ścieżkę wzrostu wprowadzić. A jednak tak się nie dzieje.

Piszę o tym także po to, by pokazać, jak bardzo bezradna staje się cała ta zachodnia aparatura do opisu globalnej gospodarki. Jeden – nie taki znów duży – Azerbejdżan, a ekonomia jest jak lekarz, który może tylko rozłożyć ręce i powiedzieć pacjentowi: „Idź pan w cholerę, bo ja nie wiem, co panu jest!". ©℗

Autor jest redaktorem naczelnym „Tygodnika Solidarność"

Mikroźródła inflacji

Podczas gdy wzrosty cen znowu trafiają na nagłówki gazet, naukowcy próbują znaleźć odpowiedź na pytanie: na ile pozostają one wynikiem zjawisk makroekonomicznych, a na ile zależą od sytuacji pojedynczych firm

Paweł Struski

Autor jest ekonomistą GRAPE

Wojna USA oraz Izraela z Iranem wywołała obawy ekonomistów o powrót podwyższonej inflacji, którą dopiero niedawno udało się ustabilizować. Podczas gdy wzrosty cen znowu trafiają na nagłówki gazet, naukowcy próbują znaleźć odpowiedź na pytanie: na ile pozostają one wynikiem zjawisk makroekonomicznych (takich jak polityka pieniężna czy ceny energii), a na ile zależą od sytuacji pojedynczych firm. Tradycyjnie ekonomiści skupiali się na zagadnieniach makro. Ale coraz więcej badań pokazuje, że rola czynników mikro może być znacznie większa niż dotąd sądzono.

Santiago Alvarez-Blaser (Bank Hiszpanii), Raphael Auer (Bank Rozrachunków Międzynarodowych), Sarah M. Lein (Uniwersytet w Bazylei) i Andrei A. Levchenko (Uniwersytet Michigan) przeanalizowali dane dotyczące zakupów dokonanych przez reprezentatywną grupę gospodarstw domowych w 16 krajach w latach 2008–2022. Łącznie było to niemal 2,9 mld indywidualnych transakcji.

Badacze skonstruowali model ekonometryczny, który pozwolił im rozróżnić wpływ czynników makro od czynników mikro na inflację. Punktem wyjścia jest obserwacja: jest ona mierzona jako uśredniona zmiana cen wszystkich produktów w sklepach, gdzie każdy towar liczy się tym bardziej, im więcej ludzie na niego wydają. Mając dane o cenie pojedynczego produktu, autorzy mogli rozłożyć tę średnią na czynniki pierwsze. Każdą zmianę ceny przypisali do trzech źródeł: wspólnego czynnika makro, który w danym momencie dotyka wszystkich (takiego jak polityka pieniężna czy kurs walutowy); czynnika związanego z konkretną firmą, która produkuje dany towar; oraz czynnika związanego z całą kategorią produktów (takiego jak np. nabiał czy paliwo). Jeśli ceny produktów dużej firmy rosną szybciej niż średnia w gospodarce, podbija to inflację w sposób, którego sama polityka pieniężna nie tłumaczy. Taki właśnie nadmiar autorzy nazywają wpływem czynników mikro.

W krajach rozwiniętych same czynniki firmowe odpowiadały aż za 41 proc. zmienności inflacji, a po doliczeniu czynników związanych z kategoriami produktów – za ponad połowę. Co ciekawe, w gospodarkach rozwijających się, które częściej cierpią z powodu nadmiernego wzrostu cen, czynniki mikro miały znacznie mniejsze znaczenie – odpowiadały tam za ok. 20 proc. zmienności, a o reszcie decydowały szoki makroekonomiczne.

Znaczenie czynników mikro zależało także od struktury rynku. Tam, gdzie jest on skoncentrowany i zdominowany przez niewielką liczbę dużych producentów, wpływ decyzji pojedynczych firm na inflację jest większy. Nie jest to aż tak zaskakujące. Firmy o silnej pozycji rynkowej łatwiej przerzucają wzrost kosztów na konsumentów. A gdy konkurencja jest silniejsza, muszą szukać innych rozwiązań, a przynajmniej często ograniczają wzrost cen, by nie stracić nabywców.

Badacze przyjrzeli się też okresowi gwałtownego wzrostu inflacji po pandemii koronawirusa. Z ich szacunków wynika, że prawie jedną trzecią tego wzrostu można przypisać czynnikom mikroekonomicznym. Jednym z możliwych wyjaśnień jest to, że duże firmy, które zazwyczaj więcej importują, były bardziej narażone na zakłócenia w globalnych łańcuchach dostaw.

Z badania płyną także ważne wnioski dla polityki pieniężnej. Autorzy pokazują, że im większa rola czynników mikro, tym wolniejszy i słabszy jest wpływ decyzji banku centralnego na inflację, co utrudnia tej instytucji wykonywanie jej podstawowego zadania, jakim jest utrzymanie stabilności cen. ©℗

Słuchaj także podcastu GRAPE|Tłoczone z danych „Chciwość napędza inflację"

eprasa.pl c554e197b0

DGP | Gazeta Prawna

Samorządowa środa 3–7 czerwca 2026 nr 106–107 (6775–6776) DGP.pl

DGP Więcej niż gazeta: wideo, podcasty, analizy na DGP.pl

Podatki i księgowość
VAT Kupujący będą częściej odpowiadać solidarnie ze sprzedawcą za nierozliczony VAT. Kto nie wyrejestruje kasy fiskalnej, zapłaci 300 zł kary. Tak zakłada projekt nowelizacji B2

Firma i prawo
RECYKLING Decyzja o objęciu systemem kaucyjnym szklanych butelek o małych pojemnościach zapadnie w drugiej połowie roku. Handel ostrzega przed paraliżem małych sklepów B4

Prawnik
SĄDOWNICTWO Sędziowie w stanie spoczynku będą mogli być rzecznikami dyscyplinarnymi ministra sprawiedliwości. Taki przepis pojawił się w projekcie nowelizacji prawa o ustroju sądów powszechnych B6

Samorząd i administracja
WYWIAD Tomasz Lewandowski: – Po sierpniu zobaczymy, ile planów ogólnych zostanie przyjętych i usiądziemy z samorządowcami oraz parlamentarzystami nad wskaźnikiem bilansowania B7

Kadry i płace
PROCEDURY Osoby zgłaszające mobbing coraz częściej muszą mierzyć się z kontrzarzutem naruszenia dóbr osobistych. Według ekspertów samo zgłoszenie nim nie jest B10

Dyrektorzy przedszkoli do lamusa

OŚWIATA Samorządy już korzystają z nowych udogodnień pozwalających na elastyczne **łączenie placówek oświatowych w zespoły** z jednym dyrektorem na czele. Dzieje się tak najczęściej z przedszkolami

Artur Radwan
artur.radwan@infor.pl

W ustawie z 13 marca 2026 r. o zmianie ustawy – Prawo oświatowe oraz niektórych innych ustaw (Dz.U. z 2026 r. poz. 504) pojawiło się wiele ułatwień, które mają na celu ratowanie placówek oświatowych przed ich zamknięciem. Niż demograficzny wchodzący do przedszkoli zmusza samorządy do ograniczenia liczby funkcjonujących szkół i przedszkoli. Do 2029 r. liczba pierwszoklasistów w szkołach podstawowych zmaleje o 25 proc. Od 2015 r. do 2023 r. zlikwidowano ok. 1,6 tys. szkół podstawowych.

Ratunkiem dla kolejnych zamykanych placówek oświatowych miała być wspomniana nowelizacja. Część samorządów uważała, że jest to krok we właściwym kierunku, ale włodarze z małych gmin sceptycznie podchodzili do nowych rozwiązań.

Wina niżu demograficznego

Resort edukacji przy wprowadzaniu ustawy powoływał się na prognozę ludności Głównego Urzędu Statystycznego (GUS) na lata 2023–2060, z której wynika, że liczba ludności Polski będzie systematycznie spadać. W 2023 r. wynosiła ok. 37,6 mln osób, do 2060 r. ma się zmniejszyć do 30,9 mln, co oznacza ubytek 6,7 mln osób, czyli ok. 22 proc. Jednocześnie będzie się zmniejszać liczba kobiet w wieku rozrodczym (15–49 lat), co przełoży się na dalszy spadek liczby urodzeń. W 2023 r. urodziło się 273 tys. dzieci, a w 2024 r. ok. 252 tys. Z prognozy ludności na lata 2023–2060 wynika, że w Polsce do 2029 r. liczba dzieci w wieku 7–14 lat spadnie o ok. 5 proc. Do 2034 r. prognozuje się spadek o ok. 19,5 proc. w tej grupie wiekowej. Do 2060 r. spadek ten, według GUS, może wynieść ok. 30 proc., a według skrajnego scenariusza demograficznego nawet 48,3 proc.

Samorządy muszą więc szybko zadziałać, aby ograniczyć liczbę likwidowanych szkół. Nowelizacja dopuszcza elastyczną strukturę placówek oświatowych. Umożliwia tworzenie szkół o zmiennej organizacji (np. wyłącznie z klasami I–III, I–IV lub IV–VIII) oraz szkół filialnych podporządkowanych większym placówkom macierzystym. Czy samorządy z tego korzystają?

Sieci szkół i przedszkoli popularne

Z sondy DGP wynika, że samorządy najczęściej sięgają po rozwiązanie ułatwiające budowanie sieci placówek oświatowych. Takie rozwiązanie przewiduje art. 91 ustawy – Prawo oświatowe, zgodnie z którym organ prowadzący może połączyć w zespół prowadzoną przez siebie szkołę podstawową z prowadzonymi przez siebie przedszkolami mającymi siedzibę na obszarze objętym obwodem tej szkoły lub prowadzone przez siebie przedszkola mające siedzibę na obszarze objętym obwodem jednej szkoły podstawowej.

– Dokonujemy zmian w sieci szkół, które idą w kierunku tworzenia kolejnych zespołów szkolno-przedszkolnych, czyli łączenia szkół podstawowych z miejskimi przedszkolami. Powstanie 11 takich placówek – wyjaśnia Włodzimierz Tutaj, rzecznik prasowy z urzędu miasta w Częstochowie.

Podobne zmiany zachodzą w Tarnowie.

– Jesteśmy organem prowadzącym 24 przedszkoli publicznych. Plany restrukturyzacji jednostek oświatowych prowadzonych przez gminę polegają na utworzeniu od 1 września 2026 r. trzech zespołów przedszkolnych oraz 12 zespołów szkolno-przedszkolnych. A to oznacza, że nie będzie już samodzielnie działających przedszkoli ani szkół podstawowych z wyjątkiem jednej szkoły podstawowej integracyjnej bez obwodu. Na podstawie tej decyzji wszystkie będą wchodzić w skład zespołu – wyjaśnia Marta Orłowska, zastępca dyrektora wydziału edukacji i sportu tamtejszego urzędu miasta.

Jak dodaje, tworzenie zespołów zapewnia ciągłość funkcjonowania placówek z zachowaniem ich autonomii i tradycji – wszystkie przedszkola i szkoły podstawowe zostają w swoich lokalizacjach i nie następuje likwidacja jednostek. Utworzenie zespołu powoduje wyłącznie administracyjne połączenie i pozwala uczniom na kontynuowanie edukacji w tym samym miejscu.

– Wszyscy pracownicy jednostek wchodzących w skład zespołu zachowują dotychczasowe miejsca pracy z poszanowaniem ich praw, zmiany dotyczą jedynie powierzania funkcji kierowniczych. Utworzenie jednego kierownictwa zespołu i administracji znacząco uprości procesy decyzyjne oraz pozwoli na bardziej dynamiczne reagowanie na lokalne zmiany demograficzne – przekonuje Marta Orłowska.

Po takich zmianach zespół szkół ma jedną administrację z jednym dyrektorem na czele.

(Nie)trafione rozwiązania

Część samorządów dopiero analizuje wprowadzone regulacje.

– Obecnie prowadzona jest analiza tegorocznej organizacji pracy szkół i przedszkoli ze szczególnym uwzględnieniem nowych rozwiązań prawnych umożliwiających m.in. bardziej elastyczne kształtowanie sieci placówek, ich łączenie w zespoły czy rozszerzanie funkcji o inne formy działalności społecznej. Po zakończeniu tej analizy przygotowane zostaną wnioski oraz propozycje ewentualnych działań reorganizacyjnych – deklaruje Małgorzata Tabaszewska z krakowskiego ratusza.

Jak wynika z informacji uzyskanych przez DGP, ratowanie szkół przez tworzenie na ich terenie np. żłobka lub domu seniora nie zyskało uznania samorządów. Są też samorządy, które deklarują, że do 2030 r. w ogóle nie zamierzają stosować rozwiązań zawartych w nowelizacji.

– Nie podejmowaliśmy dotychczas działań związanych z funkcjonowaniem miejskich placówek oświatowych w oparciu o zmienione przepisy ustawy – prawo oświatowe, umożliwiające rozszerzanie działalności placówek o dodatkowe funkcje lub ich łączenie w zespoły. Nie są też prowadzone analizy ani procedury mające na celu wykorzystanie wspomnianych rozwiązań prawnych – deklaruje Krzysztof Olszewski, rzecznik prasowy urzędu miasta w Pruszkowie.

Podobnie jest w Terespolu.

– Każdego roku rodziło się u nas ok. 60 dzieci, a obecnie mamy niewiele ponad 20 maluchów. Trudno ratować szkołę w sytuacji, kiedy niż demograficzny będzie się pogłębiał i nic nie wskazuje na to, aby miał być w odwrocie – mówi Krzysztof Iwaniuk, wójt Gminy Terespol ze Związku Gmin Wiejskich RP.

Według niego wykorzystywanie szkoły jako miejsca spotkań osób starszych i młodzieży jest nietrafionym i często kosztownym pomysłem, zwłaszcza gdy obok stoi pusty budynek wiejskiego domu kultury.

– Samorządy nie chcą więc nic zmieniać, tylko czekają na zgodę kuratora oświaty na likwidację placówki lub po prostu wygaszą nabór do niej – uważa Ewa Tatarczak, przewodnicząca Związku Zawodowego „Rada Poradnictwa".

Jej zdaniem samorządy nie mają pieniędzy na przekształcanie placówek w zespoły lub tworzenie w nich żłobków lub domów seniora. ©℗

NAJWAŻNIEJSZE ROZWIĄZANIA WPROWADZONE W NOWYCH PRZEPISACH

Przepisy umożliwiają:

- **tworzenie elastycznych struktur szkół**, m.in. szkół o różnej organizacji (np. klasy I–III, I–IV lub IV–VIII),
- **tworzenie szkół filialnych** podporządkowanych większym placówkom macierzystym,
- **nowe zasady likwidacji i przekształcania szkół:** uproszczenie procedur i doprecyzowanie przepisów regulujących proces likwidacji placówek; wciąż wymagana jest wiążąca opinia kuratora,
- **wielofunkcyjność budynków szkolnych:** samorządy zyskały możliwość wyodrębniania w budynkach oświatowych przestrzeni na inne cele publiczne, takie jak żłobki, kluby seniora, ośrodki zdrowia czy domy kultury.

Ustawa z 13 marca 2026 r. o zmianie ustawy – Prawo oświatowe oraz niektórych innych ustaw (Dz.U. z 2026 r. poz. 504)

RM ©℗

Skanuj kod i czytaj więcej na DGP.pl

eprasa.pl c554e197b0

Dość nadużywania split paymentu, nie kas i lewych zakupów usług niemateria

VAT Kupujący będą częściej odpowiadać solidarnie ze sprzedawcą za nierozliczony VAT. **Kto nie wyrejestruje kasy fiskalnej, zapłaci 300 zł kary**

Katarzyna Jędrzejewska
katarzyna.jedrzejewska@infor.pl

Tak zakłada projekt nowelizacji dwóch ustaw – o VAT oraz o zasadach ewidencji i identyfikacji podatników i płatników (nr UD314). Po przyjęciu przez rząd trafi on do Sejmu. Zmian będzie dużo. Część będzie ułatwiać prowadzenie działalności gospodarczej, część uszczelniać system podatkowy, czyli chronić interesy państwa przed unikaniem opodatkowania i nieprawidłowościami w rozliczeniach VAT.

Solidarna odpowiedzialność za VAT...

Rozszerzony zostanie zakres odpowiedzialności solidarnej nabywcy za VAT niezapłacony przez sprzedawcę. Obecnie, aby uwolnić się od odpowiedzialności solidarnej, wystarczy zapłacić za towar lub usługę z wykorzystaniem mechanizmu podzielonej płatności (z ang. split payment). Okazało się, że jest on celowo wykorzystywany do zapłaty np. za fikcyjne faktury. „Identyfikowane są przypadki, w których środki z rachunku VAT, celem ich wyprowadzenia i «oczyszczenia» rachunku, są przeznaczane na zapłatę m.in. za fikcyjne faktury" – argumentuje Ministerstwo Finansów, które przygotowało projekt nowelizacji.

Projekt zakłada, że nabywca odpowie za VAT, jeśli wiedział, iż faktura opłacona z zastosowaniem mechanizmu podzielonej płatności:

- została wystawiona przez podmiot nieistniejący albo
- stwierdza czynności, które nie zostały dokonane, albo
- podaje kwoty niezgodne z rzeczywistością albo
- potwierdza czynności dokonane w warunkach nadużycia prawa.

...także przy usługach niematerialnych

Niezależnie od tego zostanie wprowadzona solidarna odpowiedzialność za VAT przy nabyciu niektórych usług niematerialnych, m.in. doradczych, zarządczych, rachunkowo-księgowych, reklamowych, badawczych. Szczegółowy wykaz usług objętych odpowiedzialnością solidarną znajdzie się w nowym załączniku nr 16 wraz z przywołaniem konkretnych symboli PKWiU.

Solidarna odpowiedzialność będzie wtedy, gdy:

- należność ogółem wynikająca z faktury za usługi, o których mowa w załączniku nr 16 do ustawy, przekroczy 15 tys. zł lub jej równowartość w walucie obcej,
- wartość netto usług nabywanych od jednego podmiotu świadczącego te usługi w danym miesiącu będzie wyższa niż 50 tys. zł. Jeżeli limit ten zostanie przekroczony, to solidarna odpowiedzialność będzie stosowana w odniesieniu do wszystkich nabywanych usług, bez względu na wartość faktury je dokumentującej.

Przykład
Podatnik nabył w marcu od jednego podmiotu usługi: reklamowe udokumentowane fakturą w kwocie brutto 13 tys. zł, badania rynku udokumentowane fakturą w kwocie brutto 25 tys. zł, związane z zatrudnieniem udokumentowane fakturą w kwocie brutto 40 tys. zł. Łączna wartość netto (bez kwoty VAT) usług wymienionych w załączniku nr 16, nabytych w marcu od jednego podmiotu, jest wyższa niż 50 tys. zł, w związku z tym ich nabywca będzie odpowiadał solidarnie ze sprzedawcą za VAT w odniesieniu do wszystkich tych transakcji.

Skąd akurat usługi, które mają się znaleźć w nowym załączniku nr 16 do ustawy? Lista powstała na bazie analizy przeprowadzonej przez Krajową Administrację Skarbową. Analiza ta wykazała, że nieuczciwi przedsiębiorcy stosunkowo często posługują się pustymi fakturami, których przedmiotem są te konkretne usługi niematerialne – wyjaśnia MF w uzasadnieniu. Dodaje, że o szerokim wykorzystywaniu usług niematerialnych przy wystawianiu pustych faktur świadczy również bogate orzecznictwo sądów administracyjnych.

Odmowa rejestracji

Zmiany będą też w zasadach rejestracji podatników VAT. Naczelnik urzędu skarbowego odmówi rejestracji nie tylko w sytuacjach, które już dziś są wskazane w art. 96 ustawy o VAT, ale też:

- z powodu nieustanowienia przedstawiciela podatkowego w momencie składania dokumentów rejestracyjnych w sytuacji, gdy taki obowiązek istnieje,
- z powodu braku kontaktu z przedstawicielem podatkowym (podobnie jak ma to miejsce obecnie w przypadku braku kontaktu z pełnomocnikiem),
- do momentu, gdy podmiot wykreślony ze względu na brak złożenia deklaracji nie uzupełni brakujących deklaracji. Ma to zmotywować podatników do wypełniania obowiązku składania deklaracji VAT.

Kasy fiskalne

Z kolei zmiany w przepisach o kasach rejestrujących mają zapobiegać nadużyciom z wykorzystaniem kas starego typu. Dlatego podatnik, który przestanie używać kasy, będzie musiał złożyć do urzędu skarbowego wniosek o jej wyrejestrowanie (termin zostanie określony w rozporządzeniu). Za brak wyrejestrowania nieużywanej kasy urząd skarbowy nałoży karę 300 zł.

Niezależnie od tego minister finansów będzie mógł określić – w rozporządzeniu – zasady prowadzenia serwisu dla kas wirtualnych (na wzór rozwiązania obowiązującego w stosunku do pozostałych kas rejestrujących online). To nie tylko zapewni podatnikom wsparcie serwisanta, ale też – jak twierdzi MF – pomoże wyeliminować nadużycia i nieprawidłowości w używaniu kas wirtualnych przez podatników, w szczególności przy rejestracji i wyrejestrowaniu kas z systemu CEKRII.

Z PKWiU na CN

Uszczelnieniu VAT służą też zmiany w załączniku nr 15, gdzie wymienione są towary i usługi, do których ma zastosowanie mechanizm podzielonej płatności. Wskazane w nim towary będą sklasyfikowane według nomenklatury scalonej (CN), a nie, jak dotychczas, według Polskiej Klasyfikacji Wyrobów i Usług. Założenie było takie, aby nic się nie zmieniło – zapewnia resort finansów. Dodaje jednak, że mogą zdarzyć się przypadki rozszerzenia w niewielkim zakresie MPP.

Usługi nadal będą klasyfikowane według PKWiU.

Likwidacja niektórych obowiązków

Niezależnie od zmian uszczelniających ten sam projekt zakłada likwidację niektórych obowiązków, w tym:

- składania odrębnej informacji o dokonanym spisie z natury,
- składania formularza VAT-Z,
- zapłaty VAT w ciągu 14 dni od wewnątrzwspólnotowego nabycia środka transportu,
- wskazywania w deklaracji (JPK_VAT) podstawy opodatkowania przy nabyciu towarów i usług zwolnionych od VAT.

Informacja o spisie z natury

Obecnie podatnicy muszą złożyć informację o spisie z natury, o ustalonej na jego podstawie wartości towarów i o kwocie podatku należnego, niepóźniej niż w dniu złożenia deklaracji podatkowej za okres obejmujący dzień:

- rozwiązania spółki cywilnej lub handlowej niemającej osobowości prawnej,
- zaprzestania wykonywania czynności podlegających opodatkowaniu albo
- wygaśnięcia zarządu sukcesyjnego albo uprawnienia do powołania zarządcy sukcesyjnego (art. 14 ust. 1 pkt 3 ustawy o VAT).

Zawarte w spisie z natury informacje o wysokości podatku należnego powielają się z danymi w JPK_VAT, gdzie również trzeba podać wysokość tego podatku. Dlatego zostanie zlikwidowany wymóg składania odrębnej informacji o dokonanym spisie z natury.

Bez VAT-Z...

Gdy przedsiębiorca kończy biznes, obecnie składa zgłoszenie o zaprzestaniu wykonywania czynności podlegających opodatkowaniu (formularz VAT-Z) niezależnie od wniosku o wykreślenie działalności gospodarczej z rejestru Centralnej Ewidencji i Informacji o Działalności Gospodarczej (CEIDG) lub Krajowego Rejestru Sądowego (KRS). Jest to konieczne do wykreślenia go z rejestru podatników VAT. Po zmianach ten, kto złoży wniosek o wykreślenie z rejestru CEIDG lub KRS, nie będzie już musiał składać formularza VAT-Z.

...i zapłaty VAT w 14 dni

W końcu odetchną podatnicy, którzy rozliczają wewnątrzwspólnotowe nabycie (WNT) środka transportu (w tym WNT nowego środka transportu) w jednej z deklaracji, o których mowa w art. 99 ust. 1–3 albo 8 ustawy o VAT. Obecnie muszą oni zapłacić VAT należny z tego tytułu w ciągu 14 dni (od dnia powstania obowiązku podatkowego), mimo że od 2015 r. nie muszą już przedstawiać w wydziale komunikacji (przy rejestrowaniu pojazdu) zaświadczenia o uiszczeniu VAT z tytułu WNT środka transportu lub o braku takiego obowiązku. Co więcej, również w ustawie o VAT uchylono przepisy regulujące kwestię wydawania takich zaświadczeń (VAT-25). Pozostał jednak wymóg zapłaty VAT w ciągu 14 dni. Teraz i on zostanie zniesiony.

Pozostanie natomiast obowiązek składania informacji o wewnątrzwspólnotowym nabyciu środka transportu (VAT-23), z tym że zostanie on przeniesiony z art. 103 ust. 5 do nowych ustępów 10a – 10c w art. 99 ustawy o VAT.

Zmiany dla nabywców rozliczających VAT

Odetchną też podatnicy, którzy rozliczają VAT jako nabywcy, zgodnie z art. 17 ust. 1 pkt 4 i 5 ustawy o VAT. Dziś muszą wykazać import (chodzi zwłaszcza o import usług), nawet gdy kupione przez nich usługi lub towary są zwolnione z VAT (na podstawie art. 43 ust. 1, art. 113a ust. 1 lub przepisów wydanych na podstawie art. 82 ust. 3 ustawy), a więc należny podatek nie powstaje. To się zmieni.

Przykład
Obecnie podatnik VAT, nabywając usługę zwolnioną od podatku w ramach procedury SME (procedura dla małych firm, pozwalająca im korzystać ze zwolnienia z VAT w innych krajach UE), musi rozliczyć w Polsce import usług na podstawie art. 17 ust. 1 pkt 4 w związku z art. 2 pkt 9 ustawy o VAT. Choć import ten jest zwolniony od podatku (dzięki procedurze SME), nabywca musi wykazać podstawę opodatkowania bez naliczania VAT należnego z tytułu nabycia. Po zmianie nabywca nie będzie uznawany za podatnika i w konsekwencji nie będzie musiał wykazać tej usługi (jako importu usług) w składanych deklaracjach (JPK_VAT, VAT-8, VAT-9M).

Zmiana (w art. 17 ustawy o VAT) nie sprawi, że nabycia te w ogóle przestaną podlegać przepisom o VAT. To jest istotne ze względu na podatek od czynności cywilnoprawnych. Nadal czynność będzie wyłączona z PCC, niezależnie od tego, która z jej stron (usługodawca/dostawca towarów czy nabywca) będzie z jej tytułu zwolniona od VAT.

Nowe ułatwienia

Ułatwieniu działalności gospodarczej mają też służyć:

- tzw. składy VAT, czyli uproszczenie dla podmiotów działających w obszarze międzynarodowego obrotu towarowego,

DGP
Więcej niż gazeta!
Tylko na DGP.pl

eprasa.pl c554e197b0

czynnych lnych

- możliwość sprawdzenia w wykazie podatników VAT statusu podatnika 5 lat wstecz,
- tzw. e-odprawy w terminalu TAX FREE na potrzeby zwrotu VAT.

Doprecyzowanie przepisów

Projekt zakłada doprecyzowanie przepisów w zakresie m.in.:

- momentu powstania obowiązku podatkowego dla dostaw towarów oraz świadczenia usług wykonywanych z nakazu organu władzy publicznej lub z mocy prawa w zamian za odszkodowanie,
- miejsca dostawy energii elektrycznej,
- sposobu obliczania obrotu podatnika dla potrzeb stosowania zwolnienia podmiotowego w VAT (zmiana art. 113 ust. 1a oraz art. 113a ust. 1 pkt 2 ustawy o VAT),
- importu towarów, co ma związek m.in. z wdrożeniem od 19 czerwca 2025 r. systemu AIS/IMPORT PLUS,
- rozliczenia VAT od opakowań objętych systemem kaucyjnym,
- tzw. ulgi na złe długi,
- szczególnych procedur w zakresie dostawy towarów używanych, dzieł sztuki, przedmiotów kolekcjonerskich i antyków.

Uaktualnione zostaną przepisy dotyczące 8-proc. stawki VAT od środków odkażających. Oprócz tego będą zmiany porządkujące i redakcyjne w przepisach o NIP, czyli w ustawie o zasadach ewidencji i identyfikacji podatników i płatników.

VAT od niezwróconej kaucji za opakowania

Wprowadzając system kaucyjny, przyjęto roczne rozliczenie VAT (na ostatni dzień roku). Pojawiły się jednak wątpliwości, jaką stawkę podatku zastosować:

- jeżeli w trakcie roku zmieniła się stawka VAT na produkt, który został dostarczony w opakowaniu rozliczanym w systemie kaucyjnym,
- w odniesieniu do zwracanych opakowań lub odpadów opakowaniowych, które zostały wprowadzone w poprzednich latach, gdy obowiązywała inna stawka podatku na dany produkt (w praktyce może nie być możliwe ustalenie, kiedy zwracane opakowanie zostało wprowadzone do obrotu).

Projekt zakłada, że będzie stosowana stawka VAT dla danego produktu w opakowaniu, która obowiązywała na ostatni dzień roku, którego dotyczy rozliczenie wartości niezwróconej kaucji.

Ulga na złe długi

Zmiana w zakresie ulgi na złe długi ma dotyczyć małych podatników, którzy rozliczają się metodą kasową. Może się zdarzyć (przy sprzedaży na rzecz podmiotów innych niż czynni podatnicy VAT), że obowiązek podatkowy u małego podatnika powstaje w terminie 180 dni (zgodnie z art. 21 ust. 1 pkt 2 ustawy). To znacznie później niż termin na skorzystanie z ulgi na złe długi, ten bowiem wynosi 90 dni. W konsekwencji mały podatnik może chcieć skorzystać z ulgi na złe długi, zanim jeszcze powstanie obowiązek podatkowy z tytułu danej dostawy. Dlatego ma zostać doprecyzowane, że z ulgi na złe długi można skorzystać nie wcześniej niż w okresie rozliczeniowym, w którym powstał obowiązek podatkowy.

W zamian za odszkodowanie

Ujednolicony zostanie moment powstania obowiązku podatkowego dla dostaw towarów oraz świadczenia usług wykonywanych z nakazu organu władzy publicznej lub z mocy prawa w zamian za odszkodowanie. Obecnie, jeżeli wskutek takiego nakazu podatnik jest pozbawiany w zamian za odszkodowanie:

- prawa do korzystania z nieruchomości (np. wskutek służebności przesyłu) – obowiązek podatkowy powstaje w momencie, kiedy usługa zostanie wykonana,
- prawa własności towaru (np. nieruchomości) – obowiązek podatkowy powstaje w dacie otrzymania odszkodowania.

Projekt zakłada, że w obu przypadkach obowiązek podatkowy będzie powstawał w tym samym momencie – w dacie otrzymania odszkodowania.

Jak nakazał TSUE

Część zmian ma służyć wdrożeniu orzeczeń Trybunału Sprawiedliwości UE. W związku z tym:

- każda z osób fizycznych prowadzących w sposób samodzielny działalność rolniczą w oparciu o wspólne gospodarstwo rolne, leśne lub rybackie będzie mogła zostać uznana za odrębnego podatnika VAT (wyrok z 24 marca 2022 r. w sprawie C-697/20) – szerzej piszemy o tym w artykule „Zmiany dla małżonków i rolników ryczałtowych. Co szykuje rząd?”,
- będzie można stosować stawkę 0 proc. VAT do usług ubezpieczenia oraz usług dotyczących importu towarów zwolnionych od podatku – gdy wartość tych usług została włączona do podstawy opodatkowania (wyrok TSUE z 4 października 2017 r. w sprawie C-273/16).

W ślad za wyrokiem TSUE z 25 maja 2023 r. (C-114/22) zmieniona zostanie jedna z przesłanek odmowy odliczenia podatku naliczonego. Obecnie nie można odliczyć VAT, gdy czynności zostaną uznane za pozorne lub dotknięte nieważnością na podstawie przepisów krajowego prawa cywilnego. Tak wynika z art. 88 ust. 3a pkt 4 lit. c ustawy o VAT. Po nowelizacji przepis ten nie będzie już odwoływał się do prawa cywilnego (przewidzianej w nim pozorności i obejścia prawa), ale bezpośrednio do klauzuli nadużycia prawa podatkowego, o której mowa w art. 5 ust. 5 ustawy o VAT.

Pociągnie to za sobą zmiany w przepisach dotyczących mechanizmu podzielonej płatności (art. 108c ust. 3 pkt 4) i dodatkowego zobowiązania podatkowego, czyli tzw. sankcji VAT (art. 112c ust. 1 pkt 4). One również odwołują się obecnie do art. 58 i 83 kodeksu cywilnego, a będą odwoływać się do art. 5 ust. 5 ustawy o VAT. ©℗

Etap legislacyjny
Projekt nowelizacji ustawy o VAT oraz ustawy o zasadach ewidencji i identyfikacji podatników i płatników (nr UD314) – przyjęty przez rząd i skierowany do Sejmu

Zmiany dla małżonków i rolników ryczałtowych. Co szykuje rząd?

VAT

Katarzyna Jędrzejewska
katarzyna.jedrzejewska@infor.pl

Małżonkowie prowadzący wspólne gospodarstwo rolne będą mogli odrębnie zarejestrować się dla celów VAT. Mąż będzie mógł być rolnikiem ryczałtowym, a żona rozliczać VAT na zasadach ogólnych lub odwrotnie. Czy nie dojdzie do nadużyć?

Fiskus chce przeciwdziałać takiemu ryzyku, dlatego w projekcie, który trafił pod obrady Rady Ministrów, przewidziano rozwiązanie, które ma zapobiegać nadużyciom. Chodzi o projekt nowelizacji dwóch ustaw – o VAT oraz o zasadach ewidencji i identyfikacji podatników i płatników (nr UD314).

Małżonkowie w gospodarstwie rolnym

Niektóre nowości są konieczne ze względu na wyroki Trybunału Sprawiedliwości UE. Jeden z nich – z 24 marca 2022 r. (C-697/20) – dotyczył małżonków prowadzących działalność rolniczą na podstawie wspólnego gospodarstwa rolnego (leśnego lub rybackiego).

Dotychczas fiskus uznawał, że w takiej sytuacji podatnikiem VAT może być tylko jedna osoba – ta, która złożyła zgłoszenie rejestracyjne. Dlatego art. 96 ust. 2 ustawy o VAT pozwala obecnie tylko jednej z osób (jednemu małżonkowi) złożyć zgłoszenie VAT-R. Może to uczynić tylko ta osoba (ten małżonek), na którą mają być wystawiane faktury przy zakupie towarów i usług i która ma wystawiać faktury przy sprzedaży produktów rolnych.

TSUE uznał, że tak nie powinno być. Nie można odmówić każdemu z małżonków bycia podatnikiem VAT tylko z tego względu, że prowadzą oni działalność rolniczą w ramach jednego gospodarstwa, przy wykorzystaniu majątku objętego małżeńską wspólnością majątkową. Jeżeli każde z nich prowadzi samodzielnie działalność gospodarczą, to każde powinno móc odrębnie zarejestrować się dla celów VAT – wynikało z wyroku z 24 marca 2022 r.

Co się zmieni?

W takim kierunku zmierza omawiany przez rząd projekt nowelizacji ustawy o VAT. Każda z osób prowadzących samodzielnie działalność rolniczą na podstawie wspólnego gospodarstwa rolnego (leśnego lub rybackiego) będzie mogła zostać uznana za odrębnego podatnika VAT. Będzie o tym decydować ogólna zasada wynikająca z art. 15 ust. 1 ustawy o VAT – za podatnika uważa się osobę wykonującą samodzielnie działalność gospodarczą, o której mowa w ust. 2, bez względu na cel lub rezultat takiej działalności.

Jeżeli więc każda z tych osób (małżonków) będzie działać we własnym imieniu, na własny rachunek, na własną odpowiedzialność i sama będzie ponosić ryzyko gospodarcze związane z prowadzeniem swojej działalności, to każda będzie mogła odrębnie złożyć zgłoszenie rejestracyjne. W związku z tym zostanie uchylony art. 96 ust. 2 ustawy o VAT, który dziś pozwala złożyć je tylko jednej z osób.

Ryzyko nadużyć

Zmiana może skłaniać do nadużyć w sytuacji, gdy jeden z podatników (małżonków) będzie rolnikiem ryczałtowym (będzie korzystać ze zwolnienia przewidzianego w art. 43 ust. 1 pkt 3 ustawy o VAT), a drugi będzie rozliczać VAT na zasadach ogólnych (zrezygnuje ze zwolnienia). Chodzi o to, aby jeden nie odliczał podatku naliczonego na zasadach ogólnych, a drugi nie dostawał – w odniesieniu do tych samych towarów i usług – zryczałtowanego zwrotu podatku.

Przypomnijmy, że zryczałtowany zwrot ma rekompensować rolnikom ryczałtowym ciężar podatku, który ponoszą, kupując towary i usługi do swojej działalności (np. w cenie maszyn, nawozów, paliwa). Rolnik ryczałtowy jest bowiem zwolniony z VAT (nie wystawia faktur jako sprzedawca), przez co nie może odliczać podatku naliczonego, jak czynią to podatnicy rozliczający się z fiskusem na zasadach ogólnych. Zryczałtowany system działa tak, że ten, kto kupuje produkty od rolnika, wystawia dokument zwany fakturą VAT-RR, na której wykazuje kwotę zryczałtowanego zwrotu według stawki 7 proc. Kwotę tę przekazuje rolnikowi (wpłaca na jego rachunek) wraz z należnością za kupione od niego produkty.

Obecnie rolnicy ryczałtowi nie tylko nie wystawiają faktur, ale też nie prowadzą ewidencji dostaw i zakupów towarów i usług. To się zmieni.

Jak mu zapobiec?

Chcąc zapobiegać nadużyciom, Ministerstwo Finansów zaproponowało, aby zobowiązać niektórych rolników ryczałtowych do ewidencjonowania dostaw i zakupów. Rolnik ryczałtowy będzie musiał je ewidencjonować, jeżeli będzie prowadził działalność rolniczą w ramach wspólnego gospodarstwa rolnego (leśnego lub rybackiego), w którym oprócz niego działalność będzie prowadzić co najmniej jedna osoba (np. małżonek) rozliczająca VAT na zasadach ogólnych, czyli taka, która zrezygnowała ze zwolnienia przewidzianego w art. 43 ust. 1 pkt 3 ustawy.

Ewidencja ma wykazać, że każda z tych osób faktycznie prowadzi działalność rolniczą samodzielnie i odrębnie. Dzięki temu:

- małżonek, który będzie czynnym podatnikiem VAT, będzie odliczał podatek naliczony związany wyłącznie z jego działalnością opodatkowaną (na zasadach ogólnych),
- małżonek będący rolnikiem ryczałtowym będzie dostawać zryczałtowany zwrot podatku. Za nieprowadzenie ewidencji będzie grozić odpowiedzialność na podstawie kodeksu karnego skarbowego. Ewidencję oraz dowody sprzedaży i nabycia trzeba będzie przechowywać przez pięć lat. Obecnie rolnicy ryczałtowi muszą przechowywać tylko otrzymane faktury VAT RR.

Małżonkowie jako jeden podatnik

Dostosowanie przepisów ustawy o VAT do wyroku TSUE z 24 marca 2022 r. (C-697/20) nie będzie przeszkodą do traktowania małżonków jako jednego podatnika, jeżeli będą spełnione warunki wskazane przez unijny trybunał w innym wyroku – z 3 kwietnia 2025 r. (C-213/24). Trybunał orzekł wtedy, że małżonkowie mogą być uznani za jednego podatnika, jeżeli sprzedają grunty objęte wspólnością majątkową i „jawią się względem osób trzecich jako dokonujący razem stanowiącej działalność gospodarczą transakcji sprzedaży gruntów należących do tej wspólności, a rzeczona wspólność ponosi ryzyko gospodarcze związane z wykonywaniem tej działalności”. ©℗

Etap legislacyjny
Projekt nowelizacji ustawy o VAT oraz ustawy o zasadach ewidencji i identyfikacji podatników i płatników (nr UD314) – przyjęty przez rząd i skierowany do Sejmu

eprasa.pl c554e197b0

Małpki w systemie kaucyjnym, handel załamuje ręce

RECYKLING Decyzja o objęciu systemem kaucyjnym jednorazowych szklanych butelek o małych pojemnościach zapadnie w drugiej połowie roku. Resort klimatu chce ograniczyć problem porzucania opakowań po napojach, handel **ostrzega przed paraliżem małych sklepów**

Martyna Mroczek-Kowalik
martyna.mroczek-kowalik
@infor.pl

Ministerstwo Klimatu i Środowiska (MKiŚ) podjęło decyzję o rozszerzeniu mechanizmu kaucyjnego o najbardziej kontrowersyjną frakcję – jednorazowe butelki szklane po alkoholu o pojemności do 200 ml, potocznie nazywane małpkami. Jak podkreśliła szefowa resortu Paulina Hennig-Kloska, „decyzja w tej sprawie, że system zostanie rozszerzony, w moim zespole zapadła. To jest kwestia «kiedy», a nie «czy»". Konkretne projekty legislacyjne mają ujrzeć światło dzienne tuż po wakacjach.

– Postulat włączenia tzw. małpek do systemu kaucyjnego jest znany ministerstwu. W drugiej połowie roku zostanie podjęta decyzja, kiedy zmiany w systemie kaucyjnym zostaną wprowadzone i w jaki sposób będą wdrażane – potwierdza MKiŚ w oświadczeniu przesłanym DGP. – Rozszerzenie systemu kaucyjnego o nowe frakcje to duża zmiana systemowa i logistyczna, która będzie wymagać czasu na wdrożenie dla wszystkich uczestników rynku – w tym wprowadzających napoje na rynek, placówek handlowych, branży recyklingowej i operatorów systemu kaucyjnego – dodaje resort.

Choroby wieku dziecięcego

Problem w tym, że rynek – a zwłaszcza sektor handlu detalicznego oraz producenci napojów – tego urzędniczego entuzjazmu nie podziela. Przeciwnicy natychmiastowej regulacji wskazują, że dorzucanie kolejnego, niezwykle wymagającego obowiązku do mechanizmu borykającego się z chorobami wieku dziecięcego doprowadzi do organizacyjnej i logistycznej katastrofy.

Z punktu widzenia ministerstwa system kaucyjny w obecnym kształcie – obejmujący plastikowe butelki PET do trzech litrów oraz puszki metalowe do jednego litra – rozwija się modelowo. Z danych resortu wynika, że od początku października do końca kwietnia w 57 tys. punktów zwrotu zebrano już 1 mld opakowań, które wrócą do obiegu.

Przedstawiciele biznesu podkreślają jednak, że system nie jest jeszcze w pełni dopracowany, a tym bardziej gotowy na kolejne zmiany.

– To system kaucyjny w budowie. Nie mamy tak naprawdę stuprocentowo sprawnego, pełnego, szerokiego, powszechnego i wygodnego systemu dla konsumentów i sklepów. Jako wprowadzający napoje na rynek od początku uważaliśmy, że na drugim największym rynku napojowym w UE potrzeba dużo więcej czasu, tak żeby uniknąć błędów wynikających z pośpiechu – zaznacza Andrzej Gantner, wiceprezes zarządu i dyrektor generalny Polskiej Federacji Producentów Żywności (PFPŻ).

Branża od początku postulowała, by dać operatorom i przedsiębiorcom czas na spokojne wdrożenie, co pozwoliłoby uniknąć problemów logistycznych, informatycznych i rozliczeniowych, a przede wszystkim zapewniłoby odpowiednią ilość sprawnych punktów odbioru opakowań, co decyduje o wygodzie konsumentów. Pośpiech sprawił, że błędy systemu stały się przedmiotem potężnej fali dezinformacji. Zdaniem Gantnera, aby mechanizm zaczął działać bez zakłóceń, potrzeba jeszcze przynajmniej roku rozwoju i stabilizacji. Dokładanie kolejnej, tak trudnej frakcji jak jednorazowe szkło, uważa w tym momencie za błąd, który wprowadzi jedynie dodatkowy chaos.

Małe sklepy nie wytrzymają ciężaru?

Głównym przeciwnikiem natychmiastowego włączania małpek jest Polska Izba Handlu. Dla handlowców system kaucyjny dla samego plastiku i aluminium już teraz stanowi potężne obciążenie finansowe i organizacyjne. Ceny automatów recyklingowych sięgają nawet 70 tys. zł, a koszty te w całości spoczywają na przedsiębiorcach, bo państwo odmówiło jakiegokolwiek wsparcia finansowego.

Maciej Ptaszyński, prezes Polskiej Izby Handlu, ostro krytykuje urzędnicze argumenty, jakoby małe placówki – poniżej 200 mkw. – były bezpieczne, ponieważ ustawa zwalnia je z obowiązkowego odbierania opakowań. Nazywa to ignorowaniem realiów rynkowych.

– To jest przymus ekonomiczny, który zmusza te sklepy do wchodzenia do systemu. Wszystkie badania konsumenckie mówią jasno: gdzie klient kupuje, tam oddaje opakowanie. Jeśli mały sklep nie będzie odbierał butelek, straci klientów na rzecz większej konkurencji. Więc bzdurą jest twierdzenie, że mały sklep może nie wchodzić do systemu – mówi Ptaszyński.

Prezes izby zwraca uwagę na wadliwy mechanizm rozliczeń, który pogarsza płynność finansową handlu. Sklepy zmuszone są kredytować system – wypłacają kaucje konsumentom z własnych środków, a na zwrot czekają bardzo długo. Co więcej, tzw. opłata obsługowa jest deficytowa i nie pokrywa realnych kosztów pracy personelu czy energii. W realiach, gdzie marże mniejszych placówek kurczą się do poziomu ok. 1 proc., zmuszanie ich do dopłacania do operacji odpadowych grozi poważnym kryzysem.

Dorzucenie do systemu jednorazowego szkła, zdaniem branży, potęguje te ryzyka. Szkło jest surowcem ciężkim, nieporęcznym, a przede wszystkim tłukącym się. Wywołuje to uzasadniony opór sanitarno-higieniczny.

– Zastanówmy się, czy chcemy generować stłuczkę w małych sklepach, w których sprzedaje się żywność? Jaki to będzie miało wpływ na stan sanitarny tych placówek? – przestrzega Ptaszyński. Przy zbiórce manualnej pracownik musiałby ręcznie sortować i magazynować lepiące się, pachnące alkoholem buteleczki, na co w lokalach o powierzchni 50 mkw. po prostu nie ma miejsca.

– Nie róbmy ze sklepów PSZOK-ów – apeluje Ptaszyński.

Przedstawiciele biznesu podkreślają, że system kaucyjny nie jest jeszcze w pełni dopracowany, a tym bardziej gotowy na kolejne zmiany. Dorzucanie kolejnego obowiązku doprowadzi do chaosu

Trzy miliony małpek każdego dnia

Z drugiej strony sporu pojawiają się argumenty środowiskowe. Polacy opróżniają codziennie średnio aż 3 mln małpek. Porzucone w lasach i na chodnikach stanowią jeden z najbardziej uciążliwych problemów estetycznych oraz ekologicznych w samorządach. Ponieważ szkło jednorazowe nie niesie za sobą żadnej wartości zwrotnej dla konsumenta, często ląduje np. w krzakach.

Przedsiębiorcy odpowiadają jednak, że ogólny poziom zbiórki szkła w Polsce już teraz spełnia unijne rygory, a oni sami są pomijani w pracach nad systemowymi rozwiązaniami.

Co ze szkłem wielorazowym, czyli z butelkami po piwie

Równolegle do batalii o małpki tli się inny problem: co dalej ze szklanymi butelkami po piwie? Mowa tu o szkle wielokrotnego użytku (butelkach zwrotnych), które pierwotnie miały zostać włączone do powszechnego systemu kaucyjnego. Dopiero styczniowa nowelizacja przepisów umożliwiła czasowe funkcjonowanie firmowych systemów zbierania butelek zwrotnych, które będą mogły działać na dotychczasowych zasadach do końca 2028 r.

Andrzej Gantner wyjaśnia, że butelka zwrotna to nie anonimowy odpad, tylko własność konkretnej firmy i musi precyzyjnie wrócić do tego samego zakładu, z którego wyjechała, przejść przez specjalistyczną myjnię i zostać napełniona ponownie. Wymaga to posiadania własnej infrastruktury u każdego producenta. Wizje budowy jednej centralnej myjni dla całego kraju ekspert nazywa mrzonkami, które ignorują koszty logistyki i generują gigantyczny ślad węglowy transportu.

– Gdyby nie poprawka parlamentu, która przełamała stanowisko MKiŚ i faktycznie pozwoliła istnieć prywatnym systemom jeszcze przez trzy lata, Polska stałaby się pierwszym krajem na świecie, który wytłukłby sobie butelki wielokrotnego użytku. Koszty włączenia ich do systemu jednorazówek byłyby tak duże i bezsensowne, że firmy zapowiadały rezygnację ze szkła wielorazowego na rzecz opakowań bezzwrotnych – podkreśla Gantner.

Ta tymczasowa ochrona prawna obnaża jednak asymetrię rynkową. Wielkie koncerny piwowarskie ponoszą potężne koszty prośrodowiskowe, utrzymując myjnie i transport. Z drugiej strony na rynku działa spora grupa producentów i importerów, którzy świadomie rozlewają piwo w butelki szklane bezzwrotne (jednorazowe). Robią to, ponieważ system butelki zwrotnej jest drogi i wymaga skali działania. W rezultacie ich opakowania lądują w śmietnikach, a prawo w obecnym kształcie nie daje żadnych narzędzi, by zmusić ich do odpowiedzialności ekologicznej.

– Wprowadzona na początku roku nowelizacja systemu kaucyjnego umożliwiła czasowe funkcjonowanie równolegle do powszechnego systemu kaucyjnego systemów zbierania szklanych butelek zwrotnych, które po nowelizacji przepisów będą mogły funkcjonować do końca 2028 r. Nie ma przeszkód prawnych, żeby uczestnicy tych systemów wcześniej włączyli się do systemu powszechnego – czytamy w odpowiedzi od MKiŚ.

Producenci piwa mają wolną rękę jeszcze do końca 2028 r. Co dalej? Biznes liczy, że do tego czasu uda się przyjąć przepisy, które na stałe wyłączą szklane butelki wielorazowe z powszechnego systemu kaucyjnego. ©℗

POLSKI SYSTEM KAUCYJNY PO SIEDMIU MIESIĄCACH DZIAŁANIA

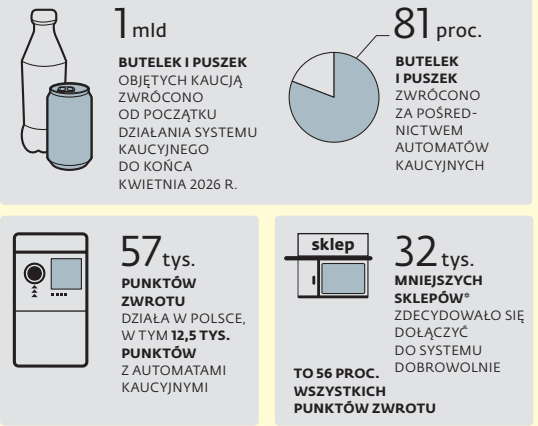

* poniżej 200 mkw., nieobjętych ustawą
Źródło: Ministerstwo Klimatu i Środowiska RM ©℗

AUTOPROMOCJA

Czytaj więcej o prawie

• orzecznictwo • analizy
• interpretacje przepisów

dgp.pl/prawo

eprasa.pl c554e197b0

Mniej biurokracji u konserwatora zabytków, ale rewolucji nie będzie

NIERUCHOMOŚCI Milcząca zgoda zamiast pozwolenia konserwatorskiego. To główna zmiana przewidziana w noweli obowiązującej od 3 czerwca. **Eksperci podkreślają, że to za mało, a rząd zapowiada kolejne uproszczenia**

Renata Krupa-Dąbrowska
renata.krupa-dabrowska@infor.pl

Procedury towarzyszące pracom budowlanym przy zabytkach są czasochłonne i bardzo zbiurokratyzowane. Ma się to zmienić od 3 czerwca. Prawnicy chwalą zmiany, ale podkreślają, że to żadna rewolucja. Nowe przepisy nie rozwiązują bowiem wszystkich problemów. Duże nadzieje eksperci wiążą z kolejną nowelizacją, nad którą obecnie pracuje rząd. Będą to następne zmiany dotyczące pozwoleń konserwatorskich.

Milcząca zgoda i jedna decyzja

3 czerwca wchodzi w życie nowelizacja z 9 października 2025 r. ustawy o ochronie zabytków i opiece nad zabytkami (Dz.U. z 2025 r. poz. 1673). Nowe przepisy wprowadzają instytucję zgłoszenia konserwatorskiego w sprawach dotyczących robót budowlanych prowadzonych w otoczeniu zabytku, przeniesienia zabytku ruchomego, zmiany sposobu użytkowania zabytku, montażu urządzeń technicznych, reklam lub napisów na zabytku oraz innych działań mogących wpłynąć na jego stan lub wygląd (z wyjątkiem wycinki drzew).

Zgłoszenia będą działać na wzór tych budowlanych. Wojewódzki konserwator zabytków będzie miał 60 dni od wpływu zgłoszenia na wniesienie sprzeciwu. Jeśli tego nie zrobi, inwestor może rozpocząć prace. Oznacza to udzielenie milczącej zgody.

Konserwator będzie mógł też przed upływem terminu 60 dni wydać z urzędu zaświadczenie o braku podstaw do sprzeciwu. Takie zaświadczenie zablokuje możliwość wniesienia sprzeciwu i pozwoli rozpocząć prace. Zgłoszenie będzie ważne przez dwa lata.

Nowelizacja przewiduje też sankcje za brak zgłoszenia. Wojewódzki konserwator będzie mógł wstrzymać prace, a inwestor zapłaci karę od 500 zł do 50 tys. zł.

Z nowelizacji ucieszą się właściciele dzieł sztuki, ponieważ uchylono wymóg uzyskania pozwolenia w przypadku trwałego przeniesienia zabytku ruchomego wpisanego do rejestru, nawet jeśli narusza to ustalony tradycją wystrój wnętrza, w którym się on znajduje. Także i w tym przypadku wystarczy samo zgłoszenie. Oznacza to, że np. zabytkowy kandelabr wpisany do rejestru będzie wolno powiesić w innym miejscu po uzyskaniu milczącej zgody.

Przewidziano też uproszczenia dotyczące wycinki drzew i krzewów. Wystarczy już tylko jedna decyzja wojewódzkiego konserwatora. Do tej pory niezbędne były aż dwie.

Do postępowań w sprawie wydania pozwolenia wojewódzkiego konserwatora zabytków stosuje się stare przepisy, obowiązujące przed 3 czerwca.

Milcząca zgoda tak, ale...

Prawnicy chwalą instytucję milczącej zgody, którą doskonale znają, bo od wielu lat funkcjonuje ona w prawie budowlanym w odniesieniu do prostych inwestycji.

– Podoba mi się rozróżnienie na prace, które wymagają pozwolenia konserwatorskiego, i takie, przy których wystarczy zgłoszenie. Obowiązek uzyskania w każdym przypadku pozwolenia był nadmierny i nierzadko blokował nawet nieskomplikowane prace – komentuje Michał Siembab, radca prawny z GKR Legal.

Podobnego zdania jest Maciej Obrębski, adwokat, wspólnik w Obrębski Adwokaci i Radcy Prawni. Do tej pory było tak, że nawet jeśli ktoś przeprowadzał prace nie przy samym zabytku, tylko obok (np. na sąsiedniej działce), to i tak często musiał przejść pełną procedurę uzgodnień z konserwatorem zabytków. To oznaczało dużo dokumentów, czekanie na decyzje i opóźnienia. Teraz to się zmieni.

Prawnik chwali też wprowadzenie milczącej zgody w przypadku zmiany przeznaczenia zabytku wpisanego do rejestru lub sposobu jego użytkowania.

– Ma to znaczenie przy zmianie funkcji budynków, co przy powszechnej rewitalizacji zabytków i ich przeznaczaniu na cele hotelowe lub mieszkaniowe ułatwia także takie inwestycje – podkreśla adwokat.

Z kolei Marcina Malinowskiego, adwokata w Gardocki i Partnerzy Adwokaci i Radcowie Prawni, też cieszą nowe przepisy dotyczące usuwania drzew i krzewów na nieruchomościach wpisanych do rejestru zabytków. Powinny ograniczyć dublowanie procedur i skrócić czas załatwiania spraw.

Potrzebujemy reformy

Jednak nowe przepisy to wycinkowa zmiana. Potrzebne są kolejne uproszczenia.

Mecenas Marcin Malinowski postuluje rozważenie dalszych działań zwiększających przewidywalność procedur konserwatorskich.

– Ta nowelizacja zmierza do ograniczenia nadmiernego formalizmu i przyspieszenia postępowań, jednak w praktyce wielu potencjalnych inwestorów nadal będzie rezygnować z ratowania zabytków z obawy przed długimi procedurami administracyjnymi. Im bardziej przejrzyste będą reguły współpracy z organami ochrony zabytków, tym większa szansa, że więcej obiektów zostanie odrestaurowanych i przywróconych do użytkowania zamiast stopniowo popadać w ruinę – twierdzi adwokat.

Z kolei Rafał Dębowski, adwokat, wspólnik w Dębowski i Wspólnicy, uważa, że choć nowelizacja powinna nieco przyspieszyć załatwianie formalności, to nie stanowi rewolucji. Podstawowe problemy dotyczące postępowań konserwatorskich pozostaną nadal aktualne.

– Zmiany, a właściwie ujednolicenia, wymagałoby podejście konserwatorów co do stawianych inwestorom wymogów w zakresie rewitalizacji i odtwarzania zabytkowych walorów obiektów. Choć jest zrozumiałe, że nie mogą tego precyzyjnie określać przepisy prawa, to jednak się zdarza, że oczekiwania organów są abstrakcyjne, w konsekwencji niweczą opłacalność inwestycji i prowadzą do pozostawiania zabytku na pastwę dalszego pogorszenia – wylicza adwokat.

Według niego należałoby wzmocnić uprawnienia wojewódzkiego konserwatora. Chodzi o zwalczanie zjawiska celowej dewastacji zabytkowych obiektów w celu doprowadzenia do ich wykreślenia z rejestru.

– Dochodzi w ten sposób do niepowetowanej straty, a takie działanie inwestorom, którzy są nieuczciwi, po prostu się opłaca. Teoretycznie maksymalna kara za zniszczenie zabytku wynosi 500 tys. zł, ale wymierzanie jej w takiej wysokości zdarza się bardzo rzadko, ponieważ sądy administracyjne najczęściej ją uchylają – z powodów formalnych. W przypadkach szczególnie rażących kary te powinny być wyższe, a możliwość ich stosowania jednoznaczna – przekonuje mec. Rafał Dębowski.

Cesja i prace przed wpisem do rejestru

Obecnie rząd pracuje nad projektem kolejnej nowelizacji ustawy o ochronie zabytków. W wykazie prac legislacyjnych Rady Ministrów opublikowano informację w tej sprawie. Proponowane zmiany są więc na początkowym etapie prac legislacyjnych.

Nowe przepisy będą przewidywać możliwość prowadzenia prac konserwatorskich, restauratorskich, robót budowlanych oraz innych działań również w okresie, gdy nieruchomość czeka na wpis do rejestru zabytków. Warunkiem będzie albo dokonanie zgłoszenia takich działań wojewódzkiemu konserwatorowi zabytków, albo uzyskanie od tego organu pozwolenia na ich przeprowadzenie.

Obecnie zabytek objęty ochroną tymczasową w trakcie postępowania o wpis do rejestru nie może być poddawany tego typu pracom. Tak rygorystyczne przepisy mogą doprowadzić do pogorszenia stanu nieruchomości.

Właściciele i użytkownicy wieczyści będą mieli też nowy obowiązek. Chodzi o oznakowanie nieruchomości wpisanej do rejestru zabytków. Resort kultury wyjaśnia, że obecnie jedynie ok. 15 proc. zabytków nieruchomych wpisanych do rejestru jest oznaczonych znakiem informującym, że obiekt jest zabytkiem i podlega ochronie prawnej.

Projektowane przepisy będą również przewidywać, że o zalecenia konserwatorskie będzie mógł wystąpić potencjalny inwestor, który nie ma tytułu prawnego do zabytku. W tym celu jednak będzie musiał najpierw uzyskać na to zgodę właściciela nieruchomości.

Projekt ma zezwolić na przeniesienie (cesję) pozwolenia konserwatorskiego na inny podmiot niż jego pierwotny adresat. Obecnie nie ma możliwości przeniesienia pozwolenia – ani pozwolenia na prowadzenie określonych działań przy zabytku wpisanym do rejestru, ani na wywóz zabytku za granicę na inny podmiot, nawet jeśli ten uzyskał tytuł prawny do zabytku.

Resort kultury chce również, by konserwator zabytków określał w swoim pozwoleniu termin, do którego ma ono obowiązywać. Obecnie na tym tle występują rozbieżności zarówno w praktyce administracyjnej, jak i w orzecznictwie sądów. Część organów i sądów przyjmuje, że zgoda konserwatorska musi być aktualna w chwili uzyskania pozwolenia na budowę, a późniejszy upływ terminu nie ma już znaczenia. Inni natomiast uważają, że jest to zgoda na określone działania i może być wykorzystana tylko w okresie jej ważności.

Ponadto planuje się wprowadzenie odrębnego – w stosunku do przepisów kodeksu postępowania administracyjnego – trybu zmiany pozwolenia wojewódzkiego konserwatora zabytków uprawniającego do prowadzenia określonych działań przy zabytku. Obecnie nie ma takiej możliwości w sytuacji, gdy inwestor zmienia swoje plany dotyczące zabytku wpisanego do rejestru. Standardowe procedury przewidziane w kodeksie postępowania administracyjnego są zbyt sztywne i nie spełniają potrzeb ani inwestorów, ani organów ochrony zabytków. ©℗

Ile jest w Polsce zabytkowych nieruchomości

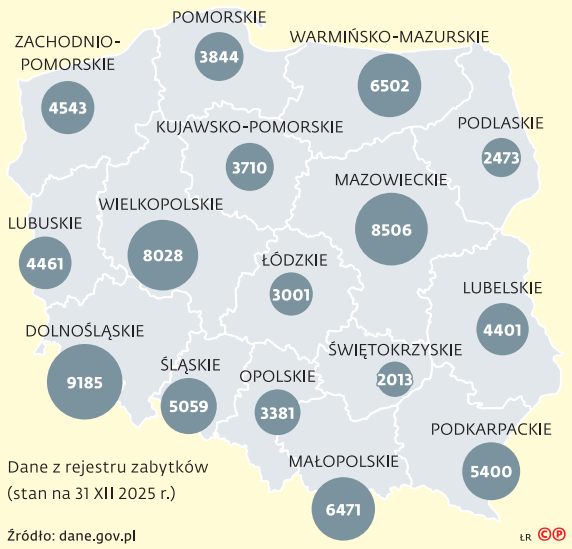

Dane z rejestru zabytków (stan na 31 XII 2025 r.)

Źródło: dane.gov.pl

ŁR ©℗

Więcej na :· www.gazetaprawna.pl

DGP
Więcej niż gazeta!
Tylko na DGP.pl

eprasa.pl c554e197b0

Kronika prawa
• Bądź na bieżąco z przepisami
dgp.pl
Sprawdź

Raporty
• Pełny obraz sytuacji
dgp.pl
Sprawdź

Newslettery
• Nie przegap newsów
dgp.pl
Sprawdź

Wykorzystać potencjał, czyli nowe zadania dla sędziów w stanie spoczynku

SĄDOWNICTWO Sędziowie w stanie spoczynku będą **mogli nie tylko zostać wizytatorami, ale także pełnić funkcję rzecznika dyscyplinarnego ministra sprawiedliwości.** Taki przepis pojawił się w najnowszej wersji projektu zmian w prawie o ustroju sądów powszechnych

Sonia Otfinowska
sonia.otfinowska@infor.pl

Projekt prawa o ustroju sądów powszechnych (dalej: u.s.p.) dotyczy możliwości dalszego orzekania przez sędziów po ukończeniu 65. roku życia oraz sędziowskich delegacji. W centrum sporu do tej pory znajdowały się przede wszystkim sędziowskie delegacje pozaorzecznicze, w tym m.in. te do kancelarii prezydenta. Poprzednia wersja projektu wyeliminowała taką możliwość, w najnowszej zostało to utrzymane.

Nowością jest za to brzmienie art. 105 par. 2 rozszerzającego katalog funkcji, których mogą podejmować się sędziowie w stanie spoczynku. To nie tylko pełnienie czynności administracyjnych w Ministerstwie Sprawiedliwości oraz bycie sędzią wizytatorem w sądzie albo koordynatorem do spraw mediacji, ale także funkcja rzecznika dyscyplinarnego ministra sprawiedliwości.

Kierunek dobry, ale nie dla każdego

Projektowane rozwiązanie to sposób na kontynuowanie aktywności zawodowej przez sędziów, którzy nie zdecydowali się na orzekanie, a mogą stanowić „istotne wsparcie merytoryczne urzędu obsługującego ministra sprawiedliwości". W obecnym stanie prawnym, jak podkreśla MS, brakuje rozwiązań, które wykorzystują potencjał tej grupy.

– Pomysł generalnie jest niezły, ale trzeba przyznać, że wszystko zależy też od konkretnego sędziego – mówi DGP sędzia w stanie spoczynku, rzecznik stowarzyszenia sędziów Themis Jacek Tylewicz. Jak podkreśla, bycie wizytatorem a orzekanie dyscyplinarne to zupełnie dwie różne dyscypliny.

– Bardzo przydają się doświadczenie karnistyczne, ale również inne specjalności, bo delikty dyscyplinarne niekoniecznie dotyczą jazdy po alkoholu, lecz także np. zaniechania w pisaniu uzasadnień – wskazuje.

Najwięcej wątpliwości budzi zaś, zdaniem sędziego, to, czy ktoś, kto wypadł z systemu już jakiś czas temu, będzie w stanie rzetelnie ocenić sprawy. – Ja nie orzekam już od prawie 10 lat. Oczywiście wiem, jak funkcjonuje wymiar sprawiedliwości, ale nie znam realiów tej sędziowskiej codzienności. A w postępowaniach dyscyplinarnych bardzo ważna jest znajomość rzeczywistego stanu rzeczy – podkreśla Jacek Tylewicz.

Zdaniem sędziego Tylewicza zaradzić temu problemowi mogłoby tworzenie składów mieszanych, w których zasiadaliby np. jeden sędzia w stanie spoczynku i dwóch w stanie czynnym. – W ten sposób uzupełniałyby się trochę dwa różne światy – mówi.

Polityka czy pragmatyka?

To właśnie rękami rzeczników dyscyplinarnych ministra sprawiedliwości, zwanych potocznie rzecznikami ad hoc, doprowadzono do umorzeń i uniewinnień w sprawach wszczynanych za czasów poprzedniego kierownictwa resortu. Pozwolił na to art. 112b par. 1 u.s.p., zgodnie z którym powołanie takiego rzecznika wyłącza innego rzecznika od podejmowania czynności. Odpowiedzialność jest więc duża, a ze względu na pogłębiający się kryzys w polskim sądownictwie w tle często wybrzmiewały kwestie polityczne. Niektórzy stawiają więc tezę, że sędzia, który nie musi martwić się o swoją przyszłą ścieżkę awansu, teoretycznie powinien być bardziej odporny na ewentualne naciski. Inni wskazują, że w rozwiązaniach chodzi przede wszystkim o kolejne ręce do pracy.

O tym, że projektowane zmiany to przede wszystkim sposób na wzmocnienie kadrowe, przekonuje sędzia Katarzyna Gajda-Roszczynialska, członkini Komisji Kodyfikacyjnej Ustroju Sądownictwa i Prokuratury. – Przy obecnej liczbie spraw oraz nieobsadzonych etatów sędziowie w stanie czynnym powinni w pierwszej kolejności wykonywać funkcje jurysdykcyjne. Jeśli więc i tak mamy za mało orzeczników, to odciąganie ich od orzekania po to, żeby wizytowali innych sędziów, jest po prostu osłabieniem wymiaru sprawiedliwości i może negatywnie wpływać na prawo obywateli do sądu – mówi w rozmowie z DGP.

§ Projektowany art. 105 par. 2 prawa o ustroju sądów powszechnych (projekt UPRO 1)

Sędziemu, który przeszedł w stan spoczynku, oraz sędziemu przeniesionemu w stan spoczynku w razie zmiany ustroju sądów lub zmiany granic okręgów sądowych można powierzyć, za jego zgodą, pełnienie czynności administracyjnych w Ministerstwie Sprawiedliwości, funkcji rzecznika dyscyplinarnego ministra sprawiedliwości, sędziego wizytatora w sądzie albo koordynatora do spraw mediacji.

©℗ ŁR

Podkreśla też, że rozwiązania angażujące w jakiś sposób sędziów w stanie spoczynku funkcjonują w wielu państwach UE. Na przykład we Francji istnieje instytucja sędziego honorowego, który może nawet tymczasowo wykonywać obowiązki orzecznicze.

Zgodnie z projektowanymi przepisami sędziom pełniącym funkcję rzecznika dyscyplinarnego, wizytatora oraz koordynatora ds. mediacji miałby przysługiwać dodatek funkcyjny. W przypadku pełnienia czynności administracyjnych dodatkowo mógłby zostać przyznany dodatek specjalny. Zarówno sędziowie, jak i resort mogą zrezygnować ze współpracy z zachowaniem miesięcznego uprzedzenia. Możliwość pełnienia wymienionych funkcji automatycznie wyłączyłby natomiast fakt ubiegania się przez sędziego o mandat posła, senatora lub radnego albo o funkcje samorządowe oraz rządowe.

Sędziowskie delegacje

Jednym z głównych celów projektu, który trafił do konsultacji publicznych pod koniec października 2025 r., jest cofnięcie wprowadzonego ustawą z 8 grudnia 2017 r. o Sądzie Najwyższym (Dz.U. z 2018 r. poz. 5) wymogu wyrażenia zgody przez KRS na dalsze orzekanie sędziego, który osiągnął wiek stanu spoczynku. Zamiast tego, niepóźniej niż na sześć miesięcy i niewcześniej niż 12 miesięcy przed ukończeniem 65. roku życia, sędzia miałby składać oświadczenie prezesowi właściwego sądu apelacyjnego wraz z zaświadczeniem stwierdzającym, że jest zdolny do dalszego pełnienia obowiązków.

Gdyby sędzia orzekający już po 65. roku życia chciał przejść w stan spoczynku, obowiązywałby go trzymiesięczny okres uprzedzenia, który może zostać skrócony za zgodą prezesa sądu apelacyjnego. O każdym takim przypadku – zarówno o wpłynięciu oświadczenia sędziego, jak i o ewentualnej zgodzie na skrócenie okresu uprzedzenia – prezes sądu apelacyjnego niezwłocznie zawiadamia Krajową Radę Sądownictwa oraz ministra sprawiedliwości.

Za większym udziałem starszych sędziów w składach przemawia demografia. Jak czytamy w ocenie skutków regulacji projektu, zgodnie z szacunkami MS w ciągu najbliższych pięciu lat liczba sędziów odchodzących w ciągu roku w stan spoczynku wzrośnie o ponad 100 proc., a proces ten najbardziej dotkliwie uderzy w sądy okręgowe i apelacyjne. – Sędziowie, którzy zdecydowaliby się na dalsze orzekanie, niewątpliwie przyczyniliby się do poprawy sprawności rozpoznawania spraw w sądach powszechnych – przekonuje ministerstwo.

Argumentem, by ich do tego przekonać, jest m.in. mniejsze obciążenie pracą. – Sędzia podejmujący decyzję o zamiarze kontynuowania kariery zawodowej po ukończeniu 65. roku życia będzie mógł uczestniczyć (na swój wniosek) w przydziale spraw w wymiarze zmniejszonym o niemniej niż 25 proc. i niewięcej niż 50 proc., jeżeli nie pełni w sądzie funkcji (z wyłączeniem funkcji wizytatora lub koordynatora do spraw mediacji) – wskazuje ministerstwo.

W odniesieniu do sędziowskich delegacji, których również tyczy się projekt, ministerstwo planuje m.in. wzmocnienie gwarancji chroniących sędziów przed arbitralnym odwołaniem. Katalog przesłanek do takiej decyzji został zawężony do trzech sytuacji. To: ustanie potrzeb sądu, do którego trafił sędzia, negatywny wpływ delegacji na macierzysty sąd sędziego lub wniosek prezesa sądu, który wykaże, że w sądzie, do którego trafił dany sędzia, nie zapewnia on realnego wsparcia.

Sędzia, który nie zgadza się z decyzją o odwołaniu go z delegacji, miałby też zyskać prawo do wniesienia odwołania do sądu, przy czym sama skarga nie wstrzymywałaby wykonania tej decyzji. To istotna różnica w porównaniu z marcową wersją projektu, zgodnie z którą taki ruch skutkowałby wstrzymaniem skuteczności odwołania. ©℗

Etap legislacyjny
Projekt po pracach w Stałym Komitecie Rady Ministrów

Skanuj kod i czytaj więcej na **DGP.pl**

AUTOPROMOCJA

NEWSLETTER

Firma i Prawo

– w każdy wtorek **informacje prawne, przepisy, analizy, orzecznictwo**

Wejdź na **dgp.pl/newslettery** Zapisz się

eprasa.pl c554e197b0

Najpierw pieniądze z KPO, potem zmiany w reformie planowania przestrzennego

WYWIAD Tomasz Lewandowski:

Po sierpniu zobaczymy, ile planów ogólnych zostanie przyjętych, i usiądziemy z samorządowcami, parlamentarzystami nad wskaźnikiem bilansowania terenów pod zabudowę mieszkaniową

Krzysztof Bałękowski
krzysztof.balekowski@infor.pl

Jak w skali kraju wygląda stan przygotowania planów ogólnych? Dane Głównego Urzędu Geodezji i Kartografii pokazują, że 140 gmin w zasadzie nie zaczęło jeszcze prac.
140 na prawie 2,5 tys., więc tragedii nie ma. Mamy ok. 60 proc. gmin, które są na etapie uzgodnień i opiniowania. 122 plany ogólne zostały przyjęte i wojewodowie nie mieli do nich zastrzeżeń. W przypadku 12 planów ogólnych wojewodowie stwierdzili nieważność, ale spośród nich 8 zostało już przyjętych ponownie. Widać, że część samorządów czeka do ostatniej chwili. Może słowo „czeka" nie jest odpowiednie, ale dochodzą do nas sygnały, że gminy opóźniają ten proces ze względu na duże emocje związane z ograniczeniem rozlewania się zabudowy mieszkaniowej za sprawą planów ogólnych. Samorządy jeszcze starają się kończyć plany miejscowe, wydawać decyzje o warunkach zabudowy. I rzeczywiście z miesiąca na miesiąc, z tygodnia na tydzień tych planów bardzo dużo przybywa.

Część gmin nie ukrywała, że woli przyspieszyć prace nad planami miejscowymi, a plan ogólny odłożyć w czasie. Właśnie dlatego, aby uciec od algorytmów ograniczających zabudowę mieszkaniową. W jakiej rzeczywistości obudzimy się więc 1 września, bo chyba trudno na tym etapie powiedzieć, że udało się opanować chaos przestrzenny?
Wojny nie będzie, mam nadzieję. Nie chcę wracać do dyskusji o tym, że ta reforma była źle przygotowana, a jej wtłoczenie w ramy Krajowego Planu Odbudowy jest źródłem wielu problemów. Przyspieszone terminy spowodowały, że jakość planów ogólnych jest, jaka jest. Obecna ekipa weszła na ścieżkę wyznaczoną przez poprzedników. I co z tym zrobiliśmy? Dwukrotnie wydłużyliśmy termin obowiązywania studiów uwarunkowań i zagospodarowania przestrzennego, czyli termin na przyjęcie planów ogólnych. Mam nadzieję, że pan prezydent nie będzie miał wątpliwości, podpisze ustawę i gminy będą miały czas do końca sierpnia. W tej chwili czekamy na potwierdzenie zmian w programie KPO, by móc je wprowadzić do regulaminu naboru wniosków. Mówię o tym, bo część gmin pyta, niepokoi się. Mamy gotowe dokumenty i czekamy na akceptację – tak, aby rozliczenie było możliwe do 31 sierpnia br.

Już dzisiaj wiemy jednak, że duża część gmin nie wywiąże się z tego terminu; niektóre zmierzą się z paraliżem inwestycyjnym.
1 września absolutnie żadnego dramatu nie będzie. Przypomnę, że jedna trzecia obszaru kraju ma uchwalone plany miejscowe. Utrata obowiązywania studium i brak planu ogólnego gminy nie powoduje utraty ważności tych planów miejscowych czy decyzji WZ. Uchwalone plany miejscowe przewidują zabudowę mieszkaniową na ponad 60 mln mieszkańców. To pokazuje, jak ekspansywnie była planowana ta zabudowa. I zakładam, że mamy około 4 mln decyzji o warunkach zabudowy, które też będą ważne. Całe mnóstwo wniosków o warunki zabudowy cały czas czeka na wydanie.

Wiemy też, jakie problemy od miesięcy mają z nimi gminy.
Problem będzie narastał z miesiąca na miesiąc, kiedy część obywateli zorientuje się, że nie może już wystąpić o warunki zabudowy, ponieważ nie będzie uchwalonego planu ogólnego. Natomiast takie było chyba pierwotne założenie projektodawców, aby mobilizować władze samorządowe do przyjmowania planów ogólnych.

A na jakim etapie jest rząd, jeśli chodzi o kolejne zmniejszenie wskaźnika – z 50 do 40 proc. – gmin, które muszą przyjąć plan ogólny w terminie, aby wypłacone zostały pieniądze z KPO?
Nie obawiałbym się odmowy. To nigdy nie jest tak, że projekt rewizji jest przyjmowany przez rząd bez uprzednich ustaleń roboczych z Komisją Europejską.

Czy ten sukces negocjacyjny z KE nie jest jednocześnie porażką reformy, która miała mieć wymiar systemowy? Najpierw była mowa o wszystkich gminach, potem ostatecznie KE zgodziła się na 80 proc. Teraz kolejny zjazd z 50 do 40 proc. Może trzeba przemyśleć sens tej reformy i wprowadzić istotne zmiany, kiedy już zniknie „widmo" KPO?
Kierunek tej reformy od początku był słuszny. Rozlewanie się zabudowy mieszkaniowej powoduje przeogromne koszty. Komitet Planowania Przestrzennego przy Polskiej Akademii Nauk wskazuje, że rocznie to są 83 mld zł. Każda polska rodzina dokłada się 2,2 tys. zł do nieprzemyślanych decyzji planistycznych. Ma to wpływ na nasze bezpieczeństwo w zakresie dostępu do wody, bezpieczeństwo żywnościowe. To generuje ogromne koszty infrastrukturalne związane z rozbudową dróg, wodociągów; są przecież normy czasowe dojazdu karetek itd. Zamysł był więc słuszny, ale czy realizacja? Tu już mam duże wątpliwości. Chociażby bilansowanie chłonności zabudowy mieszkaniowej do 130 proc. prognozowanej liczby mieszkańców. W tym uwzględnia się m.in. miejscowe plany zagospodarowania przestrzennego. Jeżeli gmina niezbyt roztropnie w przeszłości przyjmowała te miejscowe plany i planowała zabudowę mieszkaniową na większym obszarze, to dzisiaj możliwość wskazywania stref uzupełniania zabudowy i możliwości wydawania decyzji o warunkach WZ jest mocno ograniczona.

Reforma miała ograniczyć zabudowę w szczerym polu.
Tak, ale w wielu miejscach wydanie decyzji WZ jest uzasadnione, bo np. mamy już wybudowaną całą infrastrukturę, a inwestycje nie wkraczałyby w tereny zielone, rolnicze. Dochodzimy więc do absurdów. Będziemy musieli, absolutnie nie burząc najważniejszego celu reformy, starać się rozładować emocje. Często emocje słuszne tych, którzy nie będą mogli dostać warunków zabudowy w miejscach, w których powinna być taka możliwość.

Brzmi to jak zapowiedź poważnej rewizji. Można się tego spodziewać w drugiej połowie roku?
Po sierpniu zobaczymy, ile planów ogólnych zostanie przyjętych, i usiądziemy z samorządowcami, parlamentarzystami nad wskaźnikiem bilansowania terenów pod zabudowę mieszkaniową. Absolutnie nie będzie odwrotu, ale jesteśmy otwarci na jego zracjonalizowanie. Podam przykład. Jeżeli mamy w pełni uzbrojoną drogę, wolne działki pomiędzy domami, które bezpośrednio przylegają do drogi, pełną infrastrukturę, to tam co ma być? Tereny zielone? Żeby bronić tej reformy i mobilizować do zaciśniania zabudowy, musimy też wykazać racjonalność po stronie rządowej i brać pod uwagę punkt, w którym jesteśmy.

Skupiamy się na liczbach – ilu gminom uda się przyjąć plany ogólne, ale sam pan wspomniał, że ich jakość może być różna. Słychać głosy na forach – przyjmijcie cokolwiek, weźcie pieniądze z KPO, a co potem, zobaczymy. Nie boi się pan takiego scenariusza?
Poprzedni rząd, wdrażając tak ważną i wrażliwą reformę, powinien sobie zadać pytania o to, czy mamy przygotowane kadry i czy terminy są realne. Nie powiem nic odkrywczego – tej refleksji nie było. Mam czasem wrażenie, że ktoś doszedł do wniosku, że jeśli nie wpiszemy tego w ramy KPO, to ta reforma planistyczna będzie zbyt trudna do realizacji i zbyt wielka będzie pokusa do rezygnacji z niej pod dyktando polityczne, społeczne.

Mieliście państwo dwa lata, żeby naprawić błędy poprzedników. Czy nie można było zrobić więcej poza wprowadzonymi korektami? Samorządy proponowały, aby podzielić reformę na dwa etapy – pierwszy termin dla tych, którzy chcą skorzystać z KPO, i dłuższy dla tych, którzy mają większe problemy z przygotowaniem planu ogólnego – tak, aby ich jakość była odpowiednia. To tylko jeden z pomysłów.
Jesteśmy w podobnej pułapce jak w przypadku reformy dotyczącej Państwowej Inspekcji Pracy. To nie jest tak, że ryzykujemy wyłącznie utratę środków na reformę planistyczną. To tylko jedna z reform, do której zobowiązaliśmy się jako kraj, i zbyt duże odstępstwa wiązałyby się z karami. To nie jest tylko kwestia pokrycia kosztów przyjęcia planów ogólnych. Chociaż liczymy każdą złotówkę, to zdajemy sobie sprawę, że te średnio 200 tys. zł nie zawsze jest decydujące. Natomiast miejmy świadomość, że nie mówimy tylko o tych pieniądzach, ale o całym KPO. Czy zrobiliśmy wszystko? Dwa razy przesunęliśmy termin, przy czym 31 sierpnia to już naprawdę jest po bandzie, bo to końcowy termin na rozliczenie, na przedstawienie dokumentów potwierdzających wykonanie kamienia milowego. Jeżeli chodzi o wdrożenie reformy, daliśmy do dyspozycji samorządów pełne oprogramowanie i możliwość korzystania z wiedzy i instrumentów, które przygotowaliśmy. Przeprowadziliśmy całe mnóstwo szkoleń, spotkań stacjonarnych i online. Część zmian przeszła ścieżką poselską, w czym przecież też braliśmy udział – zastąpienie większości uzgodnień opiniowaniem czy wprost wskazanie, że plan ogólny może być unieważniony w części, a nie tylko cały. Rozwiewaliśmy całe mnóstwo wątpliwości.

fot. Wojtek Górski

Tomasz Lewandowski, wiceminister rozwoju i technologii

Ale były to punktowe zmiany, a nie systemowe.
Punktowe, na które samorządowcy zwracali uwagę. Zdecydowanie wyszliśmy naprzeciw ich oczekiwaniom.

Problemy gmin to jedno, ale słychać też o nadchodzącym wąskim gardle, jeśli chodzi o nadzór wojewodów. Trudno będzie wydawać rozstrzygnięcia nadzorcze w 30 dni. Może być tak, że plany ogólne wątpliwej jakości wejdą w życie i dopiero później będą zaskarżane przez wojewodów do wojewódzkich sądów administracyjnych. Są już takie przypadki.
Zwracamy uwagę wojewodom i naszej administracji terenowej, że już samo przyjęcie planu ogólnego wiąże się z obowiązkiem jego publikacji. Dopiero później jest weryfikacja zgodności z prawem. I to wypełnia kamień milowy „adopted", czyli przyjęty. Mówiąc brutalnie – walczymy w tej chwili o pieniądze, bo to nasz interes państwowy. Abstrahując od oceny tej sytuacji, jeżeli plan zostanie przyjęty, to liczy nam się do kamienia milowego. Widzimy oczywiście zagrożenie, o którym pan wspomniał, że będą one później podważane w sądach, ale to nie była nasza decyzja, żeby reformę powiązać z KPO. Będziemy to obserwowali. Dla wojewodów też nie powinna być to żadna nowa informacja, że w czerwcu, lipcu, sierpniu będzie wąskie gardło.

Podsumowując – obniżenie wskaźnika do 40 proc. jest pewne?
Nie spodziewam się innej decyzji. ©℗

Rozmawiał **Krzysztof Bałękowski**

eprasa.pl c554e197b0

DGP PRAWO • PODATKI • BIZNES
12 miesięcy wsparcia dla Twojej firmy

2690 zł
1490 zł
oszczędzasz 45%
dgp.pl/subskrypcja

Resort infrastruktury odrzuca argumenty gmin wiejskich w sprawie funduszu autobusowego

TRANSPORT Samorządy z terenów niezurbanizowanych **krytykują planowane zmiany** w zasadach przyznawania wsparcia dla lokalnych połączeń. Administracja rządowa przekonuje, że nowe rozwiązania zwiększą spójność i efektywność systemu

Krzysztof Bałękowski
krzysztof.balekowski@infor.pl

– Projekt ustawy zawiera korzystne rozwiązania dla gmin wiejskich – przekonuje Anna Szumańska, rzecznika prasowa Ministerstwa Infrastruktury (MI), w odpowiedzi na pytania DGP. Przypomnijmy, że przedstawiciele gmin wiejskich sprzeciwiają się przesunięciu ich na koniec kolejki w dostępie do pieniędzy z funduszu autobusowego. Chcieliby też mieć większy wpływ na to, jakie linie dostaną dofinansowanie.

Chodzi o Fundusz Rozwoju Przewozów Autobusowych (dalej: fundusz autobusowy lub FRPA), który MI chce przemianować na Fundusz Przeciwdziałania Wykluczeniu Transportowemu i zmodyfikować zasady udzielania wsparcia.

Integratorami przewozów w regionach mają być marszałkowie województw i to oni – a nie wojewodowie, jak jest dziś – będą rozdzielać dofinansowania z funduszu autobusowego. Pieniądze dostaną organizatorzy tych linii, które znajdą się w schemacie sieci komunikacyjnej województwa. W pierwszej kolejności będą to powiaty, związki powiatów, związki powiatowo-gminne lub województwa – jeśli linie będą spełniać ustawowe minimalne usługi transportu publicznego (m.in. kursy pomiędzy siedzibami samorządów). Gminy dziś są pierwsze w kolejce, w naborach na nowych zasadach spadną na ostatnie.

MI odpowiada na postulaty

To się nie podoba Związkowi Gmin Wiejskich RP, który argumentuje, że „przyjęta hierarchia beneficjentów może prowadzić do pomijania lokalnych potrzeb transportowych mieszkańców obszarów o rozproszonej zabudowie i wysokich kosztach jednostkowych świadczenia usług". Samorządowcy chcieliby odejść od sztywnej hierarchii na rzecz oceny według określonych wskaźników – gdzie dofinansowanie jest najbardziej potrzebne.

Resort infrastruktury tłumaczy jednak, że to odpowiedź na problem rozdrobnienia organizatorów publicznego transportu zbiorowego, co prowadzi do funkcjonowania przewozów w sposób fragmentaryczny i nieskoordynowany.

– Propozycje zmian sprzyjają integracji systemu transportowego oraz zwiększeniu efektywności organizacyjnej poprzez ograniczenie rozproszenia kompetencji i wzmocnienie współpracy między jednostkami samorządu terytorialnego – mówi Anna Szumańska. Dodaje, że gminy nadal będą mogły wnioskować o pieniądze oraz przedstawiać propozycje do schematu sieci komunikacyjnej – samodzielnie oraz w ramach związków międzygminnych. Przypomina też, że 10 proc. środków z funduszu autobusowego ma być przeznaczanych na przejazdy na żądanie (gminy wiejskie uważają, że to za mało; o tym i innych ich postulatach szerzej pisaliśmy w artykule „Spór o transport w gminach", DGP nr 95/2026).

– Tym samym przy założeniu poziomu środków FRPA z 2026 r., tj. 1,235 mld zł, kwota środków przeznaczona wyłącznie dla gmin wiejskich i miejsko-wiejskich wyniesie 123,5 mln zł – wskazuje Anna Szumańska.

Więcej beneficjentów, większy budżet

Dodatkowo MI przychyliło się do stanowiska Związku Miast Polskich i zgodziło się na udzielanie dofinansowania pozamiejskim odcinkom komunikacji miejskiej organizowanej przez miasta do 50 tys. mieszkańców. Argumenty były takie, że to często jedyna forma transportu dla osób z gmin podmiejskich. To rodzi jednak pytania, czy ze względu na poszerzenie grona potencjalnych beneficjentów starczy pieniędzy z FRPA. Ministerstwo Infrastruktury informuje, że jak do tej pory w żadnym naborze wnioski spełniające wymagania nie zostały odrzucone z powodu braku funduszy.

– W obecnej kadencji parlamentu sukcesywnie zwiększamy budżet FRPA – od 2023 r. budżet wzrósł o blisko 500 mln zł. W 2023 r. wynosił on 800 mln zł, a w 2026 r. na wsparcie samorządowych linii przeznaczyliśmy 1,235 mld zł – zaznacza Anna Szumańska.

Resort infrastruktury nie odpowiedział na pytanie, czy którykolwiek z postulatów gmin wiejskich może liczyć na pozytywną opinię rządu podczas prac w Sejmie nad projektem. ©℗

Etap legislacyjny
Projekt ustawy o zmianie ustawy o publicznym transporcie zbiorowym oraz niektórych innych ustaw przyjęty przez Stały Komitet Rady Ministrów

Wykluczenie komunikacyjne w Polsce

W ramach projektu badawczo-rozwojowego T-Included GOSPOSTRATEG-V/0005/2021 dokonano analizy skali zjawiska wykluczenia komunikacyjnego w Polsce. Gminy podzielono na kilka kategorii pod względem dostępności usług publicznego transportu zbiorowego i przewozów regularnych. **Wyrażono ją we wskaźniku wykluczenia komunikacyjnego.**

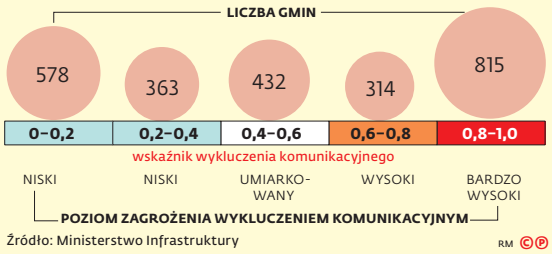

Źródło: Ministerstwo Infrastruktury

RM ©℗

Zmiany w przewozie pasażerów. Kierowca z niedosłuchem poprowadzi autobus

PROCEDURY

Beata Lisowska
beata.lisowska@infor.pl

Od dziś obowiązują nowe zasady badań kierowców. Ubytek słuchu nie będzie już przeciwwskazaniem zdrowotnym do uzyskania uprawnień do prowadzenia autobusu.

Dzisiaj wchodzi w życie rozporządzenie ministra zdrowia z 30 kwietnia 2026 r. zmieniające rozporządzenie w sprawie badań lekarskich osób ubiegających się o uprawnienia do kierowania pojazdami i kierowców (Dz.U. z 2026 r., poz. 608). Najważniejszą zmianą jest usankcjonowanie zasady, że osoby z ubytkiem słuchu będą mogły pozytywnie przejść badania i uzyskać prawo jazdy kat. D, uprawniające do kierowania autobusem. Zmianę wprowadziła znowelizowana ustawa Prawo o ruchu drogowym.

Znowelizowane rozporządzenie, które wchodzi dziś w życie, wyjaśnia, co oznacza częściowy ubytek słuchu, o którym mowa w ustawie. Regulacja precyzuje, że lekarz stwierdzi taki ubytek, gdy przeprowadzone badanie lekarskie potwierdzi upośledzenie słuchu w stopniu uniemożliwiającym rozumienie mowy z odległości jednego metra i mniejszej, w tym przy zastosowaniu aparatów słuchowych lub implantów słuchowych. To oznacza, że osoba, która nie rozumie wypowiadanych słów z odległości jednego metra, nie uzyska prawa jazdy. Mniejszy ubytek słuchu nie będzie natomiast przeszkodą.

Główny powód liberalizacji przepisów to niedobór zawodowych kierowców na rynku pracy. Przepisy dotyczące przewozu rzeczy już od kilku lat dopuszczały osoby głuchonieme do zdobywania prawa jazdy kat. C i kierowania pojazdami ciężarowymi, natomiast w przypadku kierowców przewożących ludzi nie zdecydowano się wówczas na taki krok. Obecnie, wobec postępującego braku zawodowych kierowców na rynku, ustawodawca uznał, że osoby z częściowym ubytkiem słuchu mogą wypełnić tę lukę. Jednak zmianę przepisów krytykowali lekarze, a negatywne stanowisko wobec regulacji zajęła Naczelna Rada Lekarska.

– W przypadku kierowców zawodowych prowadzących autobusy uważamy, że ta liberalizacja zmniejszy bezpieczeństwo na polskich drogach – podkreślał Jakub Kosikowski, rzecznik prasowy Naczelnej Izby Lekarskiej. Zdaniem samorządu lekarskiego niedosłyszący kierowca może mieć problemy z odpowiednim reagowaniem na pojazdy uprzywilejowane oraz na informacje przekazywane przez pasażerów, nie będzie mógł np. usłyszeć ich krzyków w przypadku zagrożenia, np. przytrzaśnięcia kogoś drzwiami autobusu.

Znowelizowane rozporządzenie wprowadza także nowy wzór oświadczenia dotyczącego oceny stanu zdrowia, które musi złożyć osoba ubiegająca się o prawo jazdy lub kierowca poddający się badaniom okresowym.

Nowe przepisy precyzują, że oświadczenie w formie ankiety ma być składane uprawnionemu lekarzowi pod rygorem odpowiedzialności karnej za składanie fałszywych oświadczeń. Przywołany w przepisie art. 233 par. 6 kodeksu karnego stanowi, że za składanie fałszywych zeznań lub zatajanie prawdy grozi od sześciu miesięcy do ośmiu lat pozbawienia wolności.

Nowe przepisy mają ograniczyć przypadki zatajania ważnych z punktu widzenia bezpieczeństwa drogowego informacji zdrowotnych. ©℗

Etap legislacyjny
Nowelizacja rozporządzenia wchodzi w życie 3 czerwca 2026 r.

AUTOPROMOCJA
NEWSLETTER
Samorząd i Administracja
– w każdą środę praktyczne informacje i porady dla sfery budżetowej
Wejdź na dgp.pl/newslettery Zapisz się

eprasa.pl c554e197b0

Będą dodatkowe uprawnienia dla opiekunów w żłobkach

OPIEKA Osoby zajmujące się dziećmi w żłobkach, klubach dziecięcych oraz punktach opieki dziennej będą miały **prawo do płatnego wolnego** na odbywanie szkoleń. Będą im też przysługiwać zniżki na bilety kolejowe

Michalina Topolewska
michalina.topolewska@infor.pl

Wprowadzenie takich rozwiązań przewiduje projekt nowelizacji ustawy z 4 lutego 2011 r. o opiece nad dziećmi w wieku do lat 3 (t.j. Dz.U. z 2025 r. poz. 798), którym wczoraj zajmował się rząd. Zaproponowane w nim zmiany mają służyć m.in. podniesieniu prestiżu zawodu opiekuna oraz zachęcać do podejmowania pracy na tym stanowisku. Poza wspomnianym płatnym wolnym na czas podnoszenia kwalifikacji zawodowych – w wymiarze 16 godzin lub dwóch dni rocznie oraz wynoszącej 33 proc. uldze na przejazdy publicznym transportem zbiorowym, projekt zakłada ustanowienie 4 kwietnia dniem opiekuna małego dziecka.

Z tej okazji osoby zajmujące się dziećmi będą mogły otrzymywać nagrody pieniężne przyznawane przez ministra rodziny, pracy i polityki społecznej, wojewodów oraz wójta, burmistrza lub prezydenta miasta. Będą nimi honorowane osoby, które np. inicjują nowatorskie metody pracy edukacyjnej z dziećmi czy przyczyniają się do podnoszenia jakości opieki wczesnodziecięcej. Ponadto opiekunowie będą mieć służbową legitymację i będą objęci ochroną prawną należną funkcjonariuszom publicznym.

Nowa forma opieki

Kolejna istotna zmiana, jaka znalazła się w projekcie, dotyczy przekształcenia jednej z form opieki nad małymi dziećmi, jaką jest dzienny opiekun, w punkt opieki dziennej. Zgodnie z obecnymi przepisami dzienny opiekun jest osobą prowadzącą działalność na własny rachunek lub zatrudnianą przez gminę albo podmiot prywatny. Funkcjonowanie takiej jednoosobowej instytucji opieki bywa jednak problematyczne, np. w sytuacji choroby czy urlopu. Dlatego projekt nowelizacji ustawy przewiduje, że zamiast dziennych opiekunów będą funkcjonować punkty opieki dziennej. Będą one miejscami, w których opiekę nad dziećmi świadczą dzienni opiekunowie. Co do zasady oznacza to, że punkt opieki dziennej będzie placówką niezależną od osoby, choć zachowana będzie możliwość, aby osoba fizyczna mogła go prowadzić w ramach swojej działalności.

Rejestr żłobków

Z tą zmianą wiąże się bezpośrednio inna, zakładająca stworzenie jednego rejestru żłobków, klubów dziecięcych i punktów opieki dziennej, który zastąpi obecny rejestr żłobków i klubów dziecięcych oraz wykaz dziennych opiekunów. Jednocześnie w ZUS zostanie uruchomiony zupełnie nowy system teleinformatyczny służący do prowadzenia tego rejestru.

Ponadto projekt nakłada na podmioty prowadzące żłobek obowiązek zapewnienia na terenie placówki placu zabaw dla dzieci, na podmioty prowadzące klub dziecięcy zapewnienia dostępu do placu zabaw, a na podmioty prowadzące punkty opieki dziennej zapewnienia miejsca do odbywania zajęć na świeżym powietrzu. Przy czym wymóg posiadania swojego placu zabaw, zgodnie z przepisami przejściowymi, będą musiały spełniać żłobki utworzone po 31 grudnia 2026 r. Dla tych, które powstały lub powstaną przed tą datą, wystarczające będzie zapewnienie dostępu do placu zabaw.

Ochrona wizerunku

Co istotne, już po tym, gdy projekt ustawy został zaakceptowany przez Stały Komitet Rady Ministrów, uwzględnione zostały w nim dodatkowe regulacje. Zakładają one, że żłobki, kluby dziecięce oraz punkty opieki dziennej nie będą mogły – nawet w przypadku wyrażenia przez rodzica zgody – udostępniać publicznie wizerunku dziecka. Wyjątkiem od tego zakazu będzie sytuacja, gdy wizerunek dziecka będzie szczegółem całości, takiej jak: zgromadzenie, krajobraz czy publiczna impreza, oraz gdy będzie udostępniany wyłącznie rodzicom dzieci objętych opieką w danej placówce.

– Jest to bardzo dobra propozycja, zwiększająca bezpieczeństwo dzieci w sieci, tym bardziej że szanowanie wizerunku dziecka to szanowanie jego osoby. Jest to też o tyle ważne, o ile wielu rodziców bezrefleksyjnie upowszechnia zdjęcia dzieci w mediach społecznościowych, nie myśląc o konsekwencjach takiego postępowania w przyszłości – mówi Monika Rościszewska-Woźniak, prezeska Fundacji Rozwoju Dzieci im. Komeńskiego.

Przepisy, które znalazły się w projekcie ustawy, mają co do zasady wejść w życie 1 stycznia 2028 r. Część z nich zacznie jednak obowiązywać wcześniej, np. te związane z ochroną wizerunku dzieci od 1 września 2027 r. lub później, bo dopiero od 1 stycznia 2032 r. opiekunowie w prywatnych placówkach opieki będą mogli korzystać z ulg na podróże koleją. ©℗

Etap legislacyjny
Projekt ustawy rozpatrywany przez Radę Ministrów

DGP
Więcej niż gazeta!
Tylko na DGP.pl

Kłopoty z zestawami przeciwwstrząsowymi. Przychodnie chcą zmiany wytycznych

ZDROWIE

Patrycja Otto
patrycja.otto@infor.pl

Od 14 kwietnia obowiązują nowe modele zestawów przeciwwstrząsowych, które są zróżnicowane ze względu na rodzaj prowadzonej działalności. To oznacza, że inne są przewidziane dla szpitali, inne dla przychodni, a jeszcze inne do wykorzystania w miejscu pobytu pacjenta, czyli np. w jego mieszkaniu, domu opieki czy domu seniora.

– Zestawy wykorzystywane w przychodniach powinny po zmianach zawierać tlen oraz clonazepamum. Z realizacją tych wytycznych placówki mają dziś duży problem – informuje Tomasz Zieliński, wiceprezes Federacji Związków Pracodawców Ochrony Zdrowia Porozumienie Zielonogórskie.

Eksperci sygnalizują, że na możliwe kłopoty ze skompletowaniem zestawu przeciwwstrząsowego przychodnie zwracały uwagę już na etapie przyjmowania rozporządzenia i zaraz po jego uchwaleniu. Od kwietnia problem tylko przybrał na sile. Wiele przychodni nie spełnia nowych wymogów, co naraża je na konsekwencje nie tylko w postaci ewentualnej utraty kontraktu z NFZ, lecz także odpowiedzialności karnej i cywilnej w razie wystąpienia niepożądanego zdarzenia. Dlatego Porozumienie Zielonogórskie zaapelowało do MZ o rozmowy w tej sprawie. We wtorek odbyło się pierwsze spotkanie.

Spór o tlen

– Chcemy urealnienia zestawów przeciwwstrząsowych. Jest obowiązek posiadania w nich tlenu, ale nie jest wskazane, w jakiej dokładnie postaci. Przepisy są niedookreślone, co rodzi kłopot ze spełnieniem nowych wymogów – zauważa Tomasz Zieliński.

Pojawiają się opinie, że przez to, że ustawodawca nie uregulował kwestii technicznych związanych z tlenem, pozostawił tym samym swobodę wyboru placówkom medycznym.

Bożena Janicka, prezeska zarządu Porozumienia Pracodawców Ochrony Zdrowia zwraca jednak uwagę na to, że obecnie w grę wchodzi tylko wykorzystanie butli tlenowej.

– Alternatywne rozwiązania, takie jak koncentrator tlenu czy tlen aerozolowy, nie są na liście produktów leczniczych – podkreśla.

Tymczasem, jak zaznaczają przedstawiciele przychodni, butli z tlenem nie da się zastosować w każdej placówce medycznej. Przykładem są te znajdujące się na parterach bloków mieszkalnych.

– W tych miejscach jest zakaz stosowania gazów pod ciśnieniem. Nie mówiąc już o tym, że tlen w takiej postaci wymaga odpowiedniej instalacji, właściwego miejsca, przeglądów – mówi Tomasz Zieliński.

Właściciele gabinetów pytają, co mają zrobić, gdy ich pomieszczenia są zabudowane i nie są w stanie zainstalować butli z dala od kaloryfera, co jest wymogiem. Czy w takiej sytuacji mają ją umieścić pod sufitem, a jeśli tak, to w jaki sposób?

Joanna Zabielska-Cieciuch, kierownik przychodni NZOZ „Przychodnia Rodzinna", przypomina z kolei, że na przestrzeni ostatnich lat zlikwidowano w kraju wiele punktów nabijania i serwisowania butli z tlenem. Jeśli chodzi o Podlasie, to najbliższy taki punkt obsługujący ten region znajduje się w Warszawie.

– To znacząco zwiększa koszty spełnienia nowego obowiązku dla niektórych przychodni. Nie mówiąc już o tym, że niektórzy lekarze wymagają szkolenia z zakresu stosowania butli z tlenem. Porozumieliśmy się nawet w tej sprawie z lokalną izbą lekarską. Nadal jednak wyzwaniem jest dostęp do punktu napełniania i serwisowania – podkreśla.

Problem z lekiem

Dlatego przychodnie nalegają na uregulowanie kwestii tlenu w zestawach przeciwwstrząsowych, ale też na wycofanie z nich clonazepamum albo jego wymianę na inny lek o podobnym działaniu.

– Jego zakup wymaga zgody inspekcji farmaceutycznej. Do tego dostęp do tego leku jest ograniczony. W wielu hurtowniach lek dostępny jest z krótkim terminem ważności, upływającym w sierpniu. Jego zakup dziś oznacza, że trzeba go będzie wkrótce zutylizować, a to oznacza konieczność przejścia całej procedury, co będzie dodatkowo biurokratycznym wyzwaniem – tłumaczy Tomasz Zieliński.

Jak zauważają przedstawiciele przychodni, lek ten wymaga też specjalnego przechowywania, tak by nie był dostępny dla każdego. Tymczasem zestaw przeciwwstrząsowy powinien być pod ręką.

– To wzajemnie się wyklucza, bo może dojść do sytuacji, że zestaw będzie przechowywany w jednym pomieszczeniu, a szafka z zamknięciem, w której możliwe będzie bezpieczne przetrzymywanie clonazepamum, w innym – zaznacza Joanna Zabielska-Cieciuch.

Bożena Janicka wskazuje też, że jest to lek podawany w iniekcjach. W razie wystąpienia drgawek jego aplikacja wiąże się więc z ryzykiem np. złamania igły.

– Dlatego jeśli nie można z niego zrezygnować, to powinna nastąpić wymiana tego leku na inny o działaniu przeciwdrgawkowym, który będzie można łatwiej zaaplikować pacjentowi – dodaje Bożena Janicka.

Zapytaliśmy resort zdrowia, co myśli o postulatach przychodni. Nie otrzymaliśmy jednak odpowiedzi do czasu publikacji artykułu.

Kontrole i praktyka

Jak sobie radzą przychodnie? Jak się dowiedzieliśmy, niektóre wciąż nie mają tlenu w zestawie, a inne zastosowały alternatywne rozwiązania, czyli koncentrator tlenu.

– Mieliśmy już kontrole. Inspektor przyszedł z listą, sprawdzał, czy nasze wyposażenie jest z nią zgodne, jaka jest jego data ważności. Nie zwrócono na razie uwagi na jakiekolwiek nieprawidłowości – mówi przedstawiciel jednego z POZ. ©℗

AUTOPROMOCJA
Czytaj więcej o administracji i samorządach
• księgowość budżetowa
• kadry • gospodarka komunalna
dgp.pl/samorzad

eprasa.pl c554e197b0

Czy zgłoszenie mobbingu może się obrócić przeciwko pracownikowi?

PROCEDURY Osoby zgłaszające mobbing coraz częściej muszą **się mierzyć z kontrzarzutem** naruszenia dóbr osobistych. Eksperci wskazują jednak, że samo zgłoszenie podejrzenia mobbingu nie jest równoznaczne z bezprawnym działaniem

Ewa Martyna
ewa.martyna@infor.pl

Gdy pracownik decyduje się zgłosić mobbing, zwykle oczekuje, że przedmiotem postępowania będzie ocena zachowań, których doświadczał w miejscu pracy. Coraz częściej okazuje się jednak, że spór przybiera dodatkowy wymiar. Osoba, której dotyczą zarzuty, wskazuje bowiem, że doszło do naruszenia jej dóbr osobistych, w szczególności dobrego imienia lub godności.

– Sprawy o mobbing są pełne emocji i każda ze stron przedstawia swoją wersję sytuacji oraz relacji. Zdarza się, że zarzuty są odbierane bardzo personalnie, dlatego osoby, których dotyczą, decydują się na podjęcie kroków prawnych w celu ochrony swojej reputacji – wyjaśnia radca prawny Katarzyna Sarek-Sadurska, partner zarządzający w kancelarii People & Law Jaroszewska-Ignatowska Sarek-Sadurska Sp.k.

Zdaniem dr Dominiki Dörre-Kolasy, radcy prawnego i partnera w kancelarii Raczkowski, samo zgłoszenie podejrzenia mobbingu nie powinno być utożsamiane z naruszeniem dóbr osobistych. Jak wyjaśnia, jeżeli pracownik korzysta z właściwych procedur i przedstawia rzetelny opis faktów, działa w granicach uprawnionej ochrony swoich praw pracowniczych.

– Naruszenie dóbr osobistych może wchodzić w grę dopiero przy zarzutach oczywiście bezpodstawnych, formułowanych w sposób zniesławiający lub szeroko upubliczniany przez zgłaszającego – podkreśla ekspertka.

Liczy się cel zgłoszenia

Jak wskazuje dr Dörre-Kolasa, granica między korzystaniem z prawa do ochrony swoich praw pracowniczych a pomówieniem przełożonego biegnie po stronie celu i rzetelności działania. Pracownik ma prawo zgłosić mobbing, a nawet powinien to zrobić, gdy rzeczywiście doświadcza długotrwałych, poniżających zachowań.

Ekspertka zwraca jednak uwagę, że inaczej należy oceniać sytuacje, w których zarzut mobbingu jest wykorzystywany instrumentalnie.

– Nadużyciem jest posługiwanie się zarzutem mobbingu wyłącznie po to, by uchylić się od odpowiedzialności za niewykonywanie obowiązków, zrzucić winę za własne zaniedbania na przełożonego czy „zabezpieczyć się" przed spodziewanym wypowiedzeniem – mówi.

W takich przypadkach, jak ocenia, mówimy o intencjonalnym użyciu zarzutu mobbingu jako środka obrony własnych interesów w sposób, który nie zasługuje na ochronę i może zostać oceniony jako bezprawne naruszenie dobrego imienia przełożonego.

Dobra wiara ma znaczenie

Ekspertka podkreśla, że pracownik działający w dobrej wierze nie powinien obawiać się pozwu o naruszenie dóbr osobistych tylko dlatego, że jego ocena sytuacji okazała się błędna. Sama kwalifikacja określonych zachowań jako mobbingu nie przesądza jeszcze o naruszeniu dóbr osobistych.

Kluczowe znaczenie ma to, czy osoba zgłaszająca rzetelnie opisywała fakty i miała podstawy, by uznać, że doszło do nieprawidłowości. Inaczej należy oceniać sytuacje, w których pracownik świadomie używa zarzutu mobbingu jako tarczy przed konsekwencjami służbowymi.

Ma to również znaczenie dlatego, że wykazanie mobbingu przed sądem nadal pozostaje trudne.

– Sądy dziś bardzo długo i szczegółowo badają materiał dowodowy pod kątem przesłanek z art. 94^3 k.p.: uporczywości, długotrwałości, celu poniżenia czy zastraszania oraz skutków w postaci rozstroju zdrowia. Jeżeli tych elementów brakuje, roszczenie o mobbing jest oddalane. To, że definicja jest trudna, jeśli chodzi o wykazanie mobbingu w sądzie, stało się po części powodem rozpoczęcia prac nad jej zmianą – zauważa dr Dörre-Kolasa.

Jak podkreśla, oddalenie powództwa o mobbing nie oznacza automatycznie, że zachowanie osoby, wobec której był kierowany zarzut, było prawidłowe ani że powód działał w złej wierze.

– W uzasadnieniach sądy nierzadko wskazują, że doszło do konfliktu, nieprawidłowej komunikacji czy incydentalnych zachowań niewłaściwych, które jednak nie osiągnęły progu uporczywości i długotrwałości koniecznych dla mobbingu, a jednocześnie podkreślają, że subiektywne poczucie krzywdy nie wystarcza do przypisania pracodawcy odpowiedzialności za mobbing – dodaje.

Efekt mrożący

Mecenas Katarzyna Sarek-Sadurska przyznaje, że perspektywa pozwu o naruszenie dóbr osobistych może wpływać na decyzje pracowników dotyczące zgłaszania nieprawidłowości.

– Ryzyko takiego zarzutu może wywołać efekt mrożący i sprawić, że pracownicy zrezygnują ze zgłaszania mobbingu w miejscu pracy – mówi.

Jednocześnie podkreśla, że zgłaszanie mobbingu powinno się opierać na faktach i możliwie dobrze udokumentowanych okolicznościach.

– Stawianie tak poważnego zarzutu wymaga odpowiedzialności i poparcia swoich twierdzeń materiałem dowodowym – zaznacza.

Jej zdaniem istotną rolę mogą odgrywać również funkcjonujące w firmach procedury antymobbingowe i systemy zgłoszeń wewnętrznych.

– To szansa na wyjaśnienie konfliktu lub nawet pojednanie stron jeszcze przed wejściem na drogę sądową. Jeżeli jednak sprawa trafia do sądu, warto zadbać o dowody potwierdzające przedstawiane okoliczności. Pomocna może być także wcześniejsza konsultacja z prawnikiem – podsumowuje. ©℗

Mobbing a dobra osobiste – co chronią przepisy?

	Ochrona przed mobbingiem	Ochrona dóbr osobistych
Przedmiot ochrony	Godność pracownika, zdrowie psychiczne i fizyczne, bezpieczne środowisko pracy	Godność, cześć, dobre imię, reputacja, prywatność, wizerunek
Zakres ochrony	Nękanie, zastraszanie, poniżanie, ośmieszanie, izolowanie pracownika	Bezprawne naruszenie dóbr osobistych człowieka
Uprawniony	Pracownik	Osoba, której dobra osobiste zostały naruszone
Roszczenia	Zadośćuczynienie za krzywdę, odszkodowanie	Zaniechanie naruszeń, przeprosiny, usunięcie skutków naruszenia, zadośćuczynienie, wpłata na cel społeczny
Podstawa prawna	Art. 94^3 kodeksu pracy	Art. 23, 24 i 448 kodeksu cywilnego

©℗ LR

Skanuj kod i czytaj więcej na **DGP.pl**

Komunikacja elektroniczna tylko za zgodą związków i rad pracowników

PROJEKTY

Ewa Martyna
ewa.martyna@infor.pl

Zmiana sposobu komunikacji pomiędzy pracodawcą a przedstawicielami pracowników nie będzie mogła zostać wprowadzona jednostronnie przez pracodawcę, lecz będzie wymagała udziału i zgody strony społecznej. Taką zmianę wprowadzono do projektu ustawy o zmianie ustawy o związkach zawodowych oraz ustawy o informowaniu pracowników i przeprowadzaniu z nimi konsultacji (UDER 82) w następstwie rekomendacji Stałego Komitetu Rady Ministrów.

Projekt ustawy ma charakter deregulacyjny i stanowi realizację postulatów wypracowanych przez rządowy zespół do spraw deregulacji, powołany przez Radę Ministrów. Jego celem jest uproszczenie regulacji oraz uelastycznienie komunikacji pomiędzy pracodawcami a związkami zawodowymi oraz radami pracowników poprzez dopuszczenie szerszego stosowania formy dokumentowej i elektronicznej. Rozwiązania te mają ograniczyć formalizm związany z papierowym obiegiem dokumentów oraz dostosować obowiązujące przepisy do współczesnych sposobów komunikowania się.

W odniesieniu do przepisów dotyczących związków zawodowych projekt został zmodyfikowany w taki sposób, aby możliwość korzystania z komunikacji elektronicznej lub dokumentowej była uzależniona od zgody zakładowej organizacji związkowej. Zgodnie z proponowanymi rozwiązaniami pracodawca będzie mógł przekazywać informacje w uproszczonej formie wyłącznie wtedy, gdy wraz z organizacją związkową uzgodni takie rozwiązanie w układzie zbiorowym pracy lub odrębnym porozumieniu. Oznacza to, że przejście z tradycyjnej formy pisemnej na komunikację elektroniczną nie będzie mogło nastąpić jednostronnie. W przypadku braku porozumienia pomiędzy stronami nadal będą obowiązywały przepisy ustawowe wymagające zachowania formy pisemnej. Projekt pozostawia jednocześnie znaczną swobodę partnerom społecznym. Pracodawca i organizacja związkowa będą mogli samodzielnie ustalić, jakie informacje będą przekazywane drogą elektroniczną lub dokumentową, w jakich sytuacjach takie formy będą stosowane oraz jakie zasady będą regulowały wzajemną komunikację. Dzięki temu rozwiązania mogą zostać dostosowane do specyfiki konkretnego zakładu pracy.

Zmiany obejmują również ustawę o informowaniu pracowników i przeprowadzaniu z nimi konsultacji. Projekt doprecyzowuje katalog spraw, które mogą zostać uregulowane w porozumieniu pomiędzy pracodawcą a radą pracowników, w tym formę składania wniosków oraz przekazywania informacji. Jednocześnie przewidziano rozwiązanie na wypadek braku porozumienia między pracodawcą a radą pracowników. W takim przypadku pracodawca będzie mógł przekazywać informacje na piśmie, w formie dokumentowej lub elektronicznej, jednak wybór formy będzie wymagał uprzedniej akceptacji rady pracowników. Oznacza to, że również w przypadku rad pracowników przejście na komunikację elektroniczną nie będzie mogło nastąpić wyłącznie na podstawie decyzji pracodawcy. ©℗

Etap legislacyjny
Projekt skierowany do Komisji Prawniczej

eprasa.pl c554e197b0

Sojusz przeciw dopiskom do ustawy płacowej

WYNAGRODZENIA Pracodawcy i związki zawodowe wspólnie **krytykują najnowszą wersję przepisów** o jawności wynagrodzeń. Domagają się usunięcia regulacji dotyczących GIP i zamówień publicznych

Patrycja Otto
patrycja.otto@infor.pl

Rada Dialogu Społecznego stała się areną porozumienia. Strona pracownicza i strona zatrudniających, reprezentujące na co dzień odmienne interesy, wypracowały dwa stanowiska sprzeciwiające się zmianom w najnowszej wersji projektu ustawy o wzmocnieniu stosowania prawa do jednakowego wynagrodzenia mężczyzn i kobiet za jednakową pracę lub za pracę o jednakowej wartości (nr UC127). Jak potwierdza Grażyna Spytek-Bandurska, ekspertka ds. stosunków pracy, dialogu społecznego i rynku pracy w Federacji Przedsiębiorców Polskich, stanowiska zostały rozesłane do podpisu organizacjom pracodawców i związkom zawodowym. Kolejnym krokiem partnerów społecznych ma być ich oficjalne przekazanie do premiera oraz Ministerstwa Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej (MRPiPS).

Wątpliwości wokół GIP

Głównym zarzutem partnerów społecznych jest kompletny brak powiązania nowych przepisów z podstawowym celem regulacji. Projekt miał stanowić implementację unijnych standardów przejrzystości wynagrodzeń. Tymczasem wersja z 29 kwietnia 2026 r. przyniosła głębokie modyfikacje ustrojowe w ustawie o Państwowej Inspekcji Pracy. Projektodawca wprowadził restrykcyjne wymogi dla kandydatów na stanowisko głównego inspektora pracy (GIP), w tym zakaz wcześniejszej działalności w komunistycznych służbach oraz sztywny wymóg pięcioletniego doświadczenia zawodowego.

Partnerzy społeczni zgodnie podkreślają, że włączanie zagadnień ustrojowych do aktu prawnego dotyczącego przepisów płacowych stanowi rażące naruszenie zasad poprawnej legislacji oraz przejrzystości procesu stanowienia prawa. Zwracają uwagę, że regulacje te nie były przedmiotem wcześniejszych analiz ani uzgodnień w ramach prac zespołu ds. prawa pracy RDS. Ich nagłe włączenie do przedłożonej wersji projektu przeczy elementarnym standardom dialogu instytucjonalnego i poważnie podważa zaufanie do intencji projektodawcy.

W swoich postulatach partnerzy społeczni nie są odosobnieni. Na identyczne zagrożenia i wady projektowanych przepisów wskazują niezależni eksperci rynkowi. Mecenas Agata Majewska, radca prawny z kancelarii JGA Doradztwo Prawne i Podatkowe, zauważa wprawdzie, że wysokie oczekiwania wobec kwalifikacji i doświadczenia szefa GIP są całkowicie oczywiste, podobnie jak czysty życiorys, jednak proponowane kryteria historyczne budzą spore wątpliwości. Ekspertka zwraca uwagę, że ustrój komunistyczny w Polsce zakończył się definitywnie 37 lat temu. Sugeruje to, że projekt skupia się na niewłaściwych akcentach.

Spór o zamówienia

Równie duży opór wywołuje art. 69 projektu, który zakłada nowelizację prawa zamówień publicznych oraz ustawy o umowie koncesji. Zgodnie z nowym zapisem wykonawcy ubiegający się o przetargi publiczne, u których nieuzasadniona luka płacowa wynosi powyżej 5 proc., mogą zostać wykluczeni z postępowania przetargowego. Wykonawca może uniknąć wykluczenia, jeśli udowodni, że w ciągu 6 miesięcy naprawił ten problem w ramach mechanizmu self-cleaning (samooczyszczenia). Strona pracowników i pracodawców zgodnie wnosi w związku z tym o całkowite wykreślenie art. 69 z opiniowanego projektu.

Partnerzy społeczni wskazują, że tak daleko idące rozwiązania bez uprzednich, rzetelnych konsultacji wywołają wiele negatywnych i nieprzewidywalnych skutków dla sytuacji na rynku pracy. Dlatego przesłanki fakultatywnego wykluczenia wykonawcy ze względu na swój wyjątkowy charakter i doniosłe skutki gospodarcze powinny podlegać ścisłej wykładni oraz być stosowane proporcjonalnie, z uwzględnieniem interesu publicznego i realiów rynku. Zgodnie z zasadami prawa zamówień publicznych postępowanie o udzielenie zamówienia powinno zapewniać zachowanie uczciwej konkurencji oraz równe traktowanie wykonawców, przy jednoczesnym uwzględnieniu zasady proporcjonalności i efektywności ekonomicznej.

Głos ten popiera sam Urząd Zamówień Publicznych. Michał Trybusz, rzecznik prasowy UZP, zwrócił uwagę, że wprowadzenie nowej fakultatywnej podstawy wykluczenia może stanowić czynnik silnie zniechęcający do udziału w postępowaniu o udzielenie zamówienia publicznego albo o zawarcie umowy koncesji, jeżeli taka podstawa byłaby przez zamawiającego przewidziana. Eksperci urzędu zaznaczają, że projekt zmian nie był z nimi konsultowany. W swojej pierwotnej wersji nie przewidywał takich rozwiązań, a kontrowersyjne przepisy zostały dodane na skutek wniesionej uwagi na późniejszym etapie.

Szansa na kompromis

Jak wynika z ustaleń DGP, zgoda i porozumienie mogą być jednak osiągnięte. Większa szansa na wypracowanie wspólnego stanowiska istnieje w sprawie zmian w procedurze powoływania GIP – tutaj argument o wadliwości legislacyjnej łączy partnerów społecznych. W przypadku zamówień publicznych opinie organizacji związkowych i pracodawców mocno się ścierają. Związki zawodowe, jak ustalił DGP, zwracają uwagę, że dyrektywa o przejrzystości wynagrodzeń nakłada na kraje UE obowiązek wprowadzenia przepisów umożliwiających wykluczenie przedsiębiorstw łamiących prawo o równości płac z ubiegania się o zamówienia publiczne. Pracodawcy wyjaśniają jednak, że polskie prawo wprowadza bardziej restrykcyjne zapisy, co budzi ich sprzeciw. ©℗

AUTOPROMOCJA

DGP | Dziennik Gazeta Prawna

Jak prawidłowo zawierać i rozwiązywać umowy o pracę w 2026 r.

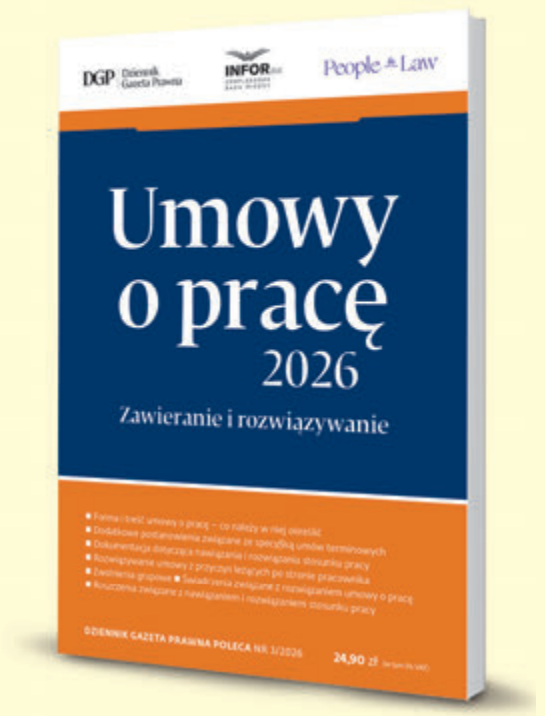

W poradniku omawiamy m.in.:
- formę i treść umowy o pracę
- dodatkowe postanowienia związane ze specyfiką umów terminowych
- rozwiązywanie umowy z przyczyn leżących po stronie pracownika
- roszczenia związane z nawiązaniem i rozwiązaniem stosunku pracy

Kup **sklep.infor.pl**

KOMUNIKAT

BURMISTRZ TRZEMESZNA

ul. Dąbrowskiego 2, 62-240 Trzemeszno, tel. 61 4154306, fax 61 4154412

Na podstawie art. 38 i 40 ust. 1 pkt 1 ustawy z dnia 21 sierpnia 1997 r. o gospodarce nieruchomościami (Dz. U. z 2026 r. poz. 399) oraz zgodnie z § 3 ust. 1, § 4, § 6 ust. 1, § 8, § 11 rozporządzenia Rady Ministrów z dnia 14 września 2004 r. w sprawie sposobu i trybu przeprowadzania przetargów oraz rokowań na zbycie nieruchomości (Dz. U. z 2021 r. poz. 2213)

OGŁASZA PRZETARG USTNY NIEOGRANICZONY

na sprzedaż nieruchomości gruntowej stanowiącej własność Gminy Trzemeszno, położonej w Trzemesznie przy ul. Gnieźnieńskiej w kompleksie terenów inwestycyjnych przeznaczonej pod zabudowę produkcyjno-usługową

Nr działki	Pow. działki (ha)	Numer księgi wieczystej	Cena wywoławcza [zł]	Wysokość wadium [zł]	Przeznaczenie w planie zagospodarowania przestrzennego	Obciążenia
11/2	**5.1010**	PO1G/00051681/4	**3 315 140,00 + VAT 23%**	500.000,00	oznaczona symbolami: **3P/U** (teren obiektów produkcyjnych, składów i magazynów oraz zabudowy usługowej), **2KDW** (teren dróg wewnętrznych -2733 m^2), **2KD-L** (teren dróg publicznych klasy lokalnej - 1796 m^2)	brak
15/2 16	1.1925 0.2555 **1.4480**	PO1G/00051681/4	**948 399,00 + VAT 23%**	150.000,00	oznaczone symbolem: **4P/U** (teren obiektów produkcyjnych, składów i magazynów oraz zabudowy usługowej)	brak

1. Przetarg odbędzie się w dniu **6 sierpnia 2026 roku (czwartek)** od godz. **9.00** w salce Urzędu Miejskiego Trzemeszna, ul. Dąbrowskiego 2.
2. Wadium w podanej wyżej wysokości należy wpłacić na konto Urzędu Miejskiego Trzemeszna: Powszechna Kasa Oszczędności Bank Polski S.A. (PKO BP S.A) nr:**35 1020 4027 0000 1802 1431 6899** w terminie do dnia **3 sierpnia 2026 roku** (poniedziałek) - uznanie wpłaty na rachunku Gminy.
3. **Postąpienie nie może wynosić mniej niż 1 % ceny wywoławczej.**
4. W razie uchylenia się ustalonego w przetargu nabywcy od zawarcia umowy sprzedaży nieruchomości wpłacone wadium nie podlega zwrotowi.
5. Regulamin przetargu oraz wszelkie informacje dotyczące przetargu można uzyskać w Urzędzie Miejskim Trzemeszna, ul. Dąbrowskiego 2 (pokój. nr 6, tel. 61 415 43 06 w. 30)

BURMISTRZ
/-/ Kacper Lipiński

eprasa.pl c554e197b0

US

22 CZERWCA
Wpłata miesięcznej zaliczki na podatek dochodowy od osób fizycznych prowadzących pozarolniczą działalność gospodarczą

22 CZERWCA
Wpłata miesięcznej zaliczki na podatek dochodowy od osób prawnych

25 CZERWCA
Termin przesłania jednolitego pliku kontrolnego dla potrzeb VAT (JPK_VAT)

25 CZERWCA
Termin rozliczenia VAT i złożenia deklaracji VAT-8, VAT-9M, VAT-12

25 CZERWCA
Termin złożenia w formie elektronicznej VAT-UE, czyli informacji podsumowującej o dokonanych wewnątrzwspólnotowych transakcjach

Wchodzi w życie 4 czerwca 2026 r.

Legitymacja służbowa – rozporządzenie prezesa Rady Ministrów z 15 maja 2026 r. w sprawie legitymacji służbowej pracowników Biura Rzecznika Finansowego (Dz.U. z 20 maja 2026 r. poz. 659)

Omówienie: Rozporządzenie określa m.in. wzór legitymacji służbowej pracowników Biura Rzecznika Finansowego przeprowadzających kontrole w zakresie spełniania wymagań dostępności usług bankowości detalicznej, w rozumieniu odpowiednich przepisów ustawy o zapewnianiu spełniania wymagań dostępności niektórych produktów i usług przez podmioty gospodarcze.
Wzór legitymacji służbowej określono w załączniku do rozporządzenia. Legitymacja służbowa jest ważna przez pięć lat od dnia wydania.
Zgodnie z omawianym rozporządzeniem, legitymacja służbowa podlega wymianie w przypadku:
- upływu terminu jej ważności;
- zmiany danych w niej zawartych;
- jej uszkodzenia lub zniszczenia.

Legitymacja służbowa podlega zwrotowi:
- w przypadku rozwiązania lub wygaśnięcia stosunku pracy pracownika;
- w przypadku udzielenia pracownikowi urlopu bezpłatnego w wymiarze powyżej 30 dni kalendarzowych, urlopu macierzyńskiego, urlopu na warunkach urlopu macierzyńskiego, uzupełniającego urlopu macierzyńskiego, urlopu rodzicielskiego lub urlopu wychowawczego;
- w przypadku zmiany zakresu wykonywanych zadań przez pracownika, z którą wiąże się zaprzestanie przeprowadzania przez niego wyżej wymienionych kontroli;
- na żądanie pracodawcy.

W przypadku utraty legitymacji służbowej pracownik jest zobowiązany zawiadomić o tym niezwłocznie pracodawcę.

Wchodzą w życie 5 czerwca 2026 r.

Opłaty abonamentowe – rozporządzenie przewodniczącego Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji z 13 maja 2026 r. w sprawie wysokości opłat abonamentowych za używanie odbiorników radiofonicznych i telewizyjnych w 2027 r. (Dz.U. z 21 maja 2026 r. poz. 664)

Omówienie: Ustalono opłaty abonamentowe za używanie odbiorników radiofonicznych i telewizyjnych w roku kalendarzowym 2027 w wysokości:
- za używanie odbiornika radiofonicznego – 10,80 zł za jeden miesiąc;
- za używanie odbiornika telewizyjnego albo radiofonicznego i telewizyjnego – 34,50 zł za jeden miesiąc.

Zgodnie z omawianym rozporządzeniem, opłaty wnoszone na poczet 2027 r. mogą być przyjmowane w 2026 r. według stawek obowiązujących od 1 stycznia przyszłego roku.

Odbiorniki radiofoniczne i telewizyjne – rozporządzenie przewodniczącego Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji z 13 maja 2026 r. w sprawie zniżek za uiszczanie opłat abonamentowych za używanie odbiorników radiofonicznych i telewizyjnych z góry za okres dłuższy niż jeden miesiąc w 2027 r. (Dz.U. z 21 maja 2026 r. poz. 665)

Omówienie: W rozporządzeniu ustalone zostały zniżki za uiszczenie opłat abonamentowych za używanie odbiorników radiofonicznych i telewizyjnych z góry za okres dłuższy niż jeden miesiąc w roku kalendarzowym 2027 w wysokości:
- za używanie odbiornika radiofonicznego: 3 proc. miesięcznej opłaty za uiszczenie opłaty za dwa miesiące z góry; 4 proc. – za trzy miesiące z góry; 5 proc. –za sześć miesięcy z góry; 10 proc. – za rok kalendarzowy z góry;
- za używanie odbiornika telewizyjnego albo radiofonicznego i telewizyjnego: 3 proc. miesięcznej opłaty za uiszczenie opłaty za dwa miesiące z góry, 4 proc. – za trzy miesiące z góry; 5 proc. –za sześć miesięcy z góry; 10 proc. – za rok kalendarzowy z góry.

Wysokość opłat abonamentowych za używanie odbiorników radiofonicznych i telewizyjnych w roku kalendarzowym 2027, po uwzględnieniu zniżek wynosi:
- za używanie odbiornika radiofonicznego: 21,00 zł za dwa miesiące; 31,10 zł za trzy miesiące; 61,60 zł za sześć miesięcy; 116,70 zł za rok kalendarzowy;
- za używanie odbiornika telewizyjnego albo radiofonicznego i telewizyjnego: 67,00 zł za dwa miesiące; 99,40 zł za trzy miesiące; 196,70 zł za sześć miesięcy; 372,60 zł za rok kalendarzowy.

Opłaty wnoszone na poczet 2027 r. mogą być przyjmowane w 2026 r. według stawek obowiązujących od 1 stycznia przyszłego roku.

Wchodzą w życie 6 czerwca 2026 r.

System elektroenergetyczny – rozporządzenie ministra energii z 15 maja 2026 r. zmieniające rozporządzenie w sprawie szczegółowych warunków funkcjonowania systemu elektroenergetycznego (Dz.U. z 22 maja 2026 r. poz. 668)

Omówienie: Operator systemu dystrybucyjnego elektroenergetycznego do godz. 10.00 w dobie d (bieżącej – dzisiaj) dla doby d-1 (poprzedniej – wczoraj) udostępnia na swojej stronie internetowej:
- zagregowane dane dotyczące energii wprowadzonej do sieci elektroenergetycznej tego operatora lub pobranej z tej sieci przez moduły wytwarzania energii elektrycznej oraz magazyny energii elektrycznej o mocy zainstalowanej równej 200 kW lub wyższej, przyłączone do sieci dystrybucyjnej tego operatora,
- dane dotyczące wymiany energii między siecią dystrybucyjną tego operatora a sieciami elektroenergetycznymi innych operatorów systemu elektroenergetycznego, w podziale na poszczególnych operatorów systemu dystrybucyjnego elektroenergetycznego posiadających co najmniej dwa miejsca przyłączenia do sieci innych operatorów systemu elektroenergetycznego, w tym operatora systemu przesyłowego elektroenergetycznego oraz operatora systemu dystrybucyjnego elektroenergetycznego.

Wyżej wymieniony operator systemu dystrybucyjnego elektroenergetycznego udostępnia te dane w podziale odpowiadającym okresom rozliczenia niezbilansowania wyznaczonym zgodnie z warunkami dotyczącymi bilansowania, o których mowa w odpowiednich unormowaniach unijnego rozporządzenia 2017/2195.
(Rozporządzenie zaczyna obowiązywać po upływie 14 dni od ogłoszenia, tj. od 6 czerwca 2026 r., wyjątkiem przepisu, który wchodzi w życie po upływie dziewięciu miesięcy od ogłoszenia, tj. 23 lutego 2027 r.).

Nauka żołnierzy zawodowych – rozporządzenia ministra obrony narodowej z 12 maja 2026 r. zmieniające rozporządzenie w sprawie nauki żołnierzy zawodowych (Dz.U. z 22 maja 2026 r. poz. 672)

Omówienie: Przepisy przewidują, że organ kierujący na naukę przesyła drogą służbową zgłoszenie kandydata na naukę w terminie do dwóch miesięcy przed planowanym rozpoczęciem nauki w kraju do:
kierownika komórki organizacyjnej Ministerstwa Obrony Narodowej (MON) właściwej do spraw kadr – w przypadku nauki w uczelniach wojskowych;
- kierownika komórki organizacyjnej MON właściwej do spraw szkolnictwa wojskowego – w przypadku kursów językowych prowadzonych w uczelniach wojskowych i Wojskowym Studium Nauczania Języków Obcych;
- dowódcy generalnego Rodzajów Sił Zbrojnych, dowódcy Wojsk Obrony Terytorialnej, szefa Inspektoratu Wsparcia Sił Zbrojnych lub komendanta głównego Żandarmerii Wojskowej – w przypadku nauki organizowanej w podległych im centrach szkolenia i ośrodkach szkolenia, szkołach podoficerskich lub jednostkach wojskowych;
- kierowników komórek organizacyjnych lub jednostek organizacyjnych uprawnionych do kwalifikowania żołnierzy zawodowych do udziału w nauce organizowanej w centrach szkolenia i ośrodkach szkolenia lub jednostkach wojskowych i jednostkach organizacyjnych niewymienionych powyżej.

Zgodnie z nowymi regulacjami, w szczególnie uzasadnionych przypadkach, jeżeli przemawiają za tym potrzeby Sił Zbrojnych, zgłoszenie kandydata na naukę może być przesłane w terminie krótszym niż termin wskazany, jednak niepóźniej niż na miesiąc przed planowanym rozpoczęciem nauki w kraju.

Należności pieniężne – rozporządzenia ministra obrony narodowej z 7 maja 2026 r. w sprawie należności pieniężnych przysługujących żołnierzom zawodowym skierowanym na naukę za granicą (Dz.U. z 22 maja 2026 r. poz. 673)

Omówienie: Żołnierz zawodowy skierowany na studia lub naukę albo na staż, kurs lub specjalizację albo inne formy szkolenia i doskonalenia zawodowego za granicą, otrzymuje w formie zaliczki należności, o których mowa w odpowiednich przepisach ustawowych. Są one określone w skierowaniu żołnierza zawodowego na studia lub naukę albo na staż, kurs lub specjalizację albo inne formy szkolenia i doskonalenia zawodowego za granicą.
Zaliczkę wypłaca się żołnierzowi skierowanemu na naukę trwającą:
- do trzech miesięcy – jednorazowo w terminie do 7 dni przed planowanym terminem wyjazdu;
- powyżej trzech miesięcy – w terminach płatności stypendium miesięcznego.

Rozliczenia zaliczki dokonuje się po powrocie żołnierza skierowanego na naukę do kraju, w terminie do 14 dni od przedstawienia przez niego organowi wydającemu skierowanie dokumentów, w szczególności biletów lub rachunków potwierdzających poniesione wydatki.
Stypendium miesięczne na pokrycie kosztów utrzymania za granicą wypłaca się z góry w pierwszym dniu roboczym każdego miesiąca kalendarzowego, a w przypadku gdy termin wyjazdu żołnierza skierowanego na naukę przypada w trakcie miesiąca kalendarzowego – bezpośrednio przed planowanym terminem wyjazdu.
W przypadku skorygowania wysokości stypendium miesięcznego na pokrycie kosztów utrzymania za granicą, wypłaca się je w pierwszym dniu roboczym miesiąca kalendarzowego następującego po tym, w którym nastąpiła korekta.
Wzór skierowania na studia lub naukę oraz na staż, kurs lub specjalizację albo inne formy szkolenia i doskonalenia zawodowego za granicą jest określony w załączniku do rozporządzenia.

Wypoczynek dzieci i młodzieży – rozporządzenie ministra edukacji z 27 maja 2026 r. zmieniające rozporządzenie w sprawie wypoczynku dzieci i młodzieży (Dz.U. z 29 maja 2026 r. poz. 704)

Omówienie: Rozporządzenie przewiduje m.in., że program kursu na kierownika wypoczynku oraz program kursu na wychowawcę wypoczynku jest realizowany w formie wykładów i zajęć praktycznych. Zajęcia praktyczne są prowadzone w formie stacjonarnej. Wykłady są prowadzone w formie stacjonarnej lub przy użyciu środków komunikacji elektronicznej.

Wchodzą w życie 7 czerwca 2026 r.

Bezpieczeństwo żywności – rozporządzenie ministra zdrowia z 30 kwietnia 2026 r. w sprawie ustanowienia szczególnych wymagań dla środków spożywczych dotyczących pozostałości substancji czynnych środków ochrony roślin (Dz.U. z 6 maja 2026 r. poz. 603)

Omówienie: Rozporządzenie zostało wydane na podstawie odpowiednich unormowań ustawy o bezpieczeństwie żywności i żywienia. W załączniku do omawianego rozporządzenia określono szczególne wymagania dla środków spożywczych dotyczące pozostałości substancji czynnych środków ochrony roślin. Rozporządzenie utraci moc po upływie 12 miesięcy od dnia wejścia w życie.

Ustanowienie strefy ochronnej – rozporządzenie ministra klimatu i środowiska z 30 kwietnia 2026 r. w sprawie ustanowienia strefy ochronnej zwierząt łownych w otulinie Parku Narodowego „Ujście Warty" (Dz.U. z 7 maja 2026 r. poz. 613)

Omówienie: Ustanowiono strefę ochronną zwierząt łownych w otulinie Parku Narodowego „Ujście Warty", o powierzchni 6117,64 ha, położoną na terenie województwa lubuskiego.

.....

(Przepisy wchodzące w życie 3 czerwca 2026 r. zostały omówione w wydaniu Dziennika Gazeta Prawna z 2 czerwca 2026 r., str. B12). ©℗

krzysztof.tomaszewski@infor.pl

eprasa.pl c554e197b0